

Zdzisław Morawski

Każdy miał wakacje





Szkic sytuacyjny jezior w okolicy wsi Długie

Każdy miał wakacje



Zdzisław Morawski z psem Bardem na jeziorze Lipie, 1972 r.



Długie
JEZIORO LIPIE



STRZELCE KRAJEŃSKIE
OCZAROWUJĄ!



Zdzisław Morawski

Każdy miał wakacje



ODDZIAŁ
W GORZÓWIE WLKP.

Gorzów Wielkopolski - Strzelce Krajeńskie 2018

Redakcja
Krystyna Kamińska

Konsultacja literacka, opracowanie edytorskie
Ireneusz Krzysztof Szmidt

Korekta
Irena Mańkowska

Zdjęcia Konstantego Ludwikowskiego:

na okładce i na str.: 5, 45, 49, 52, 73, 93, 99, 119, 139, 153, 162, 169
udostępnione przez p. Elżbietę Wilińską z domu Ludwikowską.

Pozostałe zdjęcia pochodzą z **albumu Zdzisława i Marii Morawskich.**

Przekazane zostały przez Marię Morawską
do dyspozycji Markowi Bidolowi z UM w Strzelcach Krajeńskich.

Wydawcy:

Urząd Miejski w Strzelcach Krajeńskich
Aleja Wolności 48, 66-500 Strzelce Krajeńskie

Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wielkopolskim
ul. Sikorskiego 107 (WiMBP), 66-400 Gorzów Wielkopolski

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim
ul. Sikorskiego 107 66-400 Gorzów Wielkopolski

© Copyright by Maciej Morawski

ISBN 978-83-62048-59-5

Skład
Daniel Besta

Druk
PRINT GROUP Sp. z o.o.
ul. Cukrowa 22, 71-004 Szczecin

Na Długim, przed półwiekiem...

Zdzisław Morawski, poeta mieszkający w Gorzowie, w latach 60. i 70. chętnie przyjeżdżał w lecie nad jezioro Lipie do wsi Długie (gm. Strzelce Krajeńskie), by żeglować. Wzruszająco tamte szczęśliwe dni wspominała jego żona – Maria Morawska.

Żeglarskie przeżycia autora stały się kanwą napisanej w 1965 roku powieści „Każdy miał wakacje”. Nie wiemy, dlaczego wtedy Zdzisław Morawski nie skierował jej do druku. Dostępna stała się dopiero teraz, po śmierci Zdzisława i Marii Morawskich, dzięki życzliwości wnuka – Macieja Morawskiego, właściciela praw autorskich, który z kochającym dziadkiem przed laty także przyjeżdżał do wsi Długie.



Czytana po ponad 50. latach, powieść nabiera nowych znaczeń.

W przeszłość odeszły kempingowe domki – psie budki – wówczas podstawowe miejsce mieszkania wczasowiczów, nie ma już „Chaty za wsią” – popularnej restauracji, miejsca posiłków i dancingów. Nikt już nie ubiera garnitur ani krawata, by przywitać oczekiwaną kobietę, nie mówimy do sąsiadów z letniska przez „pan” i „pani”. Nie ma tak rygorystycznych szkoleń dla młodych żeglarzy.

Ale na zawsze pozostały uroki jeziora Lipie z jego licznymi zatokami i wspaniałą przestrzenią do żeglowania. Pozostało żeglarstwo jako męska przygoda, pozostał urok cudownego wtopienia się w świat przyrody, jakie dają wiatr, słońce i woda. Na pewno pozostały także letnie zauroczenia, a nawet miłości, choć nie zawsze szczęśliwie zakończone. Pozostało także niepoprawne językowo określenie tego cudownego miejsca. Ciągłe mówimy „na Długim”, choć poprawnie powinno być „we wsi Długie” albo „nad jeziorem Lipie”.

Pamiętką tamtych lat są także zdjęcia, które Maria Morawska przekazała Markowi Bidolowi, pracownikowi Urzędu Miejskiego w Strzelcach Krajeńskich, strażnikowi pamięci o żeglarstwie i całym ośrodku w Długiem. Dzięki życzliwości córki, pani Elżbiety Wilińskiej, mogliśmy włączyć także zdjęcia wykonane w tamtych latach przez Konstantego Ludwikowskiego, cenionego fotografa ze Starego Kurowa, niestety, jesienią lub zimą, czyli w innej niż powieść porze roku.

Zapraszamy do lektury powieści napisanej przed półwiekiem, która z jednej strony jest już historyczna, a z drugiej opowiada o wiecznej tęsknocie człowieka do lata, wody i miłości.

Przyjeżdżajcie na Długie, by zobaczyć to miejsce w nowym wcieleniu i przeżyć przygodę życia.

Wydawcy:

Urząd Miejski w Strzelcach Krajeńskich

Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

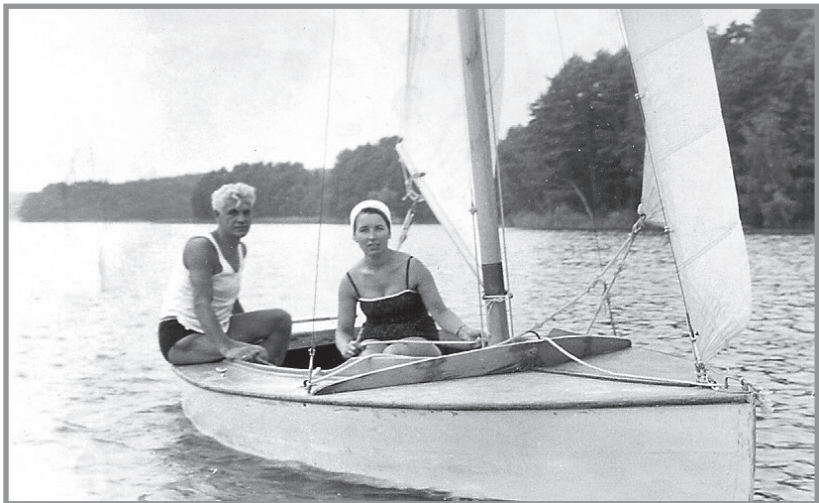
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim

Maria Morawska

**ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO –
POETY – PRZYGODA
Z ŻEGLOWANIEM**

Przygoda Zdzisława Morawskiego z żeglarstwem zaczęła się w sposób przypadkowy. W 1964 roku, chcąc zorganizować Januszowi ciekawe wakacje, junior miał wówczas 14 lat, wynajęliśmy „na Długim”, jak się zwyczajowo mówiło, stilonowski domek wczasowy popularnie zwany psią budką.

Jezioro Lipie poznaliśmy znacznie wcześniej, gdy zawędrowaliśmy tam ze Zdzisławem na mojej WFM-ce, kupionej na talon,



Maria i Zdzisław Morawscy na jeziorze Lipie, 1964 r.

otrzymany od brata żeglarza – Stanisława Dudzińskiego. Jezioro, dochodzące piaszczystą zatoczką prawie do drogi, otoczone lasami, o czystej, szmaragdowej wodzie wielce nas zauroczyło. Wtedy – wiosną 1960 r. – nie było tam żadnego ośrodka, jedynie po drugiej stronie szosy duża, prostokątna budowla, którą potem przerobiono na restaurację – słynną „Chatę za wsią”.

Zdzisław z Januszem czuli się tam doskonale: pływali na kajakach, łowili ryby, kąpali się. Ja, ze względu na charakter pracy w przetwórstwie owoców i warzyw, nie mogłam w czasie lata korzystać z urlopu. Doskakiwałam więc tylko do nich na koniec tygodnia, oczywiście z porządną wałówką.

Pewnej niedzieli na jeziorze pojawiła się żaglówka. Przywieźli ją dwaj młodzieńcy z Warszawy – jak się później okazało – mistrzowie Polski w siatkówce. Ja byłam już trochę opływana, bo jeździłam z bratem na obozy żeglarskie do Krynicy Morskiej, organizowane przez WKS „Śląsk”. Załoga brata na „Omedze” trzykrotnie zwyciężyła w regatach „O błękitną wstęgę Zalewu Wiślanego”. Żartobliwie zapytałam żeglarzy, czy nie potrzebują balastu. Potrzebowali. I tak się zaczęło. Z kajaków przesiedliśmy się na żaglówkę. Był to (chyba) „Pirat”. Moim panom bardzo się ten sport spodobał. Wciągnął ich całkowicie.



Zdzisław Morawski z psem Bardem obok domków, 1971 r.



Zdzisław Morawski odbiera meldunek na obozie żeglarskim, 1966 r.

W 1964 r. gorzowski Oddział LOK-u przywiózł na Długie swoje łodzie i zorganizował kurs żeglarski. Na kurs zgłosiło się dużo młodych ludzi z Gorzowa, Strzelec Krajeńskich, Dobiegniewa, Starego Kurowa. Kadre stanowili: Zdzisław Morawski, Adam Lubiąski i Zbigniew Grochowski. Młodzi ludzie z zapałem i radością uczyli się żeglowania. Kadra też się szkoliła.

W trakcie zajęć żeglarskich Zdzisław bardzo mnie zaskoczył swoimi zdolnościami manualnymi. Ucząc się węzłów żeglarskich, upłócił ze sznurka – jako jedyny na obozie – gałkę bosmańską. A w domu nie umiał nawet guzika sobie przyszyć. Udawał?

We wrześniu 1964 roku wszyscy zostali pasowani przez Okręgowy Związek Żeglarski w Poznaniu na Polskich Żeglarzy Sportowych. W tamtych latach w każdą sobotę organizowano nad jeziorem wspólne ognisko. Zabawa była przednia. Śpiewaliśmy piosenki żeglarskie, legionowe, partyzanckie, biesiadne:

*Dziwki po nogach całowały mnie zmysłowo,
Rencistka jedna rwata dla mnie złoty ząb!
Mój arogancki śmiech*

*Tłumił mi w piersiach dech
Kipiąca młodość rozszumiata się jak dąb*

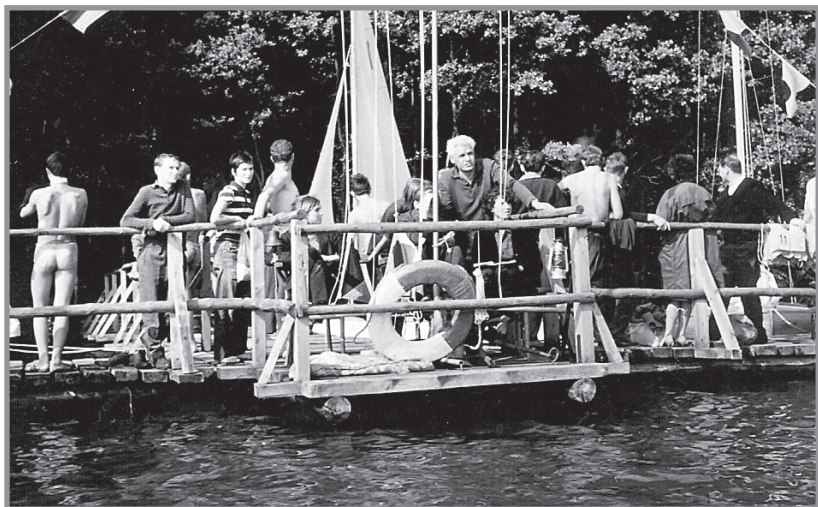
– śpiewał pięknym, silnym głosem Zdzisław, a wtórowali mu żeglarze.

Nie byliśmy zamożni. Nikt wtedy nie miał samochodu. Moja WFM-ka była luksusem. Ale byliśmy młodzi, wolni, zaprzyjaźnieni. Nikt nikomu nie sprawdzał życiorysów. Byliśmy po prostu szczęśliwi. Co niedzielę od rana odbywały się regaty. Był to prawdziwy żeglarski trening. Zdzisław nie lubił pływać ostro. Najlepiej czuł się przy niewielkim wietrze. Żeglarze nazywali go mistrzem słabych wiatrów. Związane to było z jego kondycją fizyczną. W latach pięćdziesiątych zaliczył kamieniołomy, gdzie stracił nogę.

Janusza żeglarstwo oczarowało. Pewnego razu przychodzi do ojca i podekscytowany opowiada: „Tato! Tato! Pan Adam powiedział do mnie „stary”. „Tak!?” – zapytał Zdzisław. – I co ci kazał robić?”. Janusz odpowiedział z dumą: „Kazał mi wybrać wodę z zęzy...”.

Któregoś roku na Długie zjechali literaci z Warszawy: mądry, uroczy Jerzy Krzysztoń z żoną Haliną, zarozumiały Jarosław Abramow z piękną dziewczyną – Basią (Żaliła się, że w czasie dłuższego pobytu w Moskwie nie napisał do niej nawet karteczki. „Ja piszę tylko za pieniądze” – odpowiedział krótko). Pewien dramaturg i krytyk sztuki, którego nazwiska nie pamiętam – też z żoną. Warszawiacy nudzili się na wakacjach w Sławie i gdy w Rozgłośni Zielonogórskiej usłyszeli wywiad z Morawskim, który wychwalał pobyt nad jeziorem w Lipie, spakowali się i przyjechali. Bardzo im się podobało. Może mniej Abramowowi, któremu z pomostu spadł do wody cenny zegarek. A woda była tam głęboka. Poprosił więc żeglarzy o pomoc, obiecując im ćwiartkę wódki. Trzech chłopców nurkowało kilkanaście minut w zimnej wodzie. Niestety, zegarka nie wyłowili. Naburmuszony Abramow odszedł z butelką wódki w kieszeni. Byłam oburzona. Na szczęście sytuację uratował Morawski, który rozgrzał zmarzniętych żeglarzy domową pieprzówką.

Wielkim wyczynem żeglarzy było – w ramach kursu w 1965 roku – odbudowanie, czyli oczyszczenie i pogłębienie cieków, wyciągnięcie gałęzi i powalonych drzew, drogi wodnej z Długiego do



Zdzisław Morawski z młodymi żeglarzami, 1965 r.

Dobiegniewa. Jakież było zdumienie mieszkańców, gdy w niedzielę 12 sierpnia 1965 roku – w samo południe – na wody Dobiegniewa wypłynęła pokojowa armada pod białymi żaglami...

Rejs trwał trzy dni. Wypłynęliśmy z przystani, najpierw przez jezioro Lipie, przepływając udroźnionym przesmykiem, ze złożonymi masztami, czyli na pycha, na uroczę jezioro, zwane Szmaragdowym, następnie krętą rzeczką wypłynęliśmy na szerokie wody, czyli jezioro Chomętowskie (dziś Osiek). Stamtąd, już pod pełnymi żaglami – prosto do Dobiegniewa. Z powrotem – oczywiście – w odwrotnej kolejności.

Cudowna to była wyprawa! Nocowaliśmy w łajbach, pod rozgwieżdżonym niebem. Byliśmy zespoleni z naturą. Byliśmy jej częścią. Nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy, jak bardzo byliśmy szczęśliwi.

Następnego – 1966 roku – kurs żeglarski zorganizowano też nad jeziorem Lipie, ale w ośrodku wypoczynkowym Zakładu Tuczdy Trzody Chlewnej w Dobiegniewie. Możliwe to było dzięki życzliwości dyrekcji Zakładu i zakładowego lekarza weterynarii, doktora Bogdana Bartosza, zaprzyjaźnionego ze Zdzisławem.



Żeglarskie otrzęsiny, 1966 r.

Położony w lesie ośrodek był nieco oddalony od centrum Długiego, ale miał własną przystań dla żeglarzy. Komandorem obozu został Zdzisław Morawski, jego zastępcą Adam Lubiński, a bosmanem Zbigniew Grochowski. Na kurs zapisało się – jak zwykle – dużo młodzieży, w tym sporo dziewcząt.

W pamięci pozostały mi Jola i Danusia (pierwsza miłość Janusza!) Zelerówny, które wyróżniały się nie tylko urodą, ale i sposobem bycia, Henryk Kujawa, także Zbyszek z Dobiegniewa (adorował moją siostrzenicę

– Jolę Dudzińską), który potem został kapitanem żeglugi wielkiej, i wielu, wielu innych, choć ich nazwisk nie zapamiętałam.

Na zakończenie kursu urządzono prawdziwe żeglarskie otrzęsiny: przebrany za Neptuna Henryk Kujawa egzaminował kandydatów na żeglarzy w wyrafinowany sposób: picie wody z octem bez skrzywienia, taplanie się w błocie, pływanie w jeziorze. Nie oszczędzano nikogo, a szczególnie dziewcząt. Zdali wszyscy. Wielu, jak na przykład znany automobilista Andrzej Szykowski, do dziś z nostalgią wspomina te wspaniałe przygody.

Po zakończeniu sezonu żeglarskiego Zdzisław Morawski działał jeszcze jakiś czas w LOK-u. W 1967 roku – z okazji V-lecia sekcji żeglarskiej dostał dyplom „Za działalność i owocny wkład pracy w rozwoju żeglarstwa Klubu Wodnego LOK”. Niestety, długotrwała choroba (między innymi korzonki) uniemożliwiła mu aktywne pływanie.



Otrzęsiny młodych żeglarzy, 1966 r.

Jednak na tym przygoda Zdzisława z żeglarstwem się nie skończyła. Bezpośredni kontakt z przyrodą, zmaganie się z nią, uleganie sile wiatru, głębi wody, tożsamość z naturą zainspirowały Morawskiego-poetę. Zaowocowało to wierszami: „Woda”, „Rejs”, „Chwała rei – Pieśń żeglarza na cześć sprzętu” – wydanymi w tomie „Płaskorzeźby” (Wydawnictwo „Śląsk”, 1965) oraz „Burlaczenie”, „W zatoce”, „Rejs przez ciche źródła” (poemat napisany prozą poetycką, uznany za jeden z ciekawszych utworów poetyckich, opiewający piękno przyrody, w którą wpisany jest los człowieka) – wydanymi w tomie „Obecność” (Wydawnictwo „Śląsk”, 1974).

Na Długie jeździliśmy jeszcze kilka razy. W 1980 roku zabraliśmy tam na wakacje synka Janusza – 8-letniego Maćka, ukochanego wnuka Zdzisława. Niestety, żaglówki były już dla nas nieosiągalne! Niezycliwy młody człowiek w wypożyczalni sprzętu nigdy nie miał dla nas wolnej łódki. Był to już chyba zwiastun polowań na czarownice. Zadowalaliśmy się więc wiosłówką. I tak zamiast łajby – mieliśmy krypę, na której Maciek z zapalem wiosłował – aż do

pęcherzy na dłoniach. Pływaliśmy na niej w czwórkę: był z nami owczarek alzacki, wierny przyjaciel – Bard, który też uwielbiał pływanie aż na koniec jeziora Szmaragdowego, gdzie przy pochylonej nad wodą brzozie Zdzisław bardzo lubił pływać. Kąpaliliśmy się tam wszyscy, Maciek w kapoku i Bard oczywiście też.

Na zarośniętym drzewami i krzewinami zboczu wypływało małe źródółko, które żeglarze nazwali źródłem Morawskiego. Dowiedziałam się o tym niedawno, było mi bardzo miło. Po skończonej żegludze dziadek z zapatrzonym w niego wnukiem grali w szachy, w kometkę, strzelali ze sporządzonego przez Zdzisława łuku. Maciek – na strzeżonym kąpielisku – uczył się pływać i nurkować, co mu szło lepiej. Ja zajmowałam się przygotowaniem smacznych posiłków i dbałością o dom (a właściwie – domek) i cały inwentarz. Z Maćka było chucherko i musiałam go dobrze odżywiać. Bard strzegł naszego gospodarstwa. Pogoda była wspaniała. Zdrowie

i dobry humor dopisywały wszystkim. Czy mogą być piękniejsze, szczęśliwsze wakacje? Niezapomniane wakacje „na Długim...”.

Maria Morawska

Tekst zamieszczony
w czasopiśmie „Lamus”
(nr 16/2007, s.89-91) –
poprawiony i uzupełniony
przez autorkę.



*Maria i Zdzisław
Morawscy z siostrzenicą
Jolą Dudzińską. W głębi
pawilony i restauracja
„Chata za wsią”, 1971 r.*

Zdzisław Morawski

**Każdy miał
wakacje**

CHWAŁA REI

Pieśń żeglarza na cześć sprzętu

W cieniu żagla płynie rzeka
W cieniu chmury płynie łódź
W cieniu sosny skrzypi pień
Pień sosnowy przyszłej rei
Chwała rei
Od korony do korzeni
Od wierzchołka do podstawy
Chwała masztom
Od ich topów aż po pięty
Chwała żaglom
Chwała nośnej funkcji płótna
Chwała zwojom lin konopnych
Chwała grotom wyostrzonym
Białym fokom
Burtom chwała
Chwała sterom rzeczom kursu
Płetwie płaskiej i pionowej
Która sternik z rumplem w dłoni
Chwali starym – Panta rhei

I

Ranek był pogodny, lekko wietrzny, nasycony rzeźwością porannej bryzy: zdawać się mogło, że wschodni powiew przynosi życie falom, a słońce podnosi do całodziennego kursu. Na kempingu wszechwładnie panował spokój.

Barwne domki, zastygłe w prostopadłościanach i ustawione w trzech segmentach na stoku, robiły wrażenie stojących w symetrycznym porządku klocków. Rosnące na zboczu kępy mietlicy skłaniały wiechy do jeziora przy każdym podmuchu. Wszędzie panował niezakłócony rytm wstającego dnia: równego składu fal nie kaleczył żaden kajak, żadne wiosło nie darło trwającego w rozległym dreszczu akwenu, nad którym krążyły dwa rybołowy. Horyzont, ze wschodu jeszcze trochę zamazany chmurami, zdawał się odsłaniać dzień pełen pogodnego gwaru. Ale wcześniej jeszcze pomiędzy domkami zaczął krążyć senni przechodnie i ospałymi głosami będą pozdrawiać siebie z dobrym dniem.

Pierwszego dnia wstałem o godzinie szóstej. Oczyszczony przez poranny chłód z resztek rozespania, z żaglami w worku, z wiosłem na ramieniu poszedłem na przystań, gdzie na boi kołysał się „Zefir”, mały jacht flotylli naszego klubu. Od pomostu odbijali dwaj wędkarze ze spinningami w łodzi. Wymieniliśmy powitanie, uśmiechnęliśmy się do siebie, jak każdego dnia w ubiegłym roku, kiedy wypływaliliśmy na jezioro znaczyć swój ślad codziennej przygody podczas wakacji. Ich rzuty były odpowiednikami moich manewrów jachtem, ich kilkunastocentymetrowe szczupaki miały wartość przepływanych przeze mnie mil. Uśmiechem przesyłałiśmy sobie wzajemne zrozumienie, a nawet cześć dla wakacyjnej pasji, jaka w letnie dni przerywała nam sen bez pomocy budzików. Po chwili wędkarze byli już daleko. Za nimi pozostał na rozartych

falach kilwater jak cień wody – towarzysz kursu na słabym wietrze. Przyholowałem „Zefira” do pomostu. Wytarłem zroszony pokład i burty. Wysuszyłem ścierką wodne nacieki pod podłogą i rozpocząłem uzbrajanie jednostki w żagle. Taklowanie zabrało mi około dziesięciu minut, lecz czas ten, owo klarowanie, stawianie żagli, knagowanie fałów, owa robota przed oddaniem cumy jest nierozzerwalnym wstępem do dzieła, przedsionkiem, jakiego nie można i nie chce się ominąć. Po chwili stawiony grotżagiel zakołysał nade mną bomem, który całą długością drewna zdawał się uparcie, tępo i niecierpliwie wskazywać kierunek na zachód, do odległej o dwie mile wyspy, gdzie miałem spotkać rybaków wybierających z wontonów sielawę. Cuma dziobowa naprężyła się, jacht stanął w linii wiatru, lekko zaskrzypiały wiązania: „Zefir” prawie zagadał do mnie mową zgrzytów, luźnych popiskiwań i kłaskaniem trzepoczącego płótna. Lecz niespokojne, nieujarzmione jeszcze brewerie rozfalowanego na całej swej powierzchni grotu były swobodne, nieuporządkowane, bezsilne. Stawiłem fokżagiel. Ten mniejszy trójkąt płótna, na „Zefirze” nieograniczony żadnym drzewcem, łopotem wprost wyrывał się do orania twardych pokładów wiatru, do odwalania skib prądu powietrznego, i miotał luźno zwisającymi szotami, jakby chciał przez chwilę mścić się, że zawsze jest w ich jarzmie. Oddałem cumę. Zwolniony z uwięzi „Zefir” jakby zaważał się, gdzie obrócić dziób, ale odepchnięty wiosłem siłą odrzutu pełził biegiem wstecznym niezdecydowanie jeszcze, jeszcze słaby, pozbawiony prężnej równowagi, trochę przechylony masztem na nawietrzną, ciężki, bezwolny i nieposłuszny sterowi, lewą burtą odpadał do wiatru. Wybrałem szoty. Grot przybrał kształt przeciętej w połowie łyżki, fok wprowadził prąd w dyszę, maszt odkłonił się od wiatru, sflaczała istota sprężyła się, zgrzytnęła wanta i niedawny maruder ruszył, jakby nieznana moc tchnęła w niego życie. Łagodny ruch sterem wprowadził łajbę na kurs wiatru pełnego. Płynąłem. Ślad za mną podobny był do śladu zostawionego przez wędkarzy.

Płynąłem w cieniu. Na tle sinawej zieleni przybrzeżnych drzew przesuwiał się położony na prawą burtę grotżagiel: już ujarzmiony przez liny, pchany przez wiatr na zachód, bomem jak suchym ra



Szczęśliwe chwile, 1964 r.

mieniem wskazywał północ. Przede mną był zimnozielony, rozległy w chłodnym drzeniu, akwen. Nade mną, prawie jak zawsze rano, trochę bezbarwne, bez niebieskiego podbicia, niebo. Podo mną twarde deski konstrukcji, a jeszcze głębiej, pod dnem, na którym siedziałem, dnem zrobionym przez szkutników, prawdziwe dno – ubita wodą ziemia, naczynie dla jeziora. W łodzi ja sam. W dłoniach mam narzędzia nawigacyjnej mądrości: rumpel, szoty. Prawie niedostrzegalnymi dla niewprawnego oka ruchami panuję nad systemem sił połączonych myślą konstruktora w wielką jedność. Nie jestem więc sam. Mam do dyspozycji całą ludzką wiedzę w dziedzinie żeglarstwa. Jestem kogoś spadkobiercą i testament wiedzy staram się użytkować jako obiektywną zdobycz. Wypływam poza cień hangaru. Słońce rozjaśnia żagiel. Zimne światło odbija się od wody i choć uciekam falom, odkładają one na płótno niktłe refleksy, jakby księżycowych łuków w miniaturze, ciągle nowych i drżących. Widzę te świetliki i czuję na karku słoneczne ciepło; jeszcze anemiczne, zaledwie pierwszo-promienne, ale już młodzieńczo miłe i zapewniające pogodny dzień. Nie czuję wiatru. Płynę zgodnie z jego kierunkiem dmuchania. Jesteśmy z nim w idealnej harmonii: on podległy siłom wytwarzającym go przelatuje równo i łagodnie,

ja sterem zjednoczyłem z nim kierunek, by mi służył tak długo, dopóki nie uczynię zwrotu i nie rozpocznę z nim pozornie antagonistycznego dialogu, który w moim języku nazywa się kursem na wiatr. Prędzej czy później rozpocznę z nim ten dyskurs i zmuszę go do nowej służby. Wiem, że wtedy będzie gwałtowniej parł na żagle, będzie gniewnie poświstywał na wantach, będzie chwilami usiłował mnie przewrócić, wepchnąć do wody, stłamsić, zeszmacić żagle, będzie usiłował zrobić z „Zefira” wrakowate pudło. Siła jego jest wielka. Jest bratem, a w takich razach psubratem drugiego mocarza i swego sojusznika – wody. Ale nie byłem w ich gniewnej mocy, albowiem w spadku, jaki otrzymałem od mych poprzedników i nauczycieli, przekazał mi wiedzę o ich gniewie. Ich gniewna racja jest obiektywnie wielka, lecz ja mam ze sobą obiektywną rację poznania, którą panuję nad żywiołem.

Na razie jednak posłuszny wiatrowi płynę obok przystani fabrycznej, gdzie dyrektoruje sympatyczny pan z niemniej sympatyczną łysiną. Pomost Zakładów Tuczcu Przemysłowego był na razie pusty, ale za kilka dni zaludni się dwunastką młodych ludzi, którzy rozpoczną tutaj swój pierwszy krok żeglarskiego wtajemniczenia. Mijam przystań, mijam cypel i stąd już widzę ciężką, prawie nieruchomą krypę rybaków wybierających plon nocnego połowu z sieci. Twarze rybaków są brązowe od wiatru i suche. Nie jest to nabrana w czasie niedzielnego wysmażania ciał opalenizna. Ruchy mają powolne jakby nacechowane szacunkiem dla sił, którymi trzeba oszczędnie gospodarować. Podpływam bliżej i staję w linii wiatru.

– Jak połów? – zapytałem.

– Źle. Ktoś nam ryby z sieci powyberał.

– Że ryby powyberał, to mało – dodał drugi rybak, trochę blebszy i szczerbaty – ale trzy wontony odciął i poszły na dno.

– Każdy wonton kosztuje tysiąc dwieście złotych – poinformował pierwszy rybak.

Mają zatroskane miny, ale mówią spokojnie. U dolnych warg wiszą im papierosy, ręce wybierają z sieci, palce wyjmują z oczek srebrne przecinki sielawy i wrzucają do skrzyni.

– To draństwo – powiedziałem.



Jezioro Lipie

Zgadzą się ze mną spokojnym skinieniem głów.

– Co będziecie robić?

– Przywieziemy kotwicę i będziemy ją ciągnąć po dnie.

– Znajdziecie?

– Musimy znaleźć.

– Panie – powiedział rybak w starym i przetuszczonym kapełuszu na głowie, patrząc na mnie ze spokojnym uporem – nie jestem mściwy, ale takiego, jak bym złapał, to bym mu dużą krzywdę zrobił.

– Tacy są ludzie – dodał rybak w czarnym berecie.

Czułem się źle. Rybacy wiedzieli, że szkodę wyrządził ktoś z kempingu, a ja jestem jednym z tamtejszych. Najchętniej uciekłbym od miejsca występku, ale trzyma mnie solidarność i wspólna z rybakami niechęć do szkodników. Wymieniłem z nimi kilka byle jakich zdań, radziłem złożyć meldunek do milicji. Rybacy jak murmie, nie przerywając pracy, kiwali głowami, przeglądając na wpół puste wontony.

– Pan jak zawsze na wodzie – zmienił temat rozmowy rybak w berecie, o którym wiem, że cierpi na bezsenność.

– Jak zawsze – odpowiedziałem.

– Woda, to jest woda – ciągnął rybak. – Jak ktoś ją polubi, to zawsze na niej jest. Ja już dwadzieścia pięć lat jestem na wodzie.

– A tutaj jak długo? – spytałem.

– Tutaj dziewiętnaście lat.

– A ja dziesięć – uzupełnia szczerbaty rybak w kapeluszu.

Luźne żagle trzepoczą nade mną. Staram się utrzymać „Zefira” w linii wiatru, ale jacht dryfuje, oddala się od pracujących, którzy, jak mi się zdaje, robili niepotrzebną robotę, gdyż sieci były prawie puste. Oddalony od rybackiej krypy najmniej sto metrów, słyszę wołanie i widzę kiwanie ręką. Wiem, po co mnie przywołują – umówiłem się z nimi, że dadzą mi na spróbowanie trochę sielawy i chcą dać ze skromnego połowu. Nie mogę zabrać resztki pozostawionej przez nocnych grabieżców i udaję, że nie wiem, o co chodzi. Biorę wiatr w żagle i kursem półwiatru płynę tam, gdzie na południowym brzegu widać maszt harcerskiego obozu. Odbity w wodzie blask razi oczy migotliwym chłodem. Słońce zawieszona jeszcze nisko nad brzegiem nie ma wyraźnego kształtu, wschód światła był jeszcze zatarty. Z półwiatru przeszedłem do kursu na wiatr i teraz, chociaż kołatały mi jeszcze w pamięci słowa rybaków i ich strapione twarze, całą uwagę skupiłem na prowadzeniu łodzi.

Bo cóż? Bo cóż? Ktoś kradnie, ktoś jest okradany. Ktoś pracuje, ktoś występnie niszczy rezultat jego pracy. Dzieje się to być może w tej chwili na wielu akwenach, gdzie mnóstwo podobnych do mnie żeglarzy kontynuuje swój rejs, który jest podporządkowany jednemu celowi – radości pływania.

Wychyliły za burzę, trzymając w jednym ręką szoty, w drugim ster, przy każdym silniejszym podmuchu czułem, jak „Zefir” próbuje uciec spode mnie. Spoglądałem na spieniony za rufą kilwater jak na gorączkę zranionej wody i dalej, na dwie skośne fale znaczące przebyty kurs, nim ciężki rozkołys jeziora nie wchłonął je w siebie. Brałem odległość od brzegu do brzegu długimi halsami, raz na północny, to znów na południowy wschód. Każdy hals kończył się i zaczynał małą pętlą zwrotu i wtedy bom groźnie śmigał mi nad głową, a żagle chwilowym łopotem chichotały do mnie. Bolał mnie

ten rechet. Czułem, że jest to śmiech żywiołu, którego samotnie nie mogę w pełni opanować. Byłem w środku ślepych sił – zawsze tam byłem. Beznamiętne żywioły, jakie mnie otaczają ze wszystkich stron, ciągną mnie naprzód, bo nad nimi panuję. Po zwrocie dwoma ruchami rąk wybieram szoty i jak wędzidłem zmuszam żagle do prawidłowej pracy. Patrzę na nowy kurs, wybieram doraźny punkt nawigacyjny i prowadzę „Zefira” według wykreślonego wzrokiem namiaru. Jacht wygięty do tyłu, jak bokser podczas uniku, napięty od dna aż po top masztu, tnie mieczem silnie sklepioną wodę, drze ją burtami, niszczy fale i tworzy własne. Pracuje, a przy tej pracy szumi. Miły to dźwięk. Zastłuchany w niego, zapatrzony w swoje radosne skupienie, wyrażałem niemą podziękę związanej ze mną strukturze. Myślałem: ktoś pracuje, ktoś kogoś okrada, a ja płynę złączony z wypadkową ludzkiej myśli, która podniosła dno pod moje stopy, ujęła je w podłużny kształt i nakazała, by mi służyła. Moje ręce są kierunkiem i szybkością. Są przedłużeniem lin i steru. Chwalą umysł konstruktora i ręce nieznanymi wykonawców. Tworzę z „Zefirem” jedność. To prawda. Chwilami zdawało mi się, że jestem częścią łodzi.

I płynąłem. I byłem coraz bliżej przystani.

Człowieka zobaczyłem po zmianie kursu. W świetle rozspanego jeszcze słońca, które okalało go jakby ruchomymi promieniami, podobny był do zmontowanego na pomoście pachoła. Gdyby nie fakt, że znałem doskonale akwen, nawet ja, wyposażony przez naturę w świetny wzrok, mógłbym się pomylić, gdyż rzekomy kloc stał w miejscu, gdzie zazwyczaj dobijają nasze łodzie. Pomyłka moja byłaby zresztą usprawiedliwiona, gdyż wśród mieszkańców kempingu był pewien człowiek opętany manią pachoła. Kolega ten, zwalisty, wprost misiowaty i rankiem zawsze nieprzyzwoicie zaspany Paweł, gdy otrząsnął z siebie kołatające nim macki snu, rozpoczął głośne marzenie o nowych usprawnieniach. Czasem były to piękne wnioski, jak propozycje przekarczowania kanałów wodnych łączących trzy jeziora, ale często były to nierealne mrzonki rozkochanego w żeglarstwie sternika. Ostatnim marzeniem Pawła był pachoł. Miała to być drewniana konstrukcja z głębokim wyźłobieniem

u wierzchołka, w które wraz z nadejściem mroku wstawialibyśmy latarnie. Miała ona zastępować latarnię morską, gdyż Paweł usiłował z naszego jeziora uczynić namiastkę morza, co było niewątpliwą przesadą. Niewykluczone więc, że Paweł ubiegłej nocy przywłókł drewniany kłoc i umocował go na nabrzeżu.

Jednak w miarę zbliżania się do pomostu, rzekomy pachot wyrażniał jako stojący człowiek. Po chwili, kiedy byłem w jednej linii wiatru z nim, usłyszałem niewyraźne jeszcze, zatarte odległością wołanie:

– Hej tam... – i później po zmianie halsu, gdy byłem znacznie bliżej wołającego: – Hej tam, na żagłówce.

Zdanie przyniesione do mnie w strzępach przez wiatr było pierwszym sygnałem poznania – człowiek wołający do mnie. Nie był żeglarzem! Gdyby znał prawidła lawirowania jachtem, musiałby poznać, że „Zefir” płynie najostrej jak tylko można i że celem jego jest pomost, na którym wołający stoi. Człowiek sądził chyba, że zbliżam się zbyt wolno, gdyż w dalszym ciągu, już znacznie wyraźniej, wzywał mnie do siebie. Wkrótce jednak najwidoczniej pojął sens manewrów i przestał nawoływanie. Teraz zwyczał. Stał z rękami w kieszeniach na narożnym krańcu pomostu okalającego kempingowe kąpielisko.

Przygotowywałem się do ostatniego manewru, który jest ciągle powtarzaniem i zawsze najważniejszym sprawdzianem umiejętności sternika. Dobre dobicie do pomostu daje wiele zadowolenia i jest kwitowane przez żeglarzy milczeniem podobnym do milczenia, gdy dojscie jest fatalne. Ale różnice w tym bezsłowniu są wyraźne, wprost materialnie odczuwalne.

Chociaż na pomoście nie było ani jednego świadka manewru – stojący z rękami w kieszeniach nie-żeglarz nie wchodził w rachubę – nawykowo dochodziłem do przystani według wszelkich reguł i nakazów bezpieczeństwa. Puszczone luźno żagle załopotwały i na półtorej długości łodzi od drewnianych bali „Zefir”, siłą inercji, trochę hamowany łopotem żagli, powoli dochodził. Posłuszny sterowi, prawidłowo zwalniasz bieg, jakby bezsilnie, ostatnim skłonem zbliżał się do uwięzi. Lecz zanim dotknął pomostu, opuściłem ster

i kilka susami przebiegłem na dziób, skąd z cumą w rękę wyskoczyłem na pomost. „Zefir”, zachwiany przeze mnie w równowadze, zakolebał się, niespokojnie kołysząc masztem, lecz przycumowany uspokoił się, tylko żagle furkotały jak prześcieradła na bieliźnianej lince. Spojrzałem na nieznanego. Stał kilka kroków ode mnie wyprostowany, z rękami w kieszeniach, jak go widziałem z wody – wprost posąg przybrany w garnitur z elany. Nie odezwał się do mnie, nie pozdrowił mnie, najwidoczniej czekał na pierwsze słowo z mej strony. Po przycumowaniu jachtu wskoczyłem na podkład i jakby nikogo przy mnie nie było, milcząc, zwalniałem fał foka. Nieznajomy przyglądał się mojej robocie. Dopiero jak wszedłem na dziób, by poodpinać reksy, dalej nie wyjmując rąk z kieszeni, podszedł na skraj pomostu i zapytał:

– Czy w tym ośrodku nikogo nie ma? – w głosie nieznanego wyczułem odcień zniecierpliwienia i irytacji, co zresztą potwierdzały zacięte usta i wręcz ponure spojrzenie.

– Czy to pan mnie wołał?

– Ja pana wołałem. Jestem tutaj od godziny i nikogo nie mogę znaleźć.

Zluzowany fokżagiel opadł bezwładnie na dziób „Zefira” tuż u moich stóp i teraz całkowicie odśłonięci staliśmy naprzeciw sobie przy dwóch końcach cumy: on na pomoście, ja na jachcie, on na przedłużeniu gruntu trwałego, ja na chybotliwej jednostce, on z rękami w kieszeniach, ja z jedną ręką opuszczoną, a z drugą na sztagu. Patrzyliśmy na siebie – ja ze szczerym zaciekawieniem, on z gniewnie ściągniętymi brwiami.

– Jeszcze śpią – powiedziałem dotykając twarzą stalowego sztagu, który odcisnął się na policzku chłodną rysą.

– Śpią – zgodził się, rzucając okiem do tyłu na stok, gdzie domki i namioty cicho pyszniły się różnokolorowymi barwami. – Śpią, a ja czekam od godziny. Długo jeszcze będą spać?

– Niezbyt długo – odparłem, kołysząc się lekko razem z „Zefirem” – najwyżej około półtorej godziny.

– Zaczynają urzędować o wpół do dziewiątej? – spytał, spoglądając na zegarek.

- Od dziewiątej – poprawiłem – ale już są wcześniej.
- Bałagan – orzekł. – Nawet bramy nie ma kto otworzyć.
- Jest stróż nocny.
- Jest, ale zakazali mu wpuszczenia samochodów na teren ośrodka przed rozpoczęciem urzędowania. Pan gdzie garażuje?
- Nigdzie. Nie mam wozu.

Spojrzał na mnie i kiwnął lekko głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że rozumie mój stan nędznego piechura. Nawet odwrócił głowę w lewo, co zrozumiałem jako gest panka, który nie chce zmniejszać dzielącego nas dystansu. Znałem wielu takich ludzi, ale ten wydawał mi się być bardzo interesujący. Chwilę milczał, rozglądając się wyniośle po wodzie i znów spytał:

- Ta żaglówka jest pana?
- Należy do klubu – wyprowadziłem go z błędu.
- Też nie pana.
- Nie moja.
- Czy klub wypożycza żaglówki?
- Ośrodek wypożycza.
- Będą mi potrzebne – odrzekł i znów umilkł. Ale za chwilę znów spytał: – Czy tutaj jest poczta?
- Poczty nie ma, ale listy dochodzą.
- Nie wie pan, czy otrzymali ode mnie telegram?
- Nie wiem.
- Bałagan. Wysłałem telegram, że przyjeżdżam dzisiaj rano i nikogo nie ma. W takim bałaganie chcą zagranicznych turystów przyjmować. Nie wie pan, czy mają wolne domki?
- Raczej nie mają.
- Muszą mieć.

– Wczoraj słyszałem, jak kierownik odmawiał przyjęcia pewnemu Holendrowi. W drodze wyjątku wypożyczyli mu namiot. Tam stoi – pokazałem skinieniem głowy namiot wrzosowego koloru.

Spojrzał w tamtym kierunku i od tej chwili nie odwracał się do mnie. Stał zapatrzony w jeden punkt, jakby nawiedzony niezwykłym widokiem. Nagle rzucił przez ramię:

- To jest samochód marki „Rekord”!

– Nie znam się na tym – odparłem opuszczając grotzagieli.

– Prawda, pan nie ma wozu – stwierdził rzeczowo, a po chwili znacznie uprzejmiej z grzecznością pana w koloniach dodał: – Przejdźmy się zobaczyć tego Holendra.

– Dziękuję – powiedziałem znad bomu – muszę najpierw uporzędkować jacht.

Odwrócił się gwałtownie.

– Nie chce pan zobaczyć „Recorda”?

W głosie jego było wiele zdumienia, w spojrzeniu wiele zaskoczenia, na twarzy przybysza malował się ogłupiały wyraz człowieka dotkniętego jakimś szczególnym kataklizmem niedowierzania. Cała jego postawa zdawała się wyrażać tę treść, że oto ktoś drwi z niego niemiłosiernie.

– Już go widziałem – usprawiedliwiłem się.

– Widział pan i nie chce pan zobaczyć jeszcze raz? Pan myśli, że ja go nie widziałem? Niech pan nie żartuje.

– Ja nie żartuję.

Nie dowierając mnie, sobie, przysłonił oczy daszkiem z ręki, gdyż najprawdopodobniej sądził, że samochód stojący przy namiocie nie jest „Rekordem”, jeśli odnoszę się do niego tak opieszale. A gdy upewnił się, że wizja, jaką utrwalił w pamięci, zgadza się z rzeczywistymi kształtami, odwrócił się do mnie i powiedział:

– Jak powtórzę kolegom w naszym biurze, że ktoś nie chciał oglądać samochodu marki „Record”, będą mieli o czym gadać najmniej przez dwa dni.

– Rozumiem – odparłem.

Kiwnął litościwie głową i po szczebelkach pomostu poszedł w kierunku plaży. Patrzyłem za nim, jak brnie przez piasek, a następnie przez zroszony porankiem ugór wprost do stojącego za wrzosowym namiotem czerwonego samochodu.

II

Dzień zaczynał się tam około godziny dziewiętej. Siedziałem na skarpie przed domkiem i przygotowując śniadanie obserwowałem świt ludzi. Rozespani mieszkańcy kempingu wychodzili przed budki, przeciągając się i ziewając prosto w słońce. Z daleka wyglądali jak niemrawe kukły. Chociaż dzień wkroczył już na ziemię pełną stopą, ludzie witali go zatartymi snem oczyma, jakby poznając go na nowo i pozdrawiali sąsiadów dobrym słowem o dobrej godzinie. Zdawać się mogło, że zebrani tutaj przypadkowo z różnych stron kraju urlopowicze przywieźli ze sobą całą ludzką życzliwość. Twarze stroili w najmiłsze uśmiechy. Bo i było do czego. Słońce weszło na lewy skłon. Wiatr, dmuchający od rana dość łagodnie, zdawał się być powołany tylko do studzenia żarliwych promieni. Dzień czynił poranną toaletę. Nikłe chmury stroiły pejzaż nieba. Rozczochrane kobiety z ręcznikami na głowach dyskretnie przemykały do osłoniętych krzewami części brzegu, by tam, w ustronnym miejscu, spokojnie celebrować przygotowanie do dnia. Dziewczyny zbiegały po stoku wprost do oficjalnego kąpieliska, nad którym powiewała czarna flaga, znak, że ratownik nie rozpoczął jeszcze pracy. Pomiędzy domkami chodziła gruba sprzątaczką z miotłą i wiadrem, oferując swoje usługi. Powolny rozwój dnia odbywał się w normalnym rytmie, pogody i życzliwości. Ludzie na razie nie zespalali się w kempingowe zbiorowisko. Nosili po stoku swoją ospałość, zmywali ją w wodzie, by tam w zetknięciu z naturalnymi sojusznikami: wodą i wiatrem, odzyskać godną dnia urodę.

Taka była poranna geografia stoku, jaką obserwowałem prawie każdego dnia.

Przed gęsto ustawionymi u podnóża stoku namiotami rozpalano ognisko, sygnały, że kemping rozpoczynał przygotowywanie



Domki kempingowe stały w trzech rzędach

posiłków. O tej porze, w czasie palenia ognisk, po stoku rozpoczynał gospodarski kurs pan Franek, inkasent, urzędnik meldunkowy, zbieracz trosk, radca i pomocnik przy rozwiązywaniu drobnych kłopotów obozowego życia. Pan Franek był nieodłączną częścią poranka. Podchodził do ognisk, pozdrowił lokatorów, pytał o troski, notował usterki w grubym kajecie, ustalał z mieszkańcami czas napraw światła, zepsutych zamków, okien, drzwi, słowem patronował dobremu humorowi ludzi. Był małomówny, ale skrzętny i zapobiegliwy. Pan Franek dużo wiedział o każdym mieszkańcu kempingu. Niektóre wiadomości odczytywał z kartek meldunkowych, innych dowiadywał się od samych ludzi. Wiedział, ale nie wiedział. Wszelkie wiadomości dyskretnie ukrywał pod chyba nigdy nie zdejmowanym z głowy kaszkietem. Dzisiaj tradycji dnia stało się zadość. Z mego wzniesienia widziałem, jak Franek powoli krążył między ogniskami, przystawał, notował, dotykał palcem kaszkietu, o czymś rozmawiał i z minuty na minutę coraz bardziej zbliżał się do mego punktu leniwej obserwacji.

– Dzień dobry panu – powiedział, przykładając palce do daszka kaszkietu.

- Dzień dobry.
- Ładną mamy pogodę.
- Piękną.
- Ładna pogoda, to i ludzie przyjeżdżają na odpoczynek.
- Chcą wykorzystać urlop.
- Będzie pan miał sąsiada, będzie mieszkał pod ósemką.
- Co to za sąsiad?
- Inżynier z Zielonej Góry. Ma samochód i mówi srogo. Pracuje w jakimś wojewódzkim urzędzie.
- Pan już z nimi oswojony. Ma pan przecież gości nawet z Warszawy. Podobno minister u pana mieszka?
- Prawda, ale minister jest już na emeryturze, a ten pan z województwa urzęduje. Chociaż na urlopie, ale urzęduje.
- Poznałem tego pana.
- To pan już wie. Pod dziesiątką też będę miał nowych gości.
- Panie wyjeżdżają?
- Zmieniają domek na namiot.
- Dlaczego?
- Mówiły, że w namiocie zdrowiej spać.

Kiedy rozmawialiśmy o bieżących nowinach, w bramę wjechał samochód. Przez chwilę kolebał się na wybojach gliniastej drogi, podnosząc za sobą tuman gęstego pyłu, jakby chciał spokojnie dobrać do oznaczonego napisem parkingu, aż nagle skręcił pomiędzy namioty.

- Co on robi? – powiedział Franek poprawiając kaszkiet.
- Chce tutaj podjechać – powiedziałem, z zainteresowaniem patrząc na manewry kluczącego pomiędzy ogniskami i ludźmi kierowcę, który wywijał, zostawiając za sobą wykrzykujących gniewnie ludzi i już ocierał się o następny namiot, ani na chwilę nie zmniejszając pędu, prychnął do tyłu niebieską strugą spalin. Był szybki, władczy i mechaniczny, był zwycięski opanowaniem maszyny, parł na pełnych obrotach pod górę, prosto do naszego segmentu domków. Buńczucznie i głośno wdzierał się w spokój rozwijającego się na kempingu dnia, aż zgrzytnął hamulcami tuż przy skarpie i stanął gwałtownie, jakby zapierając się kołami w grunt.

– Tutaj nie wolno wjeżdżać – powiedział do mnie stropiony Franek.

Staliśmy z Frankiem, patrząc, jak inżynier wychodzi z samochodu, jak zamyka wóz. Zdawać się mogło, że interesował nas najmniejszy nawet ruch przybysza, który w garniturze z elany i dość fikuśnym kapeluszu wyglądał jak ułan dzisiejszych dni: mundur przylegał do ciała dobrze, spod kapelusza wyglądały oczy patrzące pewnie i władczo.

– Zdaje się, że dobrze trafiłem do mego domku – powiedział podchodząc do nas.

– Dobrze – oznajmił Franek – ale tutaj nie wolno wjeżdżać.

– Ma pan mój klucz?

– Mam klucz, ale tutaj nie wolno...

– Nie szkodzi. Muszę mieć wóz przy sobie. Niech pan da klucz, bo muszę rzeczy wyładować.

– Mnie nic do tego, gdzie stoją samochody, ale kierownik mówił, że nie wolno.

– Dobrze jest. Z kierownikiem załatwię. Niech pan pamięta o tym, co panu mówiłem.

Wyjął z dłoni Franka klucz i poszedł do domku.

– Co mam robić? – spytał mnie Franek, poprawiając kaszkiet, z miną wielce zakłopotaną.

– Nie wiem.

– Ja też nie wiem. Powiem kierownikowi, może on będzie wiedział. Znaczny gość, grzeczność mu się należy...

– O czym panu kazał pamiętać?

– Ma przyjechać do niego jakaś pani, blondynka, jakby go nie było, to kazał ją tutaj przyprowadzić. Chyba pójdę dalej, a później powiem, żeby sprowadził wóz na parking.

Dotknął palcami kaszkietu i wspiął się na skarpę. Po chwili szedł po stromiźnie do następnego segmentu domków. Mały incydent z inżynierem nie mógł trwale zakłócić porządku dziennego prac tego człowieka. Chodził równo od domku do domku, zgodnie z czasem swoich obowiązków, jak dobrze zakonserwowany zegarek. Natomiast nowy sąsiad chodził od chatki do samochodu,



Uliczka z domkami

przenosząc tłumoki. Dotychczasowi przybysze zachowywali się nieco inaczej. Na ogół nowy przede wszystkim przystawał na krótką pogawędkę z sąsiadem i wywiadywał się o miejscowe warunki. Ten wjechał na stok wbrew zakazom, na samym wstępie zebrał porcję wymysłów od mieszkańców z dołu, interweniującego Franka prawie nie dopuścił do głosu, słowem zachowywał się bardzo pewnie. Dopiero gdy wniósł do domku ostatnią paczkę, wyszedł przed chatkę i przeciągnął się. W tym geście było coś swojskiego, kempingowe-

go, związanego z oglądającymi poranek ludźmi. Jeszcze raz się przeciągnął, zapalił papierosa i powoli podszedł do mnie.

– Pan tutaj mieszka – powiedział.

– W tym domku – pokazałem.

– Aha, a w następnym?

– Tam mieszkają dwie panie.

– Aha.

Nie byłem pewny, czy słucha moich odpowiedzi, gdyż owo aha było bardzo nijakie, zbyt ubogie jak na wstępne zaciekawienie człowieka.

– Brawurowo pan wjechał – powiedziałem.

– Mam dobrze przygotowany wóz – ziewnął. – Całą noc nie spałem. Pan dobrze zna ten ośrodek?

– I pan go już zna – zrobiłem szeroki gest dłonią.

– No tak, ale mnie chodzi o jezioro – teraz głos jego stał się jakby przymilny. – O jakieś zakątki bez ludzi. Są takie?

– Jest ich wiele.

– Pokaże mi pan?

– Oczywiście. Jeżeli pan zechce, to bardzo chętnie – powiedziałem może zbyt gorliwie.

– Bo, wie pan, ja muszę znaleźć takie zakątki jeszcze dzisiaj.

Teraz słyszałem w jego głosie coś jakby pokorne zawstydzenie.

– Jest tutaj wiele pięknych zakątków. Codziennie pływam jachtem po małych zatoczkach, ocieram się o nawisłe nad wodą gałęzie, piję wodę ze spływających do jeziora źródełek.

– Źródełka też mi będą potrzebne. Kiedy pan mi je może pokazać?

– Za pół godziny wypływam.

– Teraz chciałbym się przespać, może po południu?

– Po południu też wypływam.

– Ale o takiej porze, żebyśmy na piątą wrócili.

– Możemy wypłynąć o drugiej.

– Dobrze. Przewiozę pana za to samochodem.

Umilkłem przytłoczony niespodziewanym wyrazem wdzięczności, a on dodał, zapewniając:

– Mój wóz dobrze chodzi. Jazda nim jest prawdziwą przyjemnością – zachwalał. – Chociaż to tylko „Moskwicz”, jednak mało który wóz go prześcignie – zapewniał, uśmiechając się do samochodu stojącego obok domku.

Zaległo między nami długie i kłopotliwe milczenie. Inżynier wodził oczyma po stoku, a ja myślałem o sąsiedzie, usiłując jego zachowanie przetłumaczyć na mój język i moje rozumienie świata: był trochę buńczuczny, trochę władczy, trochę nonszalancki i ułański, ale był też chyba autentycznie rozkochany w samochodach. Ponieważ od pewnego czasu byłem wyznawcą zasady, że absolutnie każdy człowiek ma prawo do własnego sposobu bycia, obiektywnie rzecz biorąc, nie miałem prawa negować jego zachowania. Pierwszy przerwał milczenie inżynier.

– Pan o tym nie wie, ale dobry samochód to połowa dobrego życia. Kiedyś, jak nie miałem samochodu, to byłem nic: puch, pył, mietlica albo funt kłaków. Żadna kobieta nie chciała na mnie patrzeć! Teraz jest inaczej.

– Daje to panu wiele szczęścia?

– Daje – powiedział bez najmniejszego wahania.

– Ale chce pan szukać uroczych zakątków.

– O tym pan mówi. Szukam, panie, szukam, ale – machnął ręką – to jest zupełnie inna sprawa. – Drugi raz machnął ręką i roześmiał się. – Pan naprawdę sądzi, że ja szukam źródełek?

– Tak pan mówił.

W dalszej rozmowie przeszkodziła nam Krystyna, kobieta, z którą najchętniej przebywałem w czasie dotychczasowego pobytu na kempingu.

– Mój mały przysłał mnie do pana – powiedziała.

– Zaraz wypływamy – odparłem z uśmiechem. – To nasz nowy sąsiad – dodałem zaraz.

– Widziałam, jak pan wjeżdżał – powiedziała Krystyna, podając rękę inżynierowi. – To pana wóz?

– Mój.

– My mamy „Wartburga”.

– „Wartburg” też dobry. Ma pani go tutaj?

– Został w domu.

– Jak pani będzie miała ochotę się przejechać, to chętnie służę – zaproponował, patrząc na Krystynę dość natarczywie.

– Dziękuję – powiedziała, patrząc na mnie – ale dziś płynamy na żaglówce.

– A my o drugiej – zwrócił się do mnie.

– My o drugiej – potwierdziłem i ukłoniwszy się znajomemu odeszliśmy z Krystyną w kierunku jej domku.

Kiedy stanęliśmy obok jej chatki, obejrzałem się: inżynier stał oparty o maskę wozu i patrzył za nami, jakby chciał wypatrzyć, co kryje się za tym, że Krystyna nie skorzystała z nęcącej propozycji przejażdżki „Moskwiczem”, a wybrała jacht. Oczywiście, że nie mogłem wiedzieć, o czym on myślał, ale domysł ten był dla mnie miły. Domyślałem się tak, gdyż chciałem się tak domyślać. Pamiętam, że od trzech dni każdy gest Krystyny tłumaczyłem sobie zgodnie z moimi subiektywnymi chęciami. Obejrzałem się dwa razy. Inżynier długo stał obok samochodu: stał, kiedy Krystyna wyszła z domku, stał, gdy schodziliśmy ścieżką na przystań, stał, gdy spytała:

– Kim jest ten pan?
– Mój nowy sąsiad – poinformowałem. – Nasz nowy sąsiad.
– Nasz nowy sąsiad – powtórzyła za mną głosem podobnym do oddalającego się, ale jeszcze wyraźnego echa.

Na plaży i pomoście było już kilkanaście osób. Amatorzy porannej kąpeli, wbrew surowym zakazom, jakie były wypisane na tablicy, chlapali się w wodzie. Byli to na ogół młodzieńcy w wieku około dwudziestu lat, weseli, zgrabni, dorodni. Także dziewczęta okryte zaledwie nikłymi szmatkami na biodrach i piersiach. Biegali po pomoście, baraszkowali, spychali się do wody, grali w berka. Przyjeżdżali na kemping stadami. Przywozili ze sobą gitary, tranzystorowe odbiorniki, organizowali doraźne seanse jazzowe, tańczyli, śpiewali, tworząc dni pogodne, muzyczne i beztroskie. Często, gdy taklowałem „Zefira”, stawali przy mnie w milczeniu i asystowali wstępnym pracom tak długo, dopóki jacht nie odbił od przystani.

– Chętnie poganiałabym za nimi – powiedziała Krystyna, patrząc z uśmiechem na młodzieńcze igraszki.

– Niech pani pobiega – zaproponowałem – ja poczekam.

– Nie – powiedziała zamyślona. – Już wyrosłam z tego.

– Na młodość nigdy nie jest za późno – zachęcałem ją komunałem.

– Na jachcie też się czuję młoda – stwierdziła i wskoczyła na pokład „Zefira”.

Po chwili odpłynęliśmy w nasz codziennie przyjemnościowy rejs, podczas którego pilnowałem jachtu i rozgrywałem z Krystyną pantomimę gestów, nieznacznych uśmiechów, pozornie przypadkowych dotknięć, wyraźnych dla nas, lecz niepojętych dla pięcioletniego jej synka. Popędniliśmy wobec niego drobne oszustwo. Kłamaliśmy mu powagą zachowania i tłumaczeniem, że płyniemy dla niego. Wykorzystywaliśmy nieświadomą naiwność dziecka, czasem śmiejąc się z niej, czasem ją podziwiając. Zwracaliśmy uwagę chłopca na piękno przyrody, ale przecież chyba po to, by pokazywać je sobie. Było nam z tym oszustwem dobrze i przez kilka poprzednich rejsów przyzwyczailiśmy się do owej mimiki, która przecież znaczyła więcej niż uśmiech i mrugnięcie.

Po godzinie krążenia po akwenie chłopiec się znudził. Wróciliśmy więc do przystani, gdzie czekał już na mnie Paweł. Oddałem mu „Zefira”, gdyż była pomiędzy nami doraźna umowa, że do czasu przywiezienia pozostałych jednostek klubu, z jedynego jachtu będziemy korzystać na zmianę.

Rejs

Staszкови Dudzińskiemu

Żwawe jest dziś słowo i wiatr je popycha
Wołając od brzegu Czekamy – Odpowie?
Echo wpada w żagle i łódź pcha do przodu

Ślizg burty jest jakby ślizgiem światła w nocy
Księżyc je łuszczy kosmicznym nożem
Płyniemy z wiatrem Wiatru pełne żagle
Spętani niewolnicy niosą nas do gładzi

Zbieramy światło Jest radość z poślizgu
Czasem chichot żagla jak czerwien zachodu
Czasem pogwizd jungi – przestępstwo na wodzie
Czasem klątwą prosimy Boga o pogodę

Pod nami sinica Martwe oko wody
Gładkie jak rozpacz Jak smutny zwis żagli
Jeszcze trzeba ruszyć z martwicy pięć kroków
Jeszcze jeden podmuch trzeba wykląć srogo
Jeszcze czoło zmarszczyć
Niech się wiatrem odbije na zabitej wodzie

Minęliśmy ciszę Znów słowo jest żwawe
Minęliśmy lustro jak odbicie smutku
Żagle znów pracują jak wygięte grzbiety
Sine niebo odbija się stalą przy dziobie

III

Zgodnie z umową o godzinie drugiej znów otrzymałem od Pawła jacht i wypłynąłem z inżynierem szukać uroczych zakątków. Wiatr nie zmienił kierunku ani natężenia. Mając go pełne żagle, spokojnie płynęliśmy do cypla, za którym była wyspa. Siedzieliśmy w kokpicie po pachy zanurzeni w łodzi, leniwie, prawie bezmyślnie obserwując brzegi i kręcące się po wodzie turystyczne kajaki. Woda tutaj była otwarta, brzegi owalnie wciśnięte w ląd, nie było czego szukać. Płynęliśmy prawie w milczeniu, jakby utoczeni z ciszy i spokoju, zespoleni z „Zefirem” drewniano i nieruchomo, jak wyrzeźbiona ręką snycerskiego mistrza para głów. Zdawać się mogło, że rozległy na kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych spokój jeziora całkowicie nas otumaniał milczeniem. Całkowicie wolni w swobodzie wypowiedania się, trwaliśmy w milczeniu, jak para spiskowców, którzy spiskują przeciwko komuś i przeciwko sobie. Inżynier myszkował wzrokiem po brzegach. Domyślałem się, że poszukuje wspomnianych zakątków i choć wiedziałem, że tutaj ich nie ma – oczywiście w moim rozumieniu piękna niezwykłego, specjalnie utajonego i uciszonego piękna, jakie dziś już trzeba szukać – nie przerywałem mu poszukiwań. Za cyplem zmieniłem kurs. Teraz półwiatrem zbliżyliśmy się do wyspy, pierwszego punktu, który można byłoby uznać za docelowy. Obejrzelśmy wyspę, miejsce dogodne do chwilowego odpoczynku, ale nieprzydatne na dłuższy biwak: grunt tutaj był podmokły, komunikacja z lądem trudna. Wskazywałem inżynierowi dodatnie i ujemne strony skrawka ziemi okolonego wodą, a on kiwał głową, potakując tym gestem mnie i swoim myśлом. Gdy znów byliśmy na jachcie, powiedział:

– Dobre to miejsce, ale jeszcze za mało.

– Za mała wyspa? – spytałem, nie wiedząc, o co mu chodzi.

– Nie, wyspa nie jest mała.

Po chwili, kiedy wyspa była już tylko odległą od nas kępą drzew, znów zaczął rozmowę.

– Pan mnie wozi, a nie umówiliśmy się, ile kosztuje wynajęcie żaglówki.

– Nic nie kosztuje – powiedziałem zaskoczony.

– I pan tak darmo ludzi wozi?

– W każdym razie nie za pieniądze.

– A za co?

– Porozmawiajmy lepiej o czym innym – zaproponowałem.

Umilkł. Najwidoczniej niepokoiła mego pasażera nieustalona z góry cena za przewóz, gdyż milczał, pocierając od czasu do czasu dłonią wygolony podbródek. Być może myślał o czymś intensywnie, coś rozważał, coś kalkulował, gdyż po chwili wyrzekł:

– Pan oczywiście wie, że ja pracuję w zarządzie dróg wodnych?

Teraz i ja domyśliłem się, co wykombinował. Kalkulacja jego była przeraźliwie prosta: jeśli ja pływam żaglówką po wodzie, a on pracuje w zarządzie wodnym, to chyba jasne jest, że jestem w jakiś sposób od niego uzależniony.

– Wiem – powiedziałem kłamliwie po to tylko, by przynajmniej na razie nie zmienić rozumowania. Skinął głową. Ale najprawdopodobniej osądził, że moje wożenie jest dość wygórowaną ceną za jego pozorne zwierzchnictwo lub być może chciał na grzeczność odpowiedzieć równą monetą.

– Wozi mnie pan – powiedział – informuje mnie pan, a nie wie pan, po co ja szukam tych źródełek.

– Nie wiem. Może pan chce opracować jakiś przewodnik turystyczny? Może pan lubi przyrodę?

– Nie znam się na tym, a przyrodę lubię, też lubię, owszem, przyrodę trzeba lubić, ale dzisiaj chodzi głównie o nią. Ona takie rzeczy lubi.

– Pani, która ma przyjechać?

– Ona, ona lubi takie zakątki, źródelka i inne tym podobne rzeczy. Jak pana zobaczyłem rano, zaraz sobie pomyślałem, że jeśli pan

pływa na żaglówce, to pan musi znać jezioro. Bo ja myślę tak – jeśli ktoś coś znalazł, to po co ma drugi szukać, szkoda czasu.

– I dlatego pan mnie wołał.

– Nie tylko dlatego. Chodzi o to, że ona chyba lubi pływać na żaglówkach – głos jego teraz był przymilny, spojrzenie kokieteryjne. – Ja, oczywiście, nie chcę za darmo. Ja wiem, na czym polega życie i myślę, że możemy się dogadać. Czy mam rację?

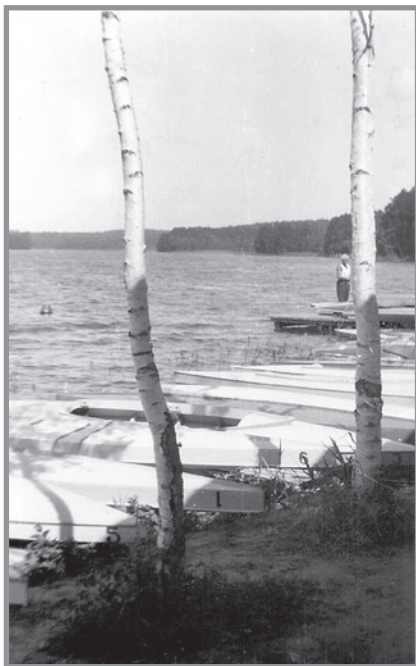
Skinąłem głową, gdyż nie chciałem i nie mogłem zaprzeczać. Był wyrazicielem pewnej racji, jaką znałem z międzyludzkich kontaktów, obiektywnej racji, którą można przyjąć jako dążenie do ekonomii czasu. Umówił się z kobietą nad jeziorem, gdzie, jak słusznie sądził, muszą być interesujące uroczyska godne wspólnego obejrzenia, ale by je znaleźć, musiałby przepłynąć brzegami kilka kilometrów, co byłoby oczywistą stratą czasu, którego nikt nie zdoła zrekompensować. Był też człowiekiem interesu, rzeczowym kalkulatorem. Nadzwyczajna rzeczowość sąsiada i jego szczerłość całkowicie mnie zniewoliły przede wszystkim tym, że potwierdzały moje tezy o pewnej kategorii ludzi, jakich dochowały się nasze czasy.

– Podziwiam pana – powiedziałem.

– Dlaczego? – spytał. – Dlaczego mnie pan podziwia?

– Za rzeczowe myślenie.

– Nic w tym nadzwyczajnego – przybrał znów ton wyniosłej pewności siebie. – Ja nie lubię komplikować życia. Po co szukać zawiłych dróg, kiedy można dotrzeć do celu prosto.



Jezioro czeka

– I nigdy pan nie ma żadnych wahań, kłopotów z wybraniem – jak pan nazywa – właściwej drogi?

– Kłopotów? Wahań? Nie mam kłopotów ani wahań. Jeżeli mi jedno nie wychodzi, zajmuję się czymś innym. Ale wiem, o czym pan mówi. Są tacy wariaci, że bawią się w zawilości, a potem powiadają, że cierpią. Chodzą po świecie jak obdartusy, włączają się wśród ludzi i gadają, gadają, aż obrzydliwość bierze słuchać. To są, proszę pana, nygusy. Takich bym do roboty zapędził, odechciałoby się im przeżywania.

– Jednak pan chce zorganizować komuś przeżycia.

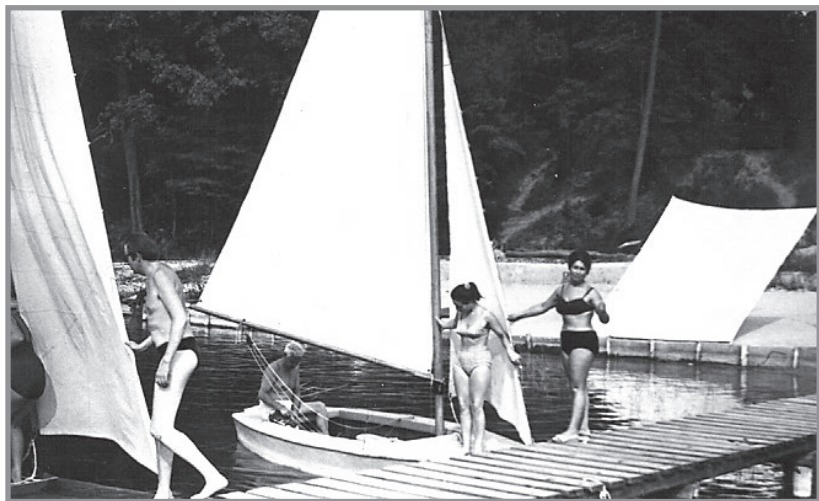
– To jest zupełnie inna sprawa. To dotyczy kobiety. Kobiecie czasem potrzeba trochę chmurek, łączek, wody i takich innych rzeczy – trzeba jej te koraliki i świecidełka dostarczyć, a czasu na taką zabawę mało.

– Dlatego płyniemy – wtrąciłem.

– Ma pan rację. Jak widzę, pan też jest człowiekiem dobrze myślącym. Ale wracając do tamtych, przepraszam pana, w pańskim zawodzie często zdarzają się tacy dziwacy. Znam jednego takiego: brudny, głodny, nic nie ma, a wciąż przeżywa – geniusz zamazany. Pisałby o tym, jak się pracuje, co się robi; każdemu nazwisko w gazecie miłe! Ale jak ja zrobiłem most, złamany cwajnos o tym nie wiedział, a jak jakiś skryba marne wierszydło napisze, z którego nic człowiek zrozumieć nie może, to całe artykuły wypisują. Dobrze, że nie wszyscy są tacy – spojrzał na mnie.

Anektowałem mnie na swego sojusznika i obiektywnie rzecz biorąc, w danym razie wcale się nie pomylił. Prowadziłem jacht zgodnie z jego intencjami. Przyznawałem mu rację nie tylko sterem, nie tylko umiejętnościami prowadzenia łodzi żaglowej, ale i własnym stosunkiem do świata, który nazywałem obiektywnym. A że w obiektywności nie mieści się żadna negacja, żadna postawa ani żadne emocjonalne odniesienie do zjawisk, nie negowałem jego wywodów, a raczej potwierdzałem je każdym metrem drogi nad dnem.

Do głęboko w łódź werżniętej zatoczki wpłynęliśmy siłą inercji. Wąska kieszeń spokojnej wody pokryta była liśćmi i biało rozkwitającą kolonią nenufarów. Rzadko wdzierające się tutaj podmuchy



Koniec rejsu

wiatru sięgały co najwyżej fałowego rogu grotu, który nieregularnie chybotał „Zefirem”, przechylając się na obie strony. Woda po wierzchu wyrównana była aż do gładzi, a w głąb przejrzysta aż do rosnących na dnie wodorostów, które wyglądały jak zastygłe w zielonkawym bursztynie łąki.

– Pięknie tutaj – powiedziałem.

– Pięknie, ale to jeszcze za mało. Musimy jeszcze kilka takich miejsc znaleźć.

Zatoczka kończyła się przesmykiem na następne jezioro. Wpłynęliśmy tam przy pomocy wiosła, którym pracował inżynier. Ja sterowałem wśród krętych zakoli, wymijając sterczące z bagnistego gruntu pniaki i korzenie. W tym miejscu, w prawdziwym wąwozie z drzew byliśmy intruzami: przed nami umykały chmary narybku, nad nami pogwizdywały ptaki zaniepokojone przesuwanym się na wysokości gniazd żaglem. Tylko owady, jakby zadowolone z naszego przybycia, obsiadły nas i cięły. A kiedy przebrnęliśmy pastwisko wodnych much, bąków, komarów i innego paskudztwa, przed nami w promieniach rażącego od dziobu słońca rozpostarło się drżące refleksami światła jezioro. Teraz mieliśmy wiatr z tyłu.

Doraźnie przyuczony do obsługi fokzągla inżynier trzymał za szoty najzupełniej bezmyślnie, co powodowało nierówną jego pracę. Musiałem nieustannie korygować pracę szotowego. Z roli pouczanego bezustannie załoganta nie był zadowolony. Widząc pewne odruchy niechęci u szotmena, zdecydowanie przyjąłem postawę dowódcy jednostki, a nawet żądałem powtarzania komend. Wiem, że w warunkach turystycznego pływania na małej jednostce, gdzie dwuosobową załogę stanowią sternik dowódca i jedyny szotmen wykonawca poleceń, żądanie powtarzania komend jest wielką przesadą, ale korzystałem z mego prawa z zabawnym uporem, jakbym miał na pokładzie młodzieniaszka z kursu, któremu przede wszystkim trzeba wtłoczyć w mózg zasadę bezwzględnego posłuszeństwa na wodzie. Moje miejsce przy sterze było przywilejem zdobytym pod okiem z piekła rodem bosmanów, którzy, zdawać się mogło, podczas szkolenia przede wszystkim obrzydzają żeglarstwo młodym kandydatom.

Oczywiście nie miałem zamiaru uczyć inżyniera żeglarstwa, ale uczony w szkole wielkiej zenzy, z której rękami musiałem wybierać wszelkie nieczystości, chciałem turyście pokazać, że jest zasadnicza różnica między widzeniem jachtu z brzegu, a byciem na pokładzie. Z brzegu jest on biały, pięknie połyskujący wylakierowanymi burtami i wypucowanymi okuciami, pyszny białością żagli, wprost strojna ozdoba akwenu; uzupełnienie do oglądanego na pocztówkach widoczku. Ale ten, kto tak patrzy na jacht, nie zdaje sobie sprawy z tego, ile pracy trzeba włożyć, by śmigająca beztróska po falach jednostka była podobna do siebie.

Przygodni obserwatorzy żeglarzy widzą ich jako opalonych na czekoladowy kolor beztróskich chłopców. Podziwiają ich brązową skórę, głowy nakryte finezyjnymi czapeczkami, ale nikt nie ogląda ich rąk: stwardniałych, pełnych odcisków i blizn, nierzadko świeżych zadrapań, rąk z połamanymi na strzępy paznokciami, rąk brudnej roboty. Nie oglądają ich też wtedy, gdy żywioł odzywa się brutalnym pomrukiem, albowiem w takich chwilach ludzie siedzą ukryci pod dachami mieszkań i przez okna podziwiają szalejącego wiatr. Piękno podziwiane jest głupstwem, piękno zmagania jest

prawdą, ale tę prawdę pojąć może tylko ten, kto zdierał szotami skórę z rąk, zagryzając z bólu wargi.

Warunki naszego kursu były turystyczne. „Zefir” posłuszny najmniejszemu drgnięciu rumpla lub szotów razem z nami panował nad wodą, tnąc fale dziobem prosto do ukrytego w zatoczce źródła.

– Tutaj może ją pan przywieźć – powiedziałem, kiedy dobiliśmy do brzegu, a inżynier boso stał zanurzony po kostki w zimnej wodzie.

– Zimna – powiedział. – Będzie miała nie więcej niż siedem do dziesięciu stopni.

– Doskonała przystań do ugaszenia pragnienia.

– Dobra woda, ale daleko od kempingu.

– Smak tej wody w pełni wynagradza czas przepływu.

– Jak z szafy chłodniczej. W lodówce też można taką zrobić.

– Ale nie będzie to źródłana woda.

– Teraz wszystko można zrobić. Jak się chce, można zrobić i wodę źródlaną. Sztuczny lód się robi, sztuczne lodowiska, sztuczne wąwozy, zmienia się bieg rzek.

– Ale są to sztuczne wody i wąwozy.

– Jaka w tym różnica?

Przy ostatnim zdaniu lekceważąco wzruszył ramionami. Zlaza gdzieś z niego pokorna przymilność i jakby zakłopotanie, z jakim mówił, że chce znaleźć uroczę zakątki dla oczekiwanej kobiety. Biła od niego oddalona pewność siebie, jaką widziałem przy pierwszym spotkaniu na pomoście przy kąpielisku. Zdawało się, że urok zakątka, jaki mu życzliwie pokazałem, nie wzbudził w nim zachwyty. Piękno natury przyjął jako coś obcego, coś, co istnieje jak muzealny zabytek z odległych epok.

– Musimy wracać. Powrotna droga potrwa znacznie dłużej.

– Dlaczego?

– Będziemy płynąć pod wiatr.

– Rozumiem – powiedział.

Odbiliśmy. Musiałem wtajemniczyć go w dalsze arkana sztuki żeglarskiej, a przede wszystkim zachowania się i wszelkich czynności przy zwrotach na wiatr. Słuchał z zainteresowaniem, a nawet wtrącił kilka pytań dotyczących zasady współdziałania żagli ze ste-

rem. Wyjaśniłem mu pewne prawa fizyki, jakie działają podczas tego kursu. Zrozumiał bardzo szybko. Spojrzał mi w oczy, prześlizgnął się wzrokiem po moim czole i przez chwilę patrzył na czubek głowy. Znam to spojrzenie. Zauważyłem je u wielu ludzi, którzy ze stanu niedowierzania lub lekceważenia rozmówcy przechodzą w stan szacunku lub podziwu. Zdawało mi się, że go zrozumiałem. Traktował mnie zapewne jako jednego z wałkoni, którzy nic lepszego nie mają do roboty jak wożenie sobie tyłków na jachtach do źródełek, zatoczek i którzy uprawiają bezsensowny sport polegający na bezsensownym podziwianiu przyrody. Kiedy dowiedział się, że żegluję z pełną świadomością wykorzystania sił fizycznych, był zaskoczony.

– Jak długo trzeba się tego uczyć?

– Dwa lata.

– Długo. Prawo jazdy zdobywa się szybciej.

– Bo to nie jest samochód.

– I co to panu daje?

– Prawo samodzielnego prowadzenia jachtu, prawo zabierania ludzi, udziału w regatach.

– Pan musi mieć dużo czasu.

– Nie sądzę, bym miał więcej czasu niż pan. Ale chciałem się pana o coś zapytać.

– Proszę.

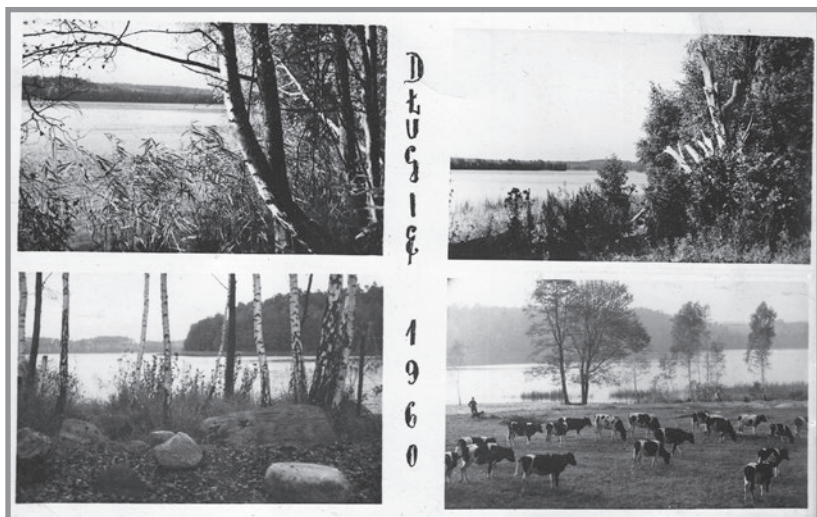
– Pan pracuje w zarządzie wodnym i tak mało wie o wodzie.

– Panu tak się zdaje. O wodzie ja wiele wiem, ale nie wiem o jachtingu, bo to mi nie jest potrzebne. Ja zajmuję się konkretnymi sprawami – mostami.

– A sport pan lubi?

– Owszem, ale to musi być sport. Lubię oglądać w telewizji mecze bokserskie, piłkarskie. To są widowiska szybkie. Taki sport lubię. Daje dużo przeżyć w krótkim czasie. Nie chcę nikomu przyganiać, ale gdyby pan miał do łodzi przyczepiony silnik, już dawno byłibyśmy na kempingu.

Cóż mogłem powiedzieć temu człowiekowi? Nasz język w tym względzie był zupełnie obcy. Czy miałem powiedzieć, że nie znoszę motoru na wodzie? Że motor jest synonimem współczesnego ha-



Pierwsza pocztówka z Długiego, 1960 r.

łasu miasta. Że motor prycha, warczy, śmierdzi, głuży, zanieczyszcza wodę. Mógłby mi przecież odpowiedzieć, że motor nie warczy, a gra, nie śmierdzi, a pachnie. Moje argumenty miałyby charakter emocjonalny, a mój rozmówca był człowiekiem rzeczowym. Ponieważ milczałem, mój znajomy spytał:

- Pewno pana dziwi, że tak myślę?
- Przyznać muszę, że poglądy pana są szczególne.

– Patrząc na pana, pomyślałem, że pan się dziwi – w głosie jego usłyszałem wyraźne zadowolenie. – U nas w biurze też jest jeden taki, co ciągle się dziwi. Tylko jeden – roześmiał się – absolutny safandula. Czy pan wie, co ten zwariowaniec kiedyś zrobił? Do Warszawy pojechał specjalnie, żeby zobaczyć wystawę jakiegoś malarza. Całe biuro ryczało ze śmiechu.

- Do zwrotu przez sztag – trzasnąłem komendą.
- Do zwrotu przez sztag – powtórzył jakby trochę zaskoczony.
- Zwrot.

– Zwrot – powtórzył mechanicznie, całkowicie poddany woli rozkazu. Przeszedł na nawietrzną zgodnie z instrukcjami, jakie mu dałem, ale za późno wybrał szoty foka.

– Fok się śmieje. Fok się z pana śmieje – dodałem, żeby nie miał najmniejszych wątpliwości.

Pierwszy raz w tym rejsie użyłem pogardliwego określenia dla byle jakiej pracy szotmena. Była to zemsta za ów śmiech, jaki gulgotał przez chwilę w jego krtani. Obca mi jest mała mściwość, ale zareagowałem odruchowo. Ukaralem go śmiesznością za śmiech.

Znów zapadło milczenie, jakby mgła stworzyła pomiędzy nami gęsty, lecz nieuchwytny przedział. Płynęliśmy na słabnący z każdą chwilą wiatr, co wymaga dużego spokoju i dokładnego lawirowania po tych miejscach, gdzie woda marszczy się najwięcej. Przystań Zakładów Tuczuz Przemysłowego minęliśmy jeszcze pod żaglami, korzystając z resztek pałętających się po akwenie powiewów, które pełgały jak gasnące świece. Przed nami, na rozległym odcinku wody, błyszczała martwa gładź z odbitymi w niej drzewami, jakby rosły one czubkami w jeziorze. Tu i ówdzie kręciły się kajaki z leniwie pływającymi turystami. Po wyczyszczonym z chmur niebie przelatywały odrzutowce, nazywane przez inżyniera po imieniu. Przelot „Deltę” stał się jakby linią graniczną sztilu, w który właśnie wchodził jacht, jeszcze płynący, ale już nieposłuszny sterowi, bezwolny kadłub ze zwisającymi żaglami. „Zefir” prawie w jednej chwili stracił całą dzielność, całe wykwintne piękno, był nieruchomy i oklapły, jak mokra kura pod okapem. Żagle obwisły, bom kołysał się w zależności od naszych ruchów na lewą lub prawą burtę. Już nie było nawietrznej i zawietrznej: brak wiatru odebrał burtom kursowe nazwy. Zielona spoina lasu, która w czasie wiatru zdawała się być prawie nieruchoma, jakby zastygła w zieleni, zdawała się ożywiać. Teraz martwa woda tak kontrastowała z brzegiem, iż las był prawie ruchomy, chybotliwy liśćmi, zapraszająco otwarty do korzystania z cienia. Ta cienista wilgoć, lekkie chybotanie liści w porównaniu z martwością, na jakiej byliśmy, wywoływała złudzenie, że jeśli jacht znalazłby się na miejscu dębów i platanów, utajony w cieniu wiatr napełniłby żagle i popchnął „Zefira” do przystani. Ale to było tylko złudzenie. Rzeczywistość należała do starego, prymitywnego i wiernego towarzysza żeglarzy – wiosła. Ów pogardzany przez wielu pagaj, ów przedmiot dowcipów i złośliwo-

ści, owo walające się byle jak wioselko jest najwierniejszym sługą i przyjacielem. Służy nie tylko jako siła napędowa, kiedy na wodzie rozciągnie się szklista płachta flauty, ale jest i sterem w czasie uszkodzenia płetwy sterowej, może być szyną dla złamanej nogi, laską dla kontuzjowanego żeglarka. Wielkie jest znaczenie pogardzanych przedmiotów.

Inżynier wiosłował, wkładając w każde pociągnięcie pagajem całą siłę, jakby chciał przeorywać wodę do samego dna, co powodowało nierówne susy jachtu. Dochodziliśmy do przystani okaleczeni brakiem wiatru w żaglach, okulawieni przez wioślarza, pozbawieni wspaniałej buńczuczności, jaką dają wygięte łukowato płótna. Wracaliśmy oklapli i marni, podrygujący i śmieszni. Na pomoście stało kilkanaście osób. Widziałem na ich twarzach nieznaczny, zaledwie igrający cieniem śmiechu śmiech. Tylko jeden z nich stał w miejscu, gdzie przypuszczalnie jacht powinien dotknąć przystani, a na jego twarzy malowała się powaga i serdeczna życzliwość, jakby skupił w sobie całe zrozumienie wody. To był Paweł. Ten misiowaty ze sposobu bycia sternik, który najdłużej się budził i miał ciągle niedosiężne pomysły; bywał w sztormach, sztrandował, a także godzinami sypiał w cieniu żałośnie zwisających żagli. Doszedłem tam, gdzie stał z czubkami butów o centymetr wystającymi za skraj pomostu. Uśmiechnął się do mnie, powiedział swoje zwykłe „Dobrze jest” i wziął cumę.

W tej chwili na pomost wbiegła ociekająca wodą, z płaszczem kąpielowym narzuconym na ramiona, Jagoda, jedna z moich kempingowych sąsiadek.

– Dobrze, że panowie przyплыnęliście – powiedziała osłaniając się płaszczem. – Robimy dzisiaj ognisko i trzeba zebrać drewna.

Nie czekając na naszą odpowiedź, nagłym ruchem odwróciła się i miotając połami płaszcza pobiegła ścieżką w stronę kąpieliska.

– Co pan o tym sądzi? – spytałem inżyniera.

– O czym?

– O tym – skinałem głową za biegnącą Jagodą.

– Zgrabna.

– Miałem na myśli ognisko.

– Ognisko? Ognisko może być. O ognisku też rozmawialiśmy.

IV

Burknął dziękuję i z butami w ręku wyszedł na pomost. Paweł stał spoglądając to na mnie, to na odchodzącego inżyniera. Spojrzenie jego pełne było zdziwienia, ale na razie nie odzywał się, tylko patrzył za odchodzącym, a kiedy ten zniknął za hangarem, spytał:

– Kto to jest?

Pytanie to nie było tylko pytaniem; miało ono znaczenie w ten sposób wyrażonej nagany, że załogant nie zatroszczył się o roztkłowanie łodzi, całą pracę pozostawiając mnie. W pierwszej chwili chciałem odpowiedzieć jednym słowem „turysta”, co w naszym żargonie nie odkrywa obrazu człowieka przemierzającego szlaki, lecz swoim zwyczajem zastanowiłem się chwilę, czy mam prawo przedstawiać znajomego od kilku godzin człowieka tak negatywnym w naszym języku określeniem. Przecież przez cały rejs prawie po każdym słowie sąsiada pozwalałem sobie na swobodne buszowanie wyobraźni i kształtowałem jego sylwetkę nie tylko za pomocą usłyszanych zdań, ale i przez moje widzenie jego osoby.

– Turysta – powiedziałem jednak klarując szoty. – Mieszka obok mnie. Przyjechał dzisiaj rano. Poszedł, bo bardzo się spieszył – spojrziałem na zegarek. – Jest za piętnaście piąta, a musiał być o piątej przy przystanku autobusowym.

Paweł uznał temat za zamknięty i z rozjaśnioną twarzą powiedział, że nareszcie pojutrze przywiezione będą dalsze jednostki naszego klubu: „Szkwał”, „Powiew”, „Poświst”, na których rozpoczniemy kurs dla żeglarzy. I mnie ta wiadomość sprawiła pewną przyjemność. Sklarowaliśmy jacht i po wydeptanej przez lud kempingowy ścieżce szliśmy na spóźniony obiad do gospody, prowadząc długą, ciągle przerywaną, lecz nigdy niekończącą się roz-



Ośrodek żeglarski, na stoku domki kempingowe, 1969 r.

moję o żaglach, wodzie, rejsach, która dla postronnych mogła być seansem szamanów. Kiedy weszliśmy na szosę, znów zobaczyłem inżyniera. Wracał z przystanku autobusowego.

– Wraca sam – powiedziałem półgłosem.

– Kto?

– Mój sąsiad – ruchem głowy pokazałem Pawłowi idącego w naszą stronę inżyniera. – Czeka na kogoś – dodałem – na kobietę, widocznie nie przyjechała.

Wobec wielkich spraw programu kursu, rejsu stażowego po trzech jeziorach przez wykarczowane przez nas przesmyki, fakt, że ktoś na kogoś czeka i tamten ktoś nie przyjeżdża, dla Pawła nie miał najmniejszego znaczenia. Skinął głową na znak, że zrozumiał, bez najmniejszego zainteresowania spojrzął na turystę i podjął temat. Wprost zachłytnując się radosnym brzmieniem słów, Paweł wywoływał przed naszymi oczyma wizję czterech żagli, w defladowym porządku przynających fale trzech jezior.

– To będzie przeszło tysiąc hektarów wody! Przed nami nikt tam jeszcze nie był! – mówił o ostatnim z trzech jezior i czuło się w jego słowach szczerzy entuzjazm odkrywcy-gospodarza, który

chciałby każdy płacheć wody orać mieczem i równać dnem. Słuchając Pawła, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że ktoś, kto mu dał życie i zetknął go z wodą, nie mógł sprawić mu większej radości: gdy tylko mój przyjaciel dobrze się wyspał i dokładnie rozbudził, gdy jego niebieskie oczy złączyły się spojrzeniem z zielenią wody, tryskał wprost z nich zapłon do życia i jego wielka pochwała. Wysoki, silnie zbudowany, z nieodłącznym uśmiechem pocziwca, robił wrażenie nadmiernie rozwiniętego dziecka, które z prawdziwą naiwnością każdą godziną życia odkrywa ciągle nowy dla niego świat.

– Czy ty wiesz, co to będzie? Czy wiesz, co będzie?

Powtarzał po każdym kilkudziesięciu zdaniach. Lubilem Pawła, lecz nie był to obiektywnie życzliwy stosunek do człowieka – pełen dystansu i pobłażania – ale autentyczna więź, jaka łączy nas z wszystkim tym, co młode i co się wiecznie zaczyna. Był częścią wiecznej wiosny. Wiosny jesienią i zimą. Był dla mnie synonimem rozwoju i początku w jednym kształcie.

Weszliśmy do gospody. W „Chacie za wsią” o tej porze niewiele było osób. Usiedliśmy przy narożnym stoliku obok bufetu i, racząc się ciechocińską wodą, czekaliśmy, aż kuchnia przygotuje nam obiad. Kilka stolików od nas siedziała grupka osób złożona z dwojga dzieci i dwojga dorosłych – mężczyzna powyżej, a kobieta poniżej trzydziestu lat. Gdyby nawet nie było przy nich dzieci, każdy, nawet nieuważny obserwator, musiałby rozpoznać w nich małżeństwo, które zgodnie z jakimiś postanowieniami nudę codzienności przeniosło nad urlopowe stoliki. Mężczyzna, podobnie zresztą jak kobieta, wprost z krowią apatią przeżuwał każdy kęs jadła, bezmyślnie patrząc przed siebie. W tym sposobie jedzenia nie było widać nawet zadowolenia z konsumowanego posiłku – zwykły, jakby jednostajnie piłowany obowiązek wobec konieczności życiowej.

– Czy widzisz tę grupę? – przerwałem Pawłowi.

– Widzę.

– Popatrz, jak celebryją swoją nudę.

– Masz rację, oni się nudzą – zgodził się bez najmniejszego zainteresowania, jakby chciał odpędzić od siebie muchę ruchem nieznacznym, lecz zdecydowanym.

– A co do sterników na rejs, to myślę, że nie powinniśmy mieć kłopotów: „Zefira” poprowadzisz ty, „Powiewa” ja wezmę, „Szkwał” pójdzie pod Bogdanem, a „Pośwista” wciśniemy Kazikowi. Będzie bosmanem, to niech go dobrze przygotuje.

Pani Barbara, najstarsza, lecz najsprawniejsza z kelnerek, podała nam obiad; porcje małe, restauracyjne, za małe jak na żeglarskie brzuchy w porze spóźnionego obiadu. Paweł szybko pochłonął zraz zawijany z kaszą i zamówił drugi. Roześmiałem się.

– Śmieję się, ile chcesz – powiedział też się uśmiechając – a ja muszę się najeść. – I po chwili: – Co ja na to poradzę, że muszę dużo spać i jeść. Czy ja naprawdę tak dużo jem?

– Jak na twoją konstrukcję fizyczną zupełnie niewiele.

– To dlaczego się śmiejesz?

– Do ciebie. Do twego apetytu.

Po obiedzie wracaliśmy do kempingu wśród spokoju późnego popołudnia, który osiadł na nas znużeniem po upalnym dniu. Zdawać się mogło, że całe ugorowisko ziele nagromadzonym przez dzień upałem. Chociaż słońce było już u zachodniego brzegu, jego promienie podtrzymywały nagromadzoną w powietrzu duchotę, jakby obsypując nas ciepłym pyłem. Wdychaliśmy ten pył, pocąc się równo i monotonicznie. Paweł sapał. Co chwilę robiliśmy głębszy wdech chyba tylko po to, żeby pokazać, że nasze płuca jednakowo domagają się orzeźwienia. Mieliśmy tylko tyle sił, by kolebać się z nogi na nogę. Upałowi przedpołudniowemu z reguły towarzyszy wiatr i jest on jakby przedmuchiwany wentylatorem, jest w stanie rozwoju i nie ma znamion zawiesiny. Upał popołudniowy jest nabrzmiąły zdechlizną rozłożoną na części ciszy wiatru. Byliśmy nim nasyceni aż do otumanienia. Wszędzie gorączka: mazista w pocie naszych ciał, obecna we włóknach naszych mięśni, ciężko osadzona w mózgach, wszechpanująca w przyrodzie gorączka zmieniła najzwyczajnych ludzi w poruszające się plazmowato kształty. Dopiero gdy słońce, czerwone jak talar, dolną częścią zbliżyło się do nocnej sakwy, kiedy zachodni horyzont stawał się z każdą chwilą coraz bardziej panujący, ludzie przytomniej spoglądali na świat. Doszliśmy w cień kępy drzew obok hangaru i leniwie zwaliliśmy się na trawę.



Centrum handlowe: budka z napojami chłodzącymi i papierosami

Teraz przynajmniej nie musieliśmy się poruszać. Najedzeni i opici ciechocińską wodą, bezwładnie panowaliśmy w cieniu rozłożystego platana, patrząc w monotonie bezchmurne niebo, które też było podobne do upału: trawa pod nami też, liście nad nami też, ludzie przechodzący obok nas też.

Lecz nie były podobne do upału dwie moje sąsiadki z kempingu – Hanka i Jagoda – które przybiegły do nas prosto z wody, chłodne i wilgotne.

– Robimy dzisiaj ognisko – powiedziała Hanka. – Chciałyśmy panów prosić na wyprawę po drewno.

– Przysłała nas pani Krystyna – poinformowała mnie ze szczególnym naciskiem Jagoda, dając tym znać, iż wie, że spośród kobiet mieszkających na kempingu najchętniej przebywam z Krystyną.

– Pójdziemy po susz, oczywiście, że pójdziemy – powiedział jakoś rozwlekłe Paweł – ale troszeczkę później, jak świat nieco ostygnie.

– Gorąco jest, to prawda – zgodziła się Hanka – ale dlaczego się nie wykąpicie?

– To nic nie pomoże – powiedział Paweł.

Hanka próbowała przekonać go, że jednak pomoże, ale wiedziałem, że była to syzyfowa praca, gdyż Paweł, żeglarz, który potrafił znośić psią wachtę w najgorszych warunkach, który nie bał się uderzeń

sztormowych bałwanów, nie lubi się kapać. Słuchał więc z uśmiechem prawdziwego zakłopotania żarliwych wywodów Hanki o orzeźwiającym wpływie wody i, skubiąc trawkę, przeglądał porzucony śmieć gazety. Gdy Hanka przerwała trajkotliwy wywód, przeczytała:

– „Atak partyzantów na bazę amerykańską pod Sajgonem”.

– Tak gorąco i im się bić chce – powiedziała Jagoda, ale nikt się nie roześmiał.

– Słyszałem, że panie zwalniają domek – odezwałem się.

– Miałśmy taki zamiar, ale sytuacja częściowo się wyjaśniła i nie pozbawimy pana miłego sąsiedztwa.

– Bardzo mi miło. Mam nowego sąsiada.

– Widziałyśmy w pana sąsiedztwie samochód. O tym pan mówi?

– O tym.

– Samochód ładny, a właściciela jeszcze nie znamy.

– Nie znamy go, ale wiemy, że przyjechał dziś rano, że zajął cały domek i czeka na jakąś osobę, że wreszcie ma na imię Wenanty.

– Wenanty? – zainteresował się Paweł.

– Na świecie są różne imiona – zauważyła, jak zwykle trochę ironicznie, Jagoda. – Słyszałam, że gdzieś nowo narodzoną dziewczynkę nazwano imieniem Stadion na cześć zbudowanego w tym mieście boiska piłki nożnej i tak okaleczyli dziecko do końca życia.

– Idzie pana nowy sąsiad – wtrąciła Hanka.

Schodził ze stoku. Ubrany był w garnitur z elany, w jakim go poznałem rano, pod szyją miał zawiązany krawat. W otoczeniu na wpół rozebranych ludzi wyglądał egzotycznie, jak dziki Europejczyk wśród cywilizowanych naturą tubylców. Wszyscy chętnie się swoim obnażeniem. Przyjechaliśmy tutaj, by zrzucić z siebie twarde nawierzchnie odzienia, owe mundury dobrego sposobu bycia, by odejść od ciężącej nam przez kilkanaście miesięcy w roku miejskiej cywilizacji i wrócić do prymitywu: wznieść się do niego, obnażyć ciała i być z przyrodą sam na sam aż do pełnego nasycenia. W naszym pływaniu, w naszych spacerach po nawiedzonych gorączką stoku była ucieczka od miasta i zarazem obietnica, że będziemy nasz proceder powtarzać, jak długo na drzewie będzie wisiał ostatni liść. Zaraz po przybyciu na kemping pospiesznie zrzuciliśmy z siebie miejskie umundurowania,

jakby były nasiąknięte zarazą. Zdawało nam się, że nędzną zmianą ubrania zmienimy siebie. To było złudzenie, ale poddawaliśmy się mirażowi. Inżynier natomiast szedł zapięty na wszystkie guziki, jakby przeniesiony z najruchliwszej ulicy manekin.

– Czy panu nie za zimno – spytała go złośliwie Jagoda, gdy podszedł do nas.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wtrąciłem zdanie:

– Panie proszę nas, byśmy przynieśli drewno na wieczorne ognisko.

– Chętnie – odpowiedział – ale pod warunkiem, że drewno nie jest daleko. – I do Jagody: – O godzinie siódmej muszę być na przystanku autobusowym.

– O siódmej przychodzi autobus – powiedział Paweł.

– Muszę być na przystanku – powtórzył inżynier. – Dlatego nie przebierałem się – dodał pochylając się ukłonem do Jagody.

Wysunęła dolną wargę, jakby tym grymasem chciała pokazać, że dalsza rozmowa na ten temat jest całkowicie zbędna. Może zorientował się, może wyczuł, że milczenie, jakie zaległo, było spowodowane jego przyjściem. Spojrzał po twarzach, ukłonił się, bąknął zdawkowe „Przepraszam bardzo” i poszedł w kierunku bramy wyjściowej.

– Zarozumialec – nazwała Jagoda człowieka, o którym wiedziała bardzo niewiele.

– Dlaczego? – spytałem.

– Ma minę księcia. Sądzi, że jeśli przyjechał własnym samochodem, to może każdego lekceważyć.

– Nie zauważyłem przejawów lekceważenia z jego strony.

– Czy może być sympatyczny człowiek chodzący po kempingu w stroju wizytowym? – spytała nieustępliwie Jagoda, która była zawsze subiektywnie nietolerancyjna i ironiczna. – Niech pan go nie próbuje bronić, my znamy takich dorobkiewiczów.

– Przepraszam – powiedział dźwigając się z ziemi Paweł – zapomniałem, że mam zadzwonić do Gorzowa.

Nie wiem, czy Paweł miał telefonować do Gorzowa, ale wiem na pewno, że mój przyjaciel unikał wszelkiej wymiany zdań o bliźnich, jeśli miały one jakiegokolwiek znamiona niechęci.

– A co z drewnem? – zatrzymała go pytaniem Jagoda.

– Zaraz wrócę – zapewniał przykładając rękę do serca – zaraz będę z powrotem.

– Chodźmy po drewno sami – rzuciła Jagoda, gdy Paweł odszedł. – Przecież nie będziemy każdego prosić.

– Może zaczekamy na panią Krystynę – powiedziała ostrożnie Hanka, patrząc na mnie.

– Jeśli chcecie czekać, to czekajcie – powiedziała Jagoda i zanim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć, zerwała się i pobiegła do górnego wyjścia z kempingu, za którym zielenił się sosnowy las.

– Głupia – zawołała za nią Hanka – w kostiumie kąpielowym idziesz po drewno.

Nie odwracając się do nas, podniesioną nad głową pięścią pogroziła Hance i skręciła do domku. Powoli poszliśmy za nią.

– Co jej się stało? – spytałem Hankę.

– Zawsze jest trochę ruszona powietrzem, ale dzisiaj uważa, że ma powody.

– Sercowe kłopoty?

– Bardziej prozaiczne. Mieli jej przysłać z domu tysiąc, przysłali tylko sześćset złotych.

– Pieniądze – powiedziałem.

– Pieniądze – powtórzyła melancholijnie Hanka.

Kiedy dochodziliśmy do domku, Jagoda z niego wychodziła. Przebrała się niezwykle szybko. Wspiniała się po stoku, nie zwracając najmniejszej uwagi na wołanie Hanki.

– Niech biegnie, trochę powariuje i przestanie – zakończyła nawoływanie przyjaciółki Hanka i weszła do domku, by szybko się przebrać.

Czekając na Hankę, spoglądałem na domek Krystyny, której od przedpołudniowej przejażdżki jachtem nie widziałem. Była na plaży z chłopcem. Duchota, jaka uderzyła w nas po wyjściu z restauracji, znacznie zmaląła. Słońce jeszcze bardziej poszło do zachodniego skłonu, świeciło teraz tuż nad koronami drzew wielkie i jakby niemrawe. Rozpoczęło się przedwieczne zacichanie przyrody. U podnóża stoku kręciło się coraz więcej ludzi. Grupa młodych osób szła do zaimprovizowanego boiska siatkówki,

gdzie prawie każdego dnia odbywały się rozgrywki nagle skojarzonych drużyn.

– Możemy iść – powiedziała wychodząc Hanka.

Kiedy wchodziliśmy ścieżką pod górę do wyjścia, szosą z hukiem silników przeleciał autobus.

– Czy tym autobusem miała przyjechać pani naszego sąsiada?

– Tym i tym poprzednim – powiedziałem.

Szliśmy teraz dość stromo wznoszącą się szosą. Po obydwu stronach mieliśmy las wilgotny, chłodny i zielono-brązowy, miły las z rozległymi polanami, gdzie rosły poziomki. W chwilach wolnych od pływania przychodziłem tutaj powąłęsać się bez najmniejszego celu.

– Gdzie ona może być? – powiedziała Hanka.

– Sądzę, że tam, gdzie ostatnio byliśmy po susz.

Znaleźliśmy Jagodę za pierwszym wzgórzem. Siedziała na pniu zwalonego drzewa głęboko nad czymś zamyślona. Z głową zwieszoną, z włosami okalającymi twarz tak dokładnie, że nie było jej widać, z rękoma złożonymi bezwładnie na kolanach, zdawała się odgradzać od świata kurtyną blond włosów. Stanęliśmy opodal i, wpatrując się w jej bezruch, trwaliśmy w milczeniu. Jakby w strachu przed brutalnością głosu i banalnością słów, nie przerywaliśmy przedwieczornej ciszy osadzonej w każdym zakamarku lasu, którego częścią zdawała się być i ona. Nie chcieliśmy urągać jej zamyśleniu, ale spokój przytłaczał i nas. Kiedy Hanka chciała się ruszyć, przytrzymałem ją ramieniem. Cisza jest pejzażem smutku i ma w sobie bolesne ciśnienie. Każdy ma prawo do własnej intymności. Każdy ma prawo skorzystać z chwili duszącego spokoju, podczas którego jedynie tętno jest przypomnieniem istnienia, a cisza jest bolesnym krzykiem świadomości życia. Kim ona była? Była studentką trzeciego roku prawa, od roku mężatką, od pół roku rozwódką. Jak na warunki kempingu były to wiadomości rozległe, wprost ingerujące w przeszłość, w sprawy drażniące, kłopotliwe, a nawet bolesne. Jagoda nigdy nie mówiła o swoich przeżyciach. Była trochę złośliwa, trochę ironiczna. Czasem popadała w „stany biegowe”, jak to nazywała Hanka, podobne do dzisiejszego. Raz, kiedy w większym gronie rozmawialiśmy o mężczyznach, powiedziała ironicznie, że miała

chłopa, ale jej się zbiesił – tylko jeden raz. Trzymałem Hankę za ramię. Przeszępowała z nogi na nogę, jak narowisty koń, wzruszając ramionami. Dla żywego usposobienia tej dziewczyny w okularach seans ciszy był zbyt długi. Chciałaby pójść do przyjaciółki, pocieszyć ją, może serdecznie zwymyślać. Ale ciszę pierwsza przerwała Jagoda. Podniosła głowę i powiedziała, patrząc na nas:

– Czemu sterczycie, przecież przyszliśmy po drewno. Gapicie się, jakbyście nie wiem co zobaczyli.

– Głupiaś – zreplikowała Hanka. – My nie na ciebie patrzyliśmy, tylko na siebie.

Nie odpowiedziała. Zaczęła zbierać gałęzie. Hanka wzruszyła ramionami i też pochyliła się do ziemi. Przy tym zajęciu zastali nas dalsi znajomi z kempingu: Paweł, Krystyna i inżynier. Teraz las rozbrzmiewał głosami. Cisza została spłoszona i doszła tam, gdzie jej potrzebuje ktoś samotny. Zapanował nastrój pogody, przedwieczornego ożywienia, jakby łagodna ręka nakrywającego świat cienia zdjęła z nas całą nerwowość, przyniesioną przez całodzienny upał. Wróciła swada, dobry humor. Nawet Jagoda roześmiała się w odpowiedzi na wesołe trajkotanie Hanki. Chodząc pomiędzy drzewami w poszukiwaniu najlepszych gałęzi, nieznacznie, ale ciągle zbliżałem się do Krystyny.

– Jak się pływało? – spytała.

– Wracaliśmy na pagaju.

– Widziałam.

To była nic nieznacząca rozmowa, ale miło mi było rozmawiać z Krystyną nawet o niczym. Oddaliliśmy się od towarzystwa kilkanaście kroków. Adorowana przeze mnie Krystyna uśmiechała się swoim pełnym zakłopotania uśmiechem, jakby nie wiedziała, co ma począć i z tym, że jesteśmy przy sobie, i z tym, że jesteśmy od towarzystwa trochę oddaleni, i chyba z tą świadomością, że jest mężatką, a jej pięcioletni syn został na kempingu, gdzie – jak mi powiedziała – bawił się pod opieką sąsiadki z jej córeczką.

– Hello, wracamy! – usłyszeliśmy głos Hanki.

– Wracamy? – powiedziała Krystyna zwracając się do mnie jakby z pytaniem, co mnie trochę zaskoczyło.

– Wracamy – powtórzyłem i po chwili byliśmy w towarzyskim gronie.

Wracaliśmy obładowani drewnem. Każdy niósł wiązkę suszu jako swój wkład do zbiorowej zabawy. Byliśmy wobec siebie grzeczni, weseli, mili. Niosła nas w dół spadzistość drogi, przywoływała nas na kemping odległe, jakby zatarte przestrzenią dźwięki gitary.

– Taką mam chęć potańczyć, taką mam chęć potańczyć, że sobie nie wyobrażacie – mówiła Jagoda, idąc tyłem przed nami.

– Jeżeli pani ma ochotę, to takie życzenie pani możemy zawsze zrealizować – powiedział inżynier.

Wtedy Jagoda stanęła, poczekała na nadchodzącego inżyniera, jakby chciała się z nim umówić. Ale kiedy stanęli obok siebie i inżynier pochylił się, by wysłuchać jej propozycji, powiedziała tak głośno, żeby wszyscy słyszeli:

– Nie przyjechała pańska pani, prawda?

– Nie przyjechała – odpowiedział poważnie – ale przyjedzie, jeśli to panią bardzo interesuje. Na pewno jutro przyjedzie.

– A ja wszystko jedno, mam ochotę potańczyć – zawołała, odbiegając od inżyniera. – Co pan o tym myśli, panie Pawle?

– Dobrze – zgodził się stropiony Paweł – wyśmienicie, ale nie umiem tańczyć.

Hanka parsknęła śmiechem i zaśpiewała własną przeróbkę „Kukułeczki”, w której słowo „chłopiec” zastąpiła słowem „panna”. Paweł zarumienił się, pokręcił głową, ale zmieszany nie miał słów, by cokolwiek powiedzieć. Tylko Jagoda odpowiedziała, ale nie tak, jak się spodziewałem, ironicznie i złośliwie, lecz z pogodną żartobliwością.

– Jedynym twoim szczęściem, kłępo paskudna, jest fakt, że nosisz okulary i że cię lubię, inaczej bym ci powiedziała, jak się szuka chłopców bez okularów.

Musiało to zdanie przypomnieć pannom jakieś bardzo śmieszne zdarzenie, gdyż Hanka zamiast się obrazić, roześmiała się tak gwałtownie, że upuściła wiązkę drewna. W jej ślady w sposób prawie identyczny poszła Jagoda i obie przyjaciółki, kuląc się, dreptały w miejscu, krztuszając się ze śmiechu. Staliśmy wokół nich i uśmie-

chaliśmy się głupawo, nie wiedząc, z czego się śmiejemy. Na skraj szosy spędził nas sygnał pędzącego z góry samochodu. Panny pozbrały porzucone drewno i idąc skrajem drogi, poparskiwały śmiechem. Uspokoily się dopiero przy bramie kempingu, ale i tutaj Jagoda zaczęła urządzać cyrkowe przedstawienie, tym razem wyraźnie adresowane do inżyniera.

– Proszę państwa, wkraczamy do cywilizacji. Muszę się pozapinać – zapięła dwa guziki pod szyją – muszę wyglądać poważnie i godnie, jak przystało na przyszła panią magister. Szkoda tylko, że nie mam krawata. Krawat, proszę państwa, jest symbolem mojej powagi. Za dwie godziny przyjedzie autobusem mój chłopiec i muszę go iść przywitać.

Krystyna spojrzała na mnie, jakby we mnie chciała szukać pomocy. I mnie szyderczy monolog Jagody nie podobał się. Od wielu lat uznaję zasadę, że drwina jest dość prymitywnym środkiem rozgrzeszenia samego siebie. Ale idący nieco za nami inżynier, może nie słyszał, może nie chciał słyszeć szyderczej wypowiedzi. Prawdopodobnie i ja bym się podobnie zachował. Przecież w tym, że wychodził po umówioną dziewczynę, nie było nic śmiesznego.

– Nie lubię takich rzeczy – szepnęła do mnie Krystyna.

– Cóż to pomoże, że pani nie lubi. Ktoś w czyichś oczach zasługuje na śmieszność, ktoś się z kogoś śmieje; zwykły to proces ludzkiego postępowania.

– Pan zawsze będzie tak mówił?

– O czym te szeptę? – zwróciła się do nas Hanka.

– Uważamy, że Jagoda trochę przeszarżowała. To, że mężczyzna wychodzi po kobietę, nie jest śmieszne – powiedziała Krystyna.

– Bo ta wariatka się wścieka – poinformowała nas Hanka. – Zazdrości, że po nią nikt nie wychodzi. Widzicie państwo, że umilkła. Teraz z godzinę będzie ponura jak noc listopadowa. Czuje, że narobiła głupstw i się wstydzi. Ona już taka jest. Wcale się nie dziwię, że Jarek nie mógł z nią wytrzymać.

– Dlaczego pani wybrała sobie taką przyjaciółkę?

– Bo to bardzo dobra i bardzo sfiksowana dziewczyna. Pobiegnę za nią.

Popędziła ze stoku dużymi susami, ale dopędziła Jagodę dopiero na płaskim wzniesieniu tuż za naszymi domkami, gdzie tradycyjnie rozpalaliśmy wieczorne ognisko. U podnóża stoku pomiędzy namiotami już staniały się dymy palonego ognia, znak, że geografia kempingu weszła w fazę wieczornego przygotowywania posiłków. Opodal młodzież grała w siatkówkę, a inna grupa siedziała wokół gitarzysty, podśpiewując modne szlagiery. Składaliśmy zapasy drewna na wspólny stos, z którego trzeba było ustawić dogodną do podpalenia chałupkę z chrustu. Krystyna, zaraz po złożeniu swojej wiązki, poszła do domku, zając się chłopcem. Paweł zakręcił się, zapalił papierosa i też poszedł, Hanka musiała zaopiekować się Jagodą, która znów popadła w stan chandry. Zostałem z inżynierem.

– Pomogę panu ustawić stos – zaoferował. – Kiedyś na obozie studenckim to robiłem.

– Dobrze, ale może by się pan przebrał. W garniturze nie jest zbyt wygodnie.

– Czy dlaczego, że ona się ze mnie śmiała?

– Dlatego, że będzie panu wygodniej.

– Mnie i tak jest wygodnie, a co do jej śmiechu, to powiem panu, że ja znam takie śmiechy. Śmieje się tak długo, dopóki człowiek się nią nie zajmie. Ale nic z tego. Taka myśli, że głupim śmiechem rozdrażni człowieka, a potem wycieczki samochodem, przejażdżki i tym podobnie. Nic z tego nie będzie. Znam to łapanie na śmiech.

Był prawdziwie konsekwentny. Zmierzchało. Powoli ustawialiśmy stos.

V

Mrok coraz głębiej osadzał się w szczelinach ziemi, jakby zapierając się w nich miliardami mroczyn. Słońce już dawno wsunęło się za horyzont lasu po drugiej stronie jeziora. Tylko luna dawała niejasny znak, że nad zwężeniem zatoki nastąpił kres słonecznego kursu. Rozpoczynał się rejs nocy: mroczny i rozległy, łączący niebo z ziemią w litą bryłę, połyskujący gwiazdami, twardy pod stopami i rzeźwy w powietrzu. Wielokrotnie już doznawałem uczucia zanikania świata pod osłoną nocy. Zdawało mi się wtedy, że mrok osacza mnie powoli, lecz nieustępliwie, odgradza mnie od świata całą swoją obiektywną mocą. Obserwowałem wtedy, jak stopniowo giną sprzęty – moje kierunkowskazy, ginie ziemia – moje oparcie dla nóg, ginie całe otoczenie – treść moich kontaktów. Pozostaję sam z mrokiem i na szczęście z pamięcią. Lecz gdyby ktoś poprzestawiał sprzęty w moim pokoju, gdyby jakaś nieznaną siłą zmieniła kierunek ulic, pozostałbym ślepy i bezradny. Na kempingu powoli zapalały się światła, kierunkowskazy mego spojrzenia. Świeciło się w oknie inżyniera. Świeciło się w oknie Krystyny. Żółty prostokąt światła dawał znać, że studentki też są w domku.

Do sterty gałęzi przyszedłem pierwszy.

Co chwilę ktoś przechodził i widząc ustawiony stos, a przy nim cień człowieka, pytał, kiedy ognisko zapłonie i czy można przyjść. Wszystkich zapraszałem. Niech zabawa przy ogniu będzie ogólna. Niech stos zapłonie dla wszystkich. Nie ma znaczenia fakt, że tylko my zbieraliśmy drewno. Bawiliśmy się przecież tym, jak będziemy bawić się ogniskiem. Ze wschodu trochę powiało. Właściwie nie był to wiatr, zaledwie zapowiedź wiatru, jakby pierwsze tchnienie wracającego do życia topielca. Podniosłem się i nastawiłem twarz od wschodu, by wyłapać następny podmuch,

być może zwawszy, zapowiadający nocną bryzę, jak zaproszenie do nocnego rejsu. Kiedy tak stałem cały napięty w oczekiwaniu, cicho podszedł Paweł.

– Chyba zaczniesz dmuchać – powiedziałem.

– I ja coś czułem.

Stanęliśmy obok siebie, obaj zwrócenii twarzami w kierunku przypuszczalnego wiatru jak dwa wiatromierze. Przyszedł, powiał jeszcze raczej niemrawo, ale znacznie wyraźniej niż pierwszym razem.

– Rozkołysz się – powiedział Paweł.

– Powinno.

– Myślę, że za dwie, trzy godziny można będzie wypłynąć.

– Po ognisku. Przyniosłeś wino?

– Przyniosłem. Gdzie je podziąć?

– Trzymaj przy sobie, w odpowiednim momencie wyjmiesz.

Światło w oknie studentek zgasło.

– Idą panie – powiedziałem.

– Posłuchaj, stary – szepnął do mnie Paweł – czy ona o tych tańcach myślała naprawdę?

– Naprawdę i nie naprawdę – odszepnąłem. – Naprawdę w tym sensie, że może ma ochotę potańczyć, a na żarty w tym sensie, że chciała pokpić z inżyniera. Podoba ci się?

– E, co tam. Sam rozumiesz, stary.

Nie wiem, co miałem rozumieć i nigdy się nie dowiedziałem. Podeszły panny.

– Jeszcze nikogo nie ma?

– My jesteśmy – powiedziałem.

– My, to znaczy kto?

– Paweł i ja. Pokaż się, stary – zawołałem widząc, że Paweł gdzieś zniknął.

– Już idę – usłyszałem z drugiej strony stosu.

– Przyniosłyśmy koce, w nocy będzie zimno – poinformowała nas Hanka.

– Panie Pawełku – miliła się do Pawła Jagoda – jak będzie wiatr, zabierze nas pan na żaglówkę?

– Oczywiście, bardzo chętnie, z przyjemnością, tylko sam mu-

szę dostać „Zefira”. Trzeba z komandorem pogadać – powiedział i nie wiem dlaczego, roześmiał się.

Paweł bardzo nie lubił zabierać kobiet na jacht, ale zgodnie ze swoją naturą nie mógł Jagodzie odmówić i ten ciężki obowiązek podjęcia decyzji zepchnął na mnie.

– Pod warunkiem, że będzie pani Pawłowi śpiewać.

– Będę śpiewać.

– Ale on lubi tylko piosenkę o czterdziestu piratach.

– Nie umiem śpiewać tej piosenki, ale pan Paweł mnie nauczy – mówiła Jagoda, trzymając Pawła pod rękę.

– Nauczę – mruknął Paweł zupełnie zakłęty w capa. – Nauczymy panie, prawda, stary, bo to jest piękne, jak się śpiewa na wodzie.

Staliśmy ściśnięci w gromadce, przekomarzając się z kobietami. Nagabywany przez Jagodę Paweł półgłosem zanucił pieśń z morskich rejsów, w której opowiada się o czterdziestu piratach pływających na starej „Jutlandzie”. Wszyscy oni znaleźli w brzuchach rekinów godny piratów pochówek. Pozostało tylko trzech krwawych obwiesiów i o ich losach traktowała pieśń.

– Ładna piosenka – powiedziałem do pań.

– Ładna – stwierdziły zgodnie.

– Zaśpiewajmy ją jeszcze raz, a później w kwartecie powtórzmy na ognisku.

Zaczęliśmy od nowa naszą piosenkę, ale już znacznie różniej, bardziej zespołowo.

– Co to za piosenka? – spytał inżynier, podchodząc do nas.

– Nasza, żeglarska – odpowiedział Paweł. – Podobała się panu?

– Ładna piosenka. Nigdy jej nie słyszałem.

– Takich piosenek nie śpiewa się na lądzie – powiedziałem.

– Dużo znacie panowie takich piosenek?

– Dość dużo.

– Ale przy ognisku też można je śpiewać? – spytała Jagoda Pawła.

– Najlepiej na wodzie.

– Jaka różnica? – spytał inżynier.

– Nie ma – powiedział Paweł – niby nie ma, ale jest. Na wodzie lepiej się śpiewa, lżej i... milej.

– Dlaczego nie zapalamy ogniska? – spytała Hanka.

– Czekamy na Krystynę – powiedziałem.

– Już jestem – zgłosiła się Krystyna. – Przepraszam za spóźnienie, ale musiałam chłopca położyć spać.

– Nie szkodzi – zapewnił ją Paweł.

Siedzieliśmy obok siebie przy nawietrznej stronie ogniska. Wysłoka sterta ognia, drząc różnymi odcieniami czerwieni: rozżarzonej, jakby prześwieconej od wewnątrz, przygasającej, jakby z wysiłkiem wczepionej w gałąź, jaskrawej światłem i żarem składała na nasze twarze chybotałe odbłaski. Poszarpane płomienie wyskakiwały w górę, jakby chciały się oderwać od ziemi, związane z ziemią źródłem ognia kurczyły się i opadały, by po chwili znów wysłać do gwiazd siew iskier.

– Paweł – powiedziałem – zaczynaj.

Stał na klęczkach pomiędzy nami a ogniskiem, wyjął z wewnętrznej kieszeni wiatrówki butelkę, odbił ją i nalewając płyn do szklanki powiedział:

– Najpierw dla ognia – odwrócił się i wylał kilkanaście kropel wina na ognisko.

– Co to za zwyczaj? – spytał Pawła inżynier.

– Powiedz, stary – zwrócił się do mnie Paweł, nalewając wino do szklanki.

– Nie wiem, jaki to zwyczaj: może pogański, może nasz, żeglarski. Zawsze go powtarzamy.

– Wino jest trunkiem pełnym ognia, a ogień jest naszym honorowym gościem – powiedziała Hanka.

– Piękny zwyczaj – wtrąciła Krystyna.

– Ładny – zgodził się inżynier.

Szklanka krążyła z rąk do rąk. Każdy wypijał podaną przez Pawła porcję i oddawał naczynie sąsiadowi. Paweł szedł na kolanach od osoby do osoby jak wielki celebrant poczęstunku. Zgodnie z naszą tradycją nie wolno było mu wstać tak długo, dopóki w butelce pozostanie choć kropla trunku. A gdy resztką wina została wypita, do obowiązku celebranta należało wysączenie ostatniej kropelki na paznokiec, spicie jej i wypowiedzenie sakramentalnego zdania: „Byłby

to grzech wielki, gdyby nie wysączyć ostatniej kropelki”. Paweł godnie wywiązał się z obowiązku.

– Piękne macie zwyczaje, panie Pawle – powiedziała jeszcze raz Krystyna.

– Bożesz ty, mój Boże – powiedział zarumieniony Paweł, co w jego języku znaczyło: „Jest mi niezmiernie miło, ale chyba nie zasłużyłem i nie wiem, co powiedzieć”.

– Panie Pawle, niech pan nam coś opowie o morzu, przecież pływał pan na morzu.

– Tak jest, pływałem, ale ja nie umiem opowiadać, może lepiej zaśpiewamy.

– Zaśpiewamy później, niech pan opowie – uparła się Jagoda.

Dał się namówić. Słuchaliśmy Pawłowej opowieści zapatrzeni w ogień, pochyleni do ognia – i było nam miło. Głos przynoszący nam odległą opowieść sztormu z Morza Bałtyckiego, mimo dziecinnego prawie brzmienia, mówił o trudnych chwilach męskiego życia na jachcie. Przynosił nam jedną z wielu przygód żeglarskich, która była jakby stworzona dla zapowiadanej przygody dzisiejszego wieczoru.

– I po co wyście się tak mordowali? – spytał inżynier, kiedy Paweł skończył.

– Jak to po co? – zdziwił się Paweł. – Żeby żyć.

– Na wodzie. Ale nie musieliście wypływać.

– Musieliśmy.

– Nikt was przecież nie zmuszał.

– Nikt nas nie zmuszał, ale musieliśmy.



Zdzisław Morawski z NN, 1971 r.

– A co pan wtedy myślał? – spytała Krystyna.

– W czasie sztormowej wachty?

– Tak.

– Nie wiem – powiedział Paweł i roześmiał się. – Naprawdę nie wiem. O czym się wtedy myśli, stary? – zwrócił się do mnie.

– O wielu różnych sprawach – powiedziałem.

– Może o najbliższych? – pytała Krystyna.

– Nie – uciął krótko Paweł. – Myśli się o wszystkim, a najbardziej chyba o tym, żeby jak najprędzej się skończyło. Żeby jak najprędzej mieć kawałek stałego gruntu pod nogami. – Dodał po chwili milczenia: – Tak jest, kawałek stałego gruntu.

Do ogniska podchodziło coraz więcej osób. Siadali w jednym rzędzie z nami, a kiedy zabrakło miejsca, siadali w dalszych rzędach, tworząc wokół ogniska zwarty krąg. Złożony przez nas misternie stos zwałił się z trzaskiem. Prawie wszystkie głowy podniosły się za mgłą iskier. Kilka głosów stwierdziło, że to piękne, ale głosy te zaraz utonęły w ogólnym gwarze. Za nami rozległy się dźwięki gitary. Obejrzałem się. Kilka metrów za nami siedziała grupka młodzieży skupiona wokół gitarzysty. Pomrukując melodię, rytmicznie kołysali się, jak gdyby odprawiali modły do bożka rytmu. Patrząc na nich, oświetlonych rudo i cieniście, rozkołysanych w takt melodii, miałem wrażenie, że rozwija się jakiś egzotyczny kwiat nocy i każdym poruszeniem wysyła nam melodię kwitnienia. Nie było słyhać słów piosenki, tylko jęklive głosy urywane rytmicznie, jakby skandowane nieznanne wyrazy nieznannej melodii z nieznanego świata. A wokół nich już wyrastały tańczące cienie. Ruchy ich były rytmiczne, kanciaste i szorstkie. Z każdym taktem gitarzysty grono ich powiększało się – robili wrażenie nie osób, lecz tańczącej z nocą gromady. Teraz tłem naszych myśli i doznań nie był hulający czerwienią płomień ogniska, nie nastroj wspomnień i lirycznej melancholii, lecz oni, porwani rytmem, anektujący nasze zainteresowanie, bezwzględnie szybcy i beztrosko roztańczeni na ugorze. Siedzieliśmy przy ognisku, ale odwróceniu do niego plecami, zaledwie czuliśmy na plecach zamierający rytm ciepła. Gitarzysta nagle urwał. Nasza zabawa znów zmieniła front. Paweł z Jagodą pod-

rzucali gałęzie na ognisko. Od wschodu zawiewał wiatr. Czuliśmy na plecach jego chłodne przenikanie, jakby potarcie chłodnych rąk po karku. W tej chwili do ogniska podeszła nowa grupa młodych ludzi. Stanęli tuż obok nas na szeroko rozstawionych nogach i patrzyli w ogień. Jeden z nich, najwidoczniej przywódca, na głowie miał misternie wygięty i nabijany ćwiekami kapelusz.

Odziany był w upstrzone cekinami farmerki, z bioder luźno zwisał mu pełen świecidełek pas. Twarz tego młodzieńca była przeźliwie ponura.

– Zjadłabym pieczonych kartofli – powiedziała do mnie Krystyna.

– Pieczone jabłka też są dobre – mruknął upozowany na ponuro młodzian.

– Jabłka też są dobre – zgodziła się Krystyna.

– Chłopaki – odezwał się młodzian do swojej szajki – pani chce jabłek.

– Poczekajcie – zatrzymałem ruszających młodzieńców. – Do kąd chcecie iść po te jabłka?

– Do Maliniaka – odpowiedział przywódca.

– Kto to jest Maliniak?

– Gospodarz.

– A jak gospodarz wyjdzie i was przepędzi – powiedziała Krystyna.

– Nie wyjdzie. Będzie się trząsł ze strachu pod łóżkiem.

– A jak wyjdzie.

– To mu powiemy: „Ciąg się stąd flaku” i pójdzie. Chłopaki, idziemy.

Poszli. Gitarzysta znów uderzył w struny i znów odwróciliśmy się plecami do ognia. Teraz nie tylko młodzi tańczyli. Osoby dorosłe także wodziły się po trawie.

– Czy pani zatańczy? – usłyszałem za sobą głos inżyniera.

– Trawa – odpowiedziała przeciągle Krystyna.

– Nie szkodzi – zapewniał.

Wstała. Inżynier usiłował tańczyć, jak tańczyli młodzi, ale mu nie wychodziło. Zwolnili tempo na posuwisty, niezgodny z rytmem melodii krok. Rozmawiali. Odwróciłem się do zdychającego ogniska. Płomień obniżył się do dogasających węgli: susz był spalony,

wino wypite, niektórzy uczestnicy zabawy wstawali, powoli kierując się do domków. Szukałem wzrokiem Pawła. Nie było go wśród tańczących, nie było go przy ognisku. Jagoda z Hanką siedziały obok mnie nakryte kocem.

– Gdzie Paweł? – spytałem.

– Poszedł przyholować „Zefira” do pomostu – powiedziała Jagoda. – Wypływamy w rejs.

– Dobrze – powiedziałem – popłyniemy w nocny rejs.

Wróciła Krystyna.

– Nie mogę tańczyć w takich warunkach – powiedziała. – Człowiek już się zestarzał, już potrzebuje wygody.

– Mamy zamiar wyjść w nocny rejs, ma pani ochotę popłynąć?

– Na nocną przejażdżkę jachtem?

– Tak.

– Dobrze – zgodziła się. – To lepsze niż nocna przejażdżka samochodem.

– Lepiej będzie, jeśli pani przebierze się w spodnie – zauważyłem.

– Ma pan rację, ale niech pan ze mną pójdzie. Gdybym w nocy spotkała takiego, jak ten w kapeluszu, nie wiedziałabym, co zrobić.

Gdy wstaliśmy, wrócił Paweł.

– Słuchaj – zwróciłem się do Pawła – popłyniemy razem.

– Dobrze, znakomicie – zawołał. – Właśnie chciałem cię o to prosić, ale nie wiedziałem, czy będziesz miał ochotę.

– Znajdzie się dla mnie miejsce? – usłyszałem jeszcze głos inżyniera, gdy odchodziliśmy z Krystyną i odpowiedź Pawła, że oczywiście, jak najbardziej, popłyniemy całym towarzystwem.

Mijaliśmy stojące młode parki jakby zastygłe w oczekiwaniu na chwilę, kiedy gitarzysta znów uderzy w struny, a grupa satelitów rozpocznie swój śpiew. Lecz nieco dalej, w głębi cienia, gdzie blask ogniska już nie dochodził, widzieliśmy całujących się młodych ludzi. Udawaliśmy, że ich nie widzimy, lecz musieliśmy uważać, by w mroku kogoś nie potrącić. Kluczyliliśmy więc między parami, które wyrastały przed nami, jakby specjalnie ustawiały się na naszej drodze do domku.

– Dlaczego pani powiedziała, że woli przejażdżkę jachtem niż samochodem? – spytałem Krystyny, gdy weszliśmy na ścieżkę.

– Dlatego, że miałam inną propozycję – odpowiedziała.

– Nasz nowy znajomy?

– Nasz nowy znajomy – powtórzyła.

– I co pani mu powiedziała?

– Powiedziałam, że nie reflektuję. Wtedy spytał mnie, czy wolę jacht. Potwierdziłam i, jak mi się zdawało, był zdziwiony – roześmiała się. – Nie wiedział, że padnie propozycja wypłynięcia, jakby ją wywołał. Zaczeka pan na mnie.

Weszła do domku, lecz nie zapaliła światła. Nie chce budzić małego – pomyślałem i usiadłem na skarpie tuż przy jej drzwiach. Ognisko stąd wyglądało jak czerwony placek, a ludzie przy nim nie byli podobni do ludzi. Pełna przed chwilą okolica ogniska zdawała się być opuszczona. Dźwięki gitary wydobywały się jak gdyby znikąd, gdyż nie było widać ani gitarzysty, ani śpiewającej grupki. Czasem na tle rozżarzonych węgli przesunął się ruchomy cień. Czasem jakiś pojedynczy głos wykrzyknął czyjeś imię. Po chwili Krystyna wróciła. Teraz znów na przelaj, ale wciąż oddalając się od ogniska, poszliśmy w kierunku przystani, gdzie czekało na nas całe towarzystwo. Weszliśmy z Pawłem na pokład „Zefira”.

Moja zatoka

Moja zatoka jest kotliną ziela
Na lewym brzegu ma gaj tataraku
Na prawym brzegu ma porost sitowia
Dokoła światło jak zielony bursztyn

Tam żyje rosiczka – mięsożerny kwiat
Tam darń paruje przez korzeń wyczyńca
Wiatr czyni szelesty
Niesie zapach trawienny i woń trawozernym

W zatoce ziela jest miejsce jelenia albowiem
jeleń to temat osobny

To poemat mięśni i sprężonych ścięgien
To obszar racic i chrapów i uszu
Oczu bystra wilgoć
To tarcza do strzału w życia dwieście funtów
To garnitur sierści w stu procentach pewnej

Zatoka ziela jest kolonią wody
gdzie u wodopaju lotki łuszczy kaczor

A w cieniu olchy mokro stoi okoń
A ktoś się dziwi że fale to fale
Że z fal nie spisuję brwi ani urody

Jeżeli pazur piszę to zgubiony w walce
Jeżeli korę to jej brąz spękany
Jeżeli grzyby to w stanie wilgoci jak nos zdrowej łani

W zatoce ziela są gniazda uwite
Gdzie myśli się lęgą jak gołe pisklęta
Których czas nie zdołał jeszcze w ptaki przebrać

To są przyszłe szyje do misternych ugięć
To jest przyszłe mięso z farszem i bez farszu

VI

Weszliśmy z Pawłem na pokład „Zefira”.

Takłowanie nocą niczym nie różni się od tych czynności robionych w dzień: te same nawykowe ruchy, ten sam porządek stawiania żagli, to samo na pamięć.

– Poprowadzisz – powiedziałem do Pawła.

– Nie chcesz prowadzić?

– Poprowadź ty, ja obsłużę szoty.

Po chwili odbiliśmy. Wiatr był naprawdę rzeźwy i łagodnie równy. Paweł prowadził jacht zgodnie z kierunkiem wiatru, jak robiłem to ja podczas popołudniowego szukania dla inżyniera miłych zakątków. Po kilkunastu minutach nie widać było brzegów, tylko jedyne światło w oknie hangaru orientowało nas, skąd wypłynęliśmy. Mrok teraz był bliski, wprost dotykalny i prawie nieprzenikniony. Siedzieliśmy twarzami do kierunku kursu, Hanka przed inżynierem, Krystyna przede mną, a Jagoda obok Pawła, przy sterze. Krystyna odchyliła się do tyłu i lekko odwracając głowę do mnie szepnęła, że czuje się dobrze, tak dobrze jak nigdy. To pierwsze wypowiedziane szeptem na jachcie zdanie stało się ogólnym sygnałem do szepcienia: szeptał pochylony nad Hanką inżynier, szeptała coś Jagoda do Pawła, szeptaliśmy z Krystyną. Lecz nastrój wycofania się ze zbiorowości nie trwał długo.

– Popatrzcie! – zawołała Hanka. – Sputnik leci.

Przelatywał nad nami trochę z przodu z południa na północ. Przez chwilę patrzyliśmy w milczeniu. Ogarnęło mnie przedziwne uczucie potęgi i znikomości. Wobec tych na górze i tych, którzy kierowali lotem gwiazdy naszych czasów, czułem się mizerny, prawie żaden. Oto siedzi ktoś za pulpitem sterowniczym i rejestrując prze-

lot stacji, włącza i wyłącza maszynę korespondenta, która prowadzi z nim mechaniczną rozmowę. Trwa ona nad nami. Elektronowe maszyny liczą, pojękują sygnałami, zgrzytają, wzbudzają podziw dla potęgi ludzkiej i wywołują dreszcz człowieka. Wzdrygnąłem się.

– Zimno? – spytała Krystyna, pochylona tyłem do mnie, plecami dotykająca mych piersi.

– Zimno się robi – szepnąłem jej do ucha – na myśl, że człowiek uruchamia siły, nad którymi może nie być w stanie zapanować. – Powiedziałem to za głośnym szeptem, gdyż usłyszałem odpowiedź inżyniera.

– Panuje i będzie panował.

– Świeci jak gwiazda – wtrąciła Jagoda.

– Ciekawy jestem, czyj to satelita – zastanawiał się głośno inżynier.

– Czy można go stąd rozpoznać? – spytała Krystyna.

– Jeśli się czyta wszystko, co o nich napisano, to myślę, że można.

– To musi być trudna lektura – zauważyła Hanka.

– Trudna, ale piękna – odpowiedział.

– Dlaczego piękna? – spytała Jagoda.

– Nie ma piękniejszej i pożyteczniejszej literatury. W książkach nie ma nic zmyślnego, jest tylko ścisła prawda, tylko prawda. A prawdą jest tylko to, co można obliczyć i za pomocą obliczeń dowieść.

– Ja jednak wolę czytać o gwiazdach – powiedziała półgłosem Krystyna.

– Ja wiem, panie lubią mówić i czytać o gwiazdach, ja wiem – powiedział pełnym rezygnacji tonem inżynier.

– Weźmiemy kurs na gwiazdę? – zapytał mnie Paweł.

– Weź.

Wytłumaczyliśmy pasażerom, na czym polega ten rodzaj nawigacji. Celownikiem jest top masztu lub jeden z jego górnych skrajów. Sternik bierze na celownik najbardziej odpowiadające mu ciało niebieskie i prowadzi jacht według ustalonego kursu. Paweł wybrał gwiazdę. Odchyleni do tyłu, prawie leżąc na podłodze „Zefira”, patrzyliśmy na top masztu ze świecącym nad nim punktem.

– Można tak długo płynąć?



Jezioro o zmierzchu

– Gdyby łądy miały dar rozstępowania się przed nami, można byłoby długo – odpowiedział Paweł.

Ale łądy nie mają takiego daru i przed zarysowaną czarniej linią przybrzeżnego lasu musieliśmy zrobić zwrot. Paweł wykonał manewr bardzo łagodnie, dużym łukiem, by najmniej zakłócić spokój płynących z nami ludzi. Teraz szliśmy na wiatr, ale niezbyt ostro. Odległe światło przystani zaledwie migąło, jakby było najniższej położoną gwiazdą. Od czasu do czasu, gdzieś w głębi nieba przelatywały naddźwiękowe odrzutowce, których huk zdawał się być nagłym wybuchem wysadzanych w głębi jeziora min. Nieobce są dla nas te dźwięki, codzienne, prawie swojskie. Ani na chwilę nie mąciły one naszego nastroju, nie zakłóciły nam śpiewu. Nieśliśmy po akwenu swoją ukrytą w mroku radość życia, bliską bliskich nam w tym rejsie osób. Poradziłem Krystynie, żeby wsunęła nogi głęboko do forpiku i położyła się, jeśli ma ochotę. Leżała więc, trzymając głowę na moich kolanach; patrzyła na gwiazdy lub spoglądała na mnie zamyślonym wzrokiem. Przy zwrotach siadała, a po manewrze wracała do pozycji leżącej, ciepła, zapraszająco bliska. Dotknąłem

palcem jej nosa. Uśmiechnęła się i wyciągniętą dłonią przyciągnęła moją głowę do swojej i szeptem powiedziała:

– Mam za duży nos.

Nie odpowiedziałem, tylko śmieiej gładziłem ją dłonią po twarzy, patrząc na kurs.

Nocny rejs skończyliśmy o godzinie drugiej.

– Idźcie państwo do domu – powiedziałem do towarzystwa, kiedy wysiedli na pomost. – My z Pawłem roztaklujemy „Zefira” i postawimy go na boi.

– Pójdziemy razem – zaproponowały prawie razem Jagoda z Krystyną.

W tej chwili odezwał się inżynier. Mówił poważnie, prawie z namaszczeniem, jakby przemawiał do grona wojewódzkich dostojników, a nie do przygodnych współtowarzyszy kempingu.

– Proszę państwa – powiedział – wszyscy jesteście trochę przemarznięci, a ja mam u siebie butelkę koniaku. Zapraszam wszystkich do mnie na koniak.

Kobiety zaczęły się trochę wymawiać, ale było w tym więcej krygowania się niż autentycznej odmowy. Pochyłony nad knagą fału foka Paweł uśmiechnął się do mnie, robiąc oko.

– Zapraszam wszystkich – domagał się inżynier. – Razem byliśmy na ognisku, razem pływaliśmy i razem wypijemy koniak. Proszę mi nie odmawiać.

Roztaklowaliśmy „Zefira”, postawiliśmy go na boi i całą gromadką poszliśmy za inżynierem. Nad kempingiem panowała chłodna cisza. Panie chciały iść na przełaj, ale prędko wróciły na ścieżkę, gdyż wieczorna rosa zmoczyła ugór. Szliśmy wydeptanym przez naszych poprzedników i przez nas szlakiem, stąpając jak można najciszej, by nie zakłócić nocy i spokoju odpoczywających ludzi lub – jak chciał inżynier – by nie robić sensacji nocnymi eskapadami. W głowie szumiał nam jeszcze szelest wiatru na żaglach i szum wody trącej o drewno jachtu. Oswojone z mrokiem oczy wyraźnie patrzyły na idących obok sąsiadów, na otuloną chustką pod brodą Krystynę i na podrzucającą długimi włosami Hankę. Paweł, Jagoda i inżynier szli przed nami.

Co skłoniło tego człowieka – myślałem o inżynierze – do nagłego zaproszenia nas na koniak: jakie chęci, jakie wyrachowanie? A może zwykła kalkulacja wymienna? Wy daliście mi przedpołudniowe poznanie przyrody i wieczorne pływanie, a ja wam koniak, co ostatecznie mi się opłaci, bo jak dziewczyna przyjedzie, nie będziecie mi mogli odmówić pływania. Dziewczyna oczywiście musi być wrażliwa, przynajmniej na uroki natury, a naszemu sąsiadowi musi na niej zależeć, gdyż inaczej nie robiłby tak dużych wstępnych przygotowań na jej przyjęcie i nie chodziłby kilka razy dziennie na przystanek.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział inżynier, gdy pojedynczo wchodziliśmy do domu – ciasno tutaj, ale się zmieścimy, po trzy osoby na jednym łóżku.

Usiedliśmy trochę nieśmiało, jak zwykle kiedy jesteśmy po raz pierwszy w obcym domu. Gospodarz wyjmował z szafki pudełka konserw z zagranicznymi opakowaniami, położył na stół paczkę amerykańskich papierosów, postawił sześć kieliszków ze sztucznego tworzywa i na koniec wydobyl z walizeczki główną ozdobę stołu, butelkę koniaku. Już chciał siadać do zaimprovizowanej biesiady, ale jeszcze sobie coś przypomniał, wrócił więc do szafki i położył na stolę tabliczkę czekolady.

– Dla pań – powiedział.

– Bożesz ty, mój Boże – powiedział Paweł – co za uczta.

– Mała przekąska – mruknął z nadmierną skromnością gospodarz i zaraz dodał: – Muszę się państwu przyznać, że jeśli mam wypić, lubię dobrze wypić, a koniak jest dobrym trunkiem.

– Dobry, ale drogi – wtrąciła Jagoda. – Nie każdego stać na koniak.

– To prawda – zgodził się, nalewając kieliszki.

– Jak się trochę wypije, lżej się człowiekowi robi na duszy – powiedziałem po wypiciu kieliszka. – Bo prawdę mówiąc, chyba trochę zmarzliśmy.

– Ja nie – powiedziała Jagoda.

Po kolei, jakimś owczym pędem, każdy składał deklarację ze swego stanu ochłodzenia, a przy tym chwaliliśmy trunek, spoglądając na gospodarza, jakbyśmy chcieli w ten sposób złożyć mu po-

dziękowanie za niespodziewany poczęstunek, który wprowadzał w nasze żyły ruchliwe ciepło. Siedziałem naprzeciw Krystyny. Mówiła, że ma za duży nos – myślałem – ale to nie jest prawda. Nie ma nosa za dużego. Nic nie jest u niej za duże ani za małe, wszystko ma takie, jakie trzeba mieć, a najlepszy jest ten fakt, że jest razem z nami na kempingu, że siedzi naprzeciwko mnie, chociaż może lepiej byłoby, gdyby siedziała przy mnie. A może nie lepiej. Może lepiej, że siedzi naprzeciw i mogę na nią patrzeć, a ona spogląda na mnie chyba takim spojrzeniem, o jakie nam chodzi.

– Czy zauważyłeś, stary – powiedział do mnie w pewnej chwili Paweł – że wiatr jakby zmienił kierunek?

– Jakie to ma znaczenie? – spytała Hanka. – Niech sobie wieje, skąd chce.

– O, pani Hanko – powiedział Paweł – ma duże znaczenie. Jak powieje z południa, dokąd zaczął skręcać, może nam przywiać wiele paskudztwa.

– Czy panowie o niczym innym nie potraficie rozmawiać poza wiatrem? – spytała Jagoda. – Czy my jesteśmy wiatr?

Jagoda domagała się zainteresowania i miała do tego pełne prawo. Czuła się chyba opuszczona przez mężczyznę i fakt ten musiał wpłynąć na jej psychikę – myślałem wtedy – albowiem zdarzenia takie prawie zawsze pozostają jak blizna na ciele.

Zgodnie z jej życzeniem zmieniliśmy temat rozmowy. Inżynier dość żwawo napełniał kieliszki. Alkoholu ubywało. Rozmowa stała się teraz głośna i dość chaotyczna. Ulegliśmy potrzebie gadania. Każdy chciał wypowiedzieć swój dowcip, swoje doświadczenie, wykazać się swoimi przewagami w życiu, każdy chciał podzielić się swoim bólem lub radością, każdy sprzedawał swoją pasję. Zdawało mi się, że tym ogólnym rozgadaniem, w którym zresztą celowały Jagoda z Hanką, odbywamy jakąś zbiorową pokutę szczerości za wszelki fałsz wobec ludzi, w którym tkwimy na co dzień. Ktoś wyskakiwał z celnym dowcipem, ktoś inny zazdrościł pierwszemu do różnej sławy i usiłował zdystansować go jeszcze lepszym dowcipem: byliśmy żywi i weseli, trochę zamroczeni i rozkojarzeni, skłonni do wynurzeń i wszelkiej zyczliwości, jakby na seansie panegirystów

wychwalaliśmy przedmówców, ogólnie sławiąc to, co nazwaliśmy dobrym kumpelstwem. Nawet inżynier został obdarzony kilkoma pochwałami za dobry pomysł, albowiem stwierdziliśmy zgodnie, że najlepsze są spotkania zaimprovizowane nagle. I jak pamiętam, byliśmy naprawdę szczerzy, skłonni najcięższymi zaklęciami i najbardziej wzniosłymi przysięgami zapewniać się o wzajemnej szczerości.

– Jesteście starsi od nas – wyznała Jagoda – ale tacy fajni, tacy serdeczni, że aż płakać się chce – prawie płakała z wielkiego rozrzewnienia. – Nie mówicie „Cizie, mamy chatę i szkło”.

– Bo nie mamy szkła, tylko plastik – wtrącił rzeczowo Paweł, co skwitowaliśmy radosnym śmiechem z dobrego dowcipu. Byliśmy skłonni śmiać się ze wszystkiego, albowiem śmiech był naszą radością tego wieczoru.

– Ale dlaczego pan się nie śmieje, tylko uśmiecha – zwróciła się do mnie Hanka. – Niech pan się choć raz szczerze roześmieje.

– On zawsze taki jest – wyręczył mnie Paweł – ale to nie szkodzi.

Nie musiałem odpowiadać. Jagoda zanuciła modną piosenkę, później drugą, a wreszcie podjęliśmy melodię starej pieśni o tym, jak szybko upływa życie i prawie roztkliwieni naszą marnością wobec upływającego czasu, zauważyliśmy świt.

– Czas spać! – wykrzyknął Paweł, jakby przerażony tym, że nowy dzień zastał go na nogach.

– Odprowadzę panią – powiedziałem do Krystyny, kiedy wyszliśmy z domku inżyniera na ścieżkę pod sinożółtym niebem.

– Dobrze – powiedziała. – Chociaż jest dzień i sama też bym trafiła – uśmiechnęła się do mnie.

– A może pójdziemy na spacer – zaproponowałem, gdy byliśmy już pod jej drzwiami.

– Ja wiem – zaczęła mówić o czymś, o czym tylko ona wiedziała.

– Ja rozumiem – zapewniała mnie o czymś. – Ale nie – przeczyła.

– Nie można. Ja wiem, że jestem już taka głupia – wymyślała sobie.

– Niech pan się na mnie nie gniewa, ale ja zawsze jestem głupia.

VII

Wstałem późno. Obudziła mnie mordercza duchota w domku, jakby ktoś podczas nocy zainstalował na dachu urządzenie ciepłe – taki bił od niego żar. Niemrawo zwlokłem się z łóżka i, ocierając pot z czoła, otworzyłem okno. Na zewnątrz panowała ustabilizowana w upale cisza. Żaden podmuch nie kołysał liśćmi młodej topoli, rosnącej tuż przy moim domku, niebo było jakby przypudrowane kukurydzianą mąką. Przez tę biało-kremową matowość słońce świeciło paskudnie jaskrawymi promieniami. Nie ulegało wątpliwości, że gdzieś kołocze się burza. Nabrzmiały na twarzy, z opuchniętymi powiekami, oślizgły potem, lada jak zagrzebałem łóżko i polazłem nad jezioro, by się trochę orzeźwić i zmyć z siebie napuchniętą duchotę. Tam spotkałem Krystynę. Siedziała na pomoście i przez słoneczne okulary obserwowała igrającego w wodzie synka.

– Dzień dobry – powiedziałem, pochylając się nad nią.

– Dzień dobry, ale duszny – powiedziała z uśmiechem. – Widzę, że dopiero teraz pan wstał.

– Wyspała się pani?

– Niezupełnie. Widocznie się starzeję. Kiedyś mogłam całą noc przetańczyć i nie odczuwałam zmęczenia. Dziś czuję się okropnie.

– W taką pogodę nikt nie czuje się dobrze.

– Pytało o pana trzech ludzi.

– Aż trzech.

– W tym jeden przedstawiciel władzy. Autentyczny milicjant. Przeskrobało się coś – mówiła żartobliwie.

– A inni?

– Jednym był pan Paweł, a drugim jakiś pan z dwoma aparatami fotograficznymi.

– Jeśli mnie szukali i nadal potrzebują, to mnie znajdą. Przede wszystkim trzeba zmyć z siebie całe rozespanie – powiedziałem i wszedłem do wody.

Pluskałem się na płytkim miejscu w zasięgu wzroku Krystyny. Spoglądała to na mnie, to na swego chłopca, który bawił się w wodzie kolorową piłką, co chwilę podbiegając do matki, by zwierzać się jej z małych kłopotów i doraźnych osiągnięć. Czułem się dobrze. Chłód wody zdawał się przenikać mnie i przenikając orzeźwiać. Rozkoszując się zanurzeniem i wynurzaniem, nabierając na ramiona płynnego chłodu, czułem się, jakbym był w świętej wodzie życia, która zdejmuje ze mnie całą chorobę upału, całą puchlinę, z jaką zwlokłem się z łóżka. Zapragnąłem pływania. Oderwać się od ziemi, być tylko z wodą na tej głębokości, gdzie stopa nie dostaje gruntu; przemożna chęć nurkowania, oto stan, jaki przyszedł nagle, jakby uzupełnienie wstępnej radości obcowania z wodą. Popłynąłem, ale z wodnej trasy zawrócił mnie podany przez ratownika sygnał. Wpłynąłem na strefę zakazaną dla samotnych wycieczek pływakich i stróż kąpieliska musiał mnie wezwać.

– Przed chwilą – powiedziała Krystyna, kiedy wróciłem przyjemnie zmęczony i ociekający wodą – widziałam tego pana z aparatami fotograficznymi. Szedł razem z panem Wenantym do wyjścia.

Domyślałem się, kim był przybysz z aparatami. Nie starałem się go szukać, gdyż znałem zwyczaj Romka i wiedziałem, że po przybyciu na nieznaną mu teren musi obieć wszystkie dostępne kąty w poszukiwaniu rzeczy godnych obiektywu. Znałem Romka z kilkunastu dobrych fotogramów. Przez okrągły rok prawie codziennie spotykaliśmy się w naszej kawiarence, gdzie odbywały się wielogodzinne dyskusje o sztuce fotograficznej. Jest on rozkochany w reportażu. Twierdził, że portret i pejzaż to strefy fotograficzne zapożyczone od malarstwa, a tylko reportaż jest własną dziedziną fotografii. Tylko reportaż – według jego zdania – potrafi zatrzymać i utrwalić nasz czas w jego obłądnym biegu. Zgodnie ze swoimi poglądami mój przyjaciel jeździł do niewielkich ośrodków miejskich, szukał treści naszego czasu w miasteczkach, na odległej prowincji życia. Był konsekwentny. Uważał, że jak się w kraju żyje, najle-

piej widać z boku, z pozycji szarego dnia przeciętnego mieszkańca Polski. Nie zdziwiłem się więc dowiadując, że tutaj przyjechał, ale byłem trochę zaskoczony jego znajomością z inżynierem.

– Szli razem – powiedziałem do Krystyny.

– Do wyjścia. Zdaje mi się, że nasz sąsiad szedł na przystanek autobusowy, gdyż w pełnej gali: marynarka, krawat, co przy dzisiejszej pogodzie rzuca się w oczy.

– Przepraszam pana – usłyszałem nagle za sobą nieznamy głos – czy mógłbym z panem porozmawiać?

Za mną stał wysoki, chudy, opięty w mundur milicjant. Na pasie zawisał mu ciężki pistolet i aktówka.

– Dobrze – powiedziałem. – Jeżeli pan chce, porozmawiajmy.

Zeszliśmy z pomostu i przystanęliśmy na małym skrawku trawy wcinającym się w piasek plaży. Kiedy mijaliśmy grupkę młodych ludzi, usłyszałem niezbyt miłą informację, że prowadzą tego, który wypłynął poza oznakowaną strefę pływania. „Niewykлучzone, że zapłacę mandat” – pomyślałem, idąc obok przedstawiciela porządku publicznego, który zdawał się nie słyszeć informacji o moim wykroczeniu. Szedł dostojnie i służbowo. Dopiero na skrawku zieleni, gdy oddaliliśmy się od plażowego tłoku stanął i powiedział:

– Pan pływa na żaglówkach?

– Pływam.

– Oczywiście, że wypływać poza strefę kąpieliska nie wolno, ale posłuchał pan wezwania ratownika i tylko poproszę, żeby pan więcej tego nie robił.

– Dobrze pływam – powiedziałem.

– Wiem, że pan dobrze pływa, widziałem. Ale nie wszyscy do-



*Zdzisław Morawski
i Bard, 1971 r.*

brze pływają i ktoś może się utopić. Nie o to jednak chodzi. Przysłał mnie do pana Franek. Prowadzimy dochodzenie w sprawie kradzieży ryb i obciętych wontonów. Franek powiedział, że pan pływa na żaglówkach, a jak jest pan ciągle na wodzie, to może pan coś zauważył.

– Nie, proszę pana, niczego podejrzanego nie zauważyłem.

– Szkoda. Pan podobno i nocą pływa.

– Owszem, nocą też wypływamy, ale nic nie zauważyłem.

– Szkoda. Ale jak pan pływa, to może pan jeszcze coś zauważyć.

Bo wie pan, na kempingu mieszka około dwieście osób, a wśród nich jest złodziej albo złodziejka, ale kto nim jest, nie wiadomo. Mieszka tutaj wielu poważnych ludzi: komendant wukaeru, dwóch naszych oficerów, prokurator, a nawet żona sekretarza. Spokojni i poważni obywatele. Nikt nic nie wie.

– Ma pan trudne zadanie.

– Byłoby łatwiej, gdyby stróż nocny był coś wart, ale stróż też nic nie wie – rozgądał się milicjant. – Chodziłem od samego rana po kempingu, podglądałem, gdzie smażą ryby; smażyli szczupaki, okonie, węgorze, liny, ale sielawy nikt nie smażył. Trudna sprawa, bo spokojnego obywatela podczas odpoczynku nie można podejrzewać, ale wśród spokojnych obywateli jest złodziej. – Milicjant zdjął czapkę i wachlując się nią wodził oczyma po przechodniach, jakby chciał prześwietlić ich rozebrane ciała. – Szkoda, że i pan nic nie wie. Ale jakby pan czegoś się dowiedział, to proszę nam dać znać.

Obiecałem. Z rybakami byłem w dobrych stosunkach i gdybym przypadkowo wpadł na trop występku, przez solidarność z ludźmi wody powiedziałbym milicjantowi, co wiem. Szeroki jest krąg podejrzanych i być może w widzeniu milicjanta i ja mogę do nich należeć. Pytał, czy pływam nocą. Nie mogę się temu dziwić ani nie mogę mieć żalu do przedstawiciela władzy. Ma on swoją słuszność, słuszność służby, obowiązku, ścigania każdego występku. Przestępcy chodzą wśród nas i podobnie jak my korzystają z promieni słonecznych, albowiem słońce z równą aktywnością nasycy ciepłem okradanego i kradnącego, ścigającego i ściganego. Przyroda jest dla każdego jednakowo łaskawa, woda dla każdego

dobra. Obiektywnie rzecz ujmując, w kręgu podejrzanych powinienem być przede wszystkim ja. Przecież ten, który wybrał rybę i obciął wontony, musiał do nich czymś dopłynąć, a wszelkie środki pływające są na noc zamykane. Jedynymi ludźmi, którzy korzystali z łodzi bez kontroli ośrodka, byłem ja z Pawłem. Pytał, czy pływam nocą, ale wiedział, że pływam – myślałem, kiedy milicjant szedł do wyjścia. Wróciłem do Krystyny, która przez cały czas rozmowy z milicjantem spoglądała na nas.

– Co się stało? – spytała.

– Prowadzą dochodzenie w sprawie kradzieży ryb i pytali, czy czegoś nie zauważyłem.

– Nic pan nie zauważył?

– Nic.

– To dobrze. Myślałam, że wlepią panu mandat za wypływanie.

– W tej sprawie dostałem ostrzeżenie. Szukają złodziei.

– To niech szukają, a my chodźmy się wykapać.

– Gdzie mały? – spytałem.

– Bawi się z córeczką mojej sąsiadki, tej żony dyrektora. Mam nawet pewne skrupuły, że ją wykorzystuję, ale ona ciągle domaga się, by dzieci razem biegały. Podobno umarł jej synek w tym wieku – mówiła Krystyna, kiedy szliśmy po plaży na drugą stronę pomostu. Znałem z widzenia i z naszych kempingowych pozdrowień żonę dyrektora. Była to osoba w wieku około lat czterdziestu, już trochę otyła i wbrew tej niesprzyjającej okoliczności ubierała się w jaskrawe dwuczęściowe kostiumy, które zmieniała najmniej co dwa dni.

– Mam trochę wyrzutów sumienia – kontynuowała Krystyna – ale naprawdę nie potrafię jej tego odmówić. Jest urzekająco miła, wprost nadprzeciętnie życzliwa.

Kiedy mieliśmy zamiar wejść do wody, zobaczyłem podchodzącego Pawła.

– Posłuchaj, stary – powiedział – jest najpaskudniejsza pod słońcem flauta i nie ma co robić. Pojadę do miasta popędzić ich, żeby prędeż przywieźli jachty.

– Panowie jesteście dzisiaj nieszczęśliwi – zauważyła Krystyna.

– No tak – zgodził się Paweł – jak nie ma wiatru, to nie ma co robić. Może dopilnuję transportu, może przywiozę dokumenty kursu, może uda mi się ściągnąć Andrzeja na wykłady o nawigacji. W każdym razie w Gorzowie coś załatwię, a tutaj bym się nudził.

– Jedź – powiedziałem – jedź i wracaj z łodziami.

Poszedłem za Krystyną, a kiedy zanurzony po pas w wodzie zbliżałem się do niej, przywitała mnie ostrym atakiem bryzgów wodnych. Podjąłem walkę. Przez kilkanaście sekund rzucaliśmy w siebie strugi wody, nie ustępując pola. Naraz poczułem, że jestem atakowany z drugiej strony. To Jagoda przyłączyła się do zabawy. Opuściłem ręce. Skulony jak posąg nieszczęścia przyjmowałem wodne razy z wewnętrznym chichotem. Bluzgające na moje plecy i ramiona strugi chłodu sprawiały mi dużą przyjemność, podobną do tej, jaką odczuwam, kiedy łódź chyli się do burt. Pozornie obojętny, obserwowałem atakujące kobiety, czekając na chwilę, gdy rozzuchwalone podejdy zbyt blisko, a kiedy zbliżyły się, rozpocząłem kontrnatarcie. Byliśmy rozigrani i swawolni, beztrósko dziecienni. Kiedy bryzgi wodne ściekły z nas grubymi kroplami, wzięliśmy się za ręce i jakby na znak zawartego przymierza, śmiejąc się, tańczyliśmy w kółeczko.

– A pan się jednak śmieje – wołała do mnie Krystyna. – Pan się jednak potrafi szczerze śmiać – powtarzała usiłując krążyć szybciej, jakby chciała uciec ze swoim odkryciem. Puściła nasze ręce i upadła na wznak z otwartymi ustami. Widziałem, jak zapadała się w rozgniecioną ciężarem wodę ze śmiechem niekłamanej radości na twarzy, widziałem, jak woda zalewa jej głowę, jakby topiła całą radość spojrzenia.

– To świetne – usłyszałem za sobą – jeśli ta twarz mi wyjdzie, będę miał wspaniałe ujęcie.

To był Romek. Stał na pomoście z aparatem w ręku. W okularach, z trochę odstającym brzuszkiem, mój przyjaciel robił wrażenie pocziwca, który w niedzielne dni wychodzi na plażę w otoczeniu rodziny i amatorskim aparatem pstryka zdjęcia.

– Kiedy przyjechałeś? – zawołałem do Romka.

– Przyjechałem rano i od rana ciebie szukałem.



Zdzisław Morawski obok swojego domku, 1971 r.

– Trzeba było przyjść do domku.

– Nie mogłem. Wiedziałem, że nocą pływałeś i nie chciałem budzić pana admirała – chichotał, poszturchując mnie palcem wskazującym w brzuch. – Spotkałem znajomego z gimnazjalnych czasów i rozumiesz, wypiliśmy po kubeczku.

– Ty jak zwykle.

– Życie krótkie.

– Nie szkodzi, dobrze, że przyjechałeś. Lokum masz.

– Mam. Powiedzieli mi, że mam wyjątkowe szczęście. Jakies dwie panie przeniosły się dziś do namiotu.

– Jesteś moim sąsiadem.

– Wiem – znów roześmiał się rozległym, trochę chrapliwym śmiechem. – Wiem, ale ty nie wiesz, dlaczego nagle przyjechałem.

– Nie wiem, ale myślę, że mi powiesz. Zwłaszcza że i ja chciałem cię o coś spytać.

– Dobrze. Możesz się pytać do woli, ale najpierw ja ci powiem; chodzi o Rydzewskiego. Wiesz, że wszyscy go nienawidzili. Największe wycieruchy, pokraki, majstry od kiczów, wszyscy zgodnie go nienawidzili i kłaniali mu się w pas w swoim paskud-

nym diabelstwie, żeby tylko zauważył ich kawałek fotografii, a on ciągle warczał, burczał, ciągle mu się coś nie podobało. I za to go nienawidzili.

– Ostro występował.

– Ostro, ale myślę, że nie ze złości do nich, jak twierdzili. A teraz naprawdę się wygłupił. Mądry człowiek, ale się wygłupił. Przyszedł pijany na wystawę i się wygłupił.

– I co z tego?

– Nic wielkiego, ale wiesz, jak jest w naszym grajdole. Zaczynają go wykańczać. Wszyscy kiczmajsterzy, wszyscy zrzynacze ogłosili go demoralizatorem i pijakiem, żeby mogli spokojnie robić swoje kicze. Ja, wiesz sam, nie nadaję się do tego, ale ty byś mógł coś z tym zrobić, coś napisać.

– Nie uważasz, że jest zbyt gorąco, żeby o tym rozmawiać.

– Rozumiem, nie chcesz o tym rozmawiać. To twoja sprawa, ale przyszedłem ci powiedzieć.

– Jak sądzisz, czy ich złość nie jest naturalnym odruchem na jego krytykę.

– Wiem, co chcesz powiedzieć: że miał obiektywną rację i oni mają obiektywną rację i w ogóle każdy kieruje się własną racją i ma rację. Znam twoje gadanie i jeśli nie chcesz więcej o tym rozmawiać, to nie rozmawiajmy.

– Musiałbyś jeszcze dodać, że jestem na urlopie i byłoby wszystko w porządku.

– No to i ja jestem na urlopie – powiedział i przystawił aparat do oka.

– Gniewaj się na mnie. Komu innemu bym tego nie powiedział, ale tobie powiem; myślę, że ludzie z małymi kłótniami dadzą sobie sami radę. Ale chciałem cię o coś spytać. Mówiłeś, że spotkałeś tutaj znajomego.

– Razem do gimnazjum chodziliśmy. Później nasze drogi się rozeszły, on skończył politechnikę, mnie studiować się nie udało. Są, jak widzisz, poważne różnice społeczne pomiędzy nami: on inżynier i jak zdążył mi powiedzieć, magister inżynier – Romek roześmiał się – a ja technik fotografii. Dystans ogromny.

– Ale poznaliście się.

– Prawie wpadliśmy na siebie. Niewiele rozmawialiśmy. Powiedział mi, że spieszy się na autobus, bo ktoś ma do niego przyjechać. Pożegnał mnie pospiesznie i poszedł.

– On naprawdę czeka na jakąś kobietę i wychodzi na przystanek.

– Nie szkodzi, chodźmy napić się czegoś.

– Dobrze, ale nie wódki.

– Dobrze, ty wodę, a ja szprycer.

Kiedy dochodziliśmy do bramy ośrodka, szosą przyjechał autobus. Pojazd ten nie miał dla nas najmniejszego znaczenia. Przejechał jak przejeżdża setka podobnych do niego niebieskich wchikułów Państwowej Komunikacji Samochodowej przewożących ludzi po drogach naszego kraju. Ale dla znajomego inżyniera miał znaczenie, gdyż i o tej godzinie oczekiwana kobieta nie przyjechała. Przechodząc przez szosę, widziałem znajomego, jak szedł w cieniu platanów sam na końcu dość długiego korowodu przyjezdnych. Ktoś czeka, ktoś nie przyjeżdża, na kogoś czekają. Ktoś śpiewa, ktoś słucha jego śpiewania, a my idziemy obok ludzkich głosów, radości, strapiień radzi, że je mijamy i zatrzymujemy w oczach, jak przydrożne tablice – kierunkowskazy do obojętnych okolic, radzi doznanych wrażeń.

Przy kiosku Romek znów miał okazję do skorzystania z aparatu. Przed grupką mężczyzn stał z butelką piwa w ręku mocno zaróżniony człowiek i śpiewał arię Jontka.

– Poczekaj – zawołał do mnie Romek prawie biegnąc do śpiewającego mistrza stada z pobliskiego gospodarstwa rolnego – poczekaj, bo ja takiego jak ten na całym świecie nie znajdę.

Szczeciniasta twarz z tygodniowym może zarostem wzniesiona była do nieba, rozchylone usta pokazywały mocno nadwątlone uzębienie, ręka śpiewaka z butelką piwa podniesiona na wysokość twarzy zdawała się wznosić toast. Żyły na szyi mistrza nabrzmiały, a oczy były półprzymknięte. Romek obiegał śpiewaka ze wszystkich stron i fotografował, jakby bał się uronić cokolwiek z natchnionego wyrazu twarzy, której niechlujny stan i szczególnie wzniosłość były na zawsze złączonym dystansem. Ale i mistrz dostrzegł, że jest fo-

tografowany. Obniżył głowę, zwrócił ją w kierunku aparatu, jakby chciał ułatwić Romkowi pracę i, śpiewając już dla Romka jedynie, robił zdziwioną minę, iż fotograf nie pstryka. Mój przyjaciel stał z aparatem opuszczonym na brzuch i patrzył przez swoje okulary z wyrazem nagany.

– To jest zdolny człowiek – powiedział do mnie czerwony na twarzy brygadzysta rybaków – bardzo zdolny, tylko trochę w ciemię uderzony. Jak sobie wypije, to zaraz operę robi. Ale jest grzeczny, nie awanturuje się, tylko śpiewa swoje arie.

– Nic już z niego nie będzie – szepnął mi Romek. – Już będzie chciał pozować. Chodźmy się napić.

– Pozujemy – powiedziałem – wszyscy pozujemy, kiedy obserwujemy się albo obiektywnie.

– Obiektywnie pozujemy – parsknął śmiechem Romek i szturchnął mnie w bok.

Po ugaszeniu pragnienia ja wodą sodową, on wodą z rieslingiem poszliśmy do lasu. Ale las był dla Romka zbyt monotony. Prześwity przez listowie z przedziwnie poukładanymi cieniami nazywał oleodrukami, a rozległy pejzaż na pole, jaki widzieliśmy z góry, po prostu go nie interesował.

– Co tu jest – mówił – co tu jest? Kawałek krowy na polu. Trochę rzepaku. Martwota i nic więcej – wybrzydzał. – Żadnego życia, ani odrobiny człowieka, bezruch. Niech sobie ten onanizm fotograficzny uprawia kto chce, ale ja tego fotografował nie będę. Nie mam prawa zaśmiecać ludzkiej wyobraźni takim niczym. Ludzie dali mi umiejętność fotografowania po to, żebym ich fotografował, a nie drewnika i światełka – powiedział i usiadł na mchu. – Ja tutaj nic nie znajdę i szkoda chodzenia, lepiej posiedzieć.

Usiadłem obok. Przyjechał do mnie i zgodnie z ogólnie przyjętymi obowiązkami wobec przyjezdnych uległem jego kaprysom. Las był cichy. Jedynym odgłosem na polanie było sapanie Romka, który, jak mi się zdawało, na coś się gniewał. Mogłem tylko domyślać się, że moja odmowa wyjazdu do miasta trochę go zirytowała, ale celowo nie wracałem do pozostawionego na pomoście tematu. Cóż ja mogę poradzić na to, że ktoś się ze sobą kłóci, ktoś kogoś

krytykuje, a krytykowany odpowiada złością. Nic nie ma w tym dziwnego, nic zaskakującego. Złość ludzka występuje w każdym czasie i pod każdą szerokością geograficzną; razem z człowiekiem się rodzi i razem z nim rozwija i jak nie jestem w stanie zatrzymać rozwoju człowieka, tak i nie mogę zniszczyć złości. Tej prawdy nauczyli mnie ludzie.

A miłość? I miłość istnieje wiecznie. Jak długo będzie płęć, tak długo będzie miłość. Oczywiście, że opowiadam prawdy banalne, ale wszyscy wśród takich prawd żyjemy – myślałem wtedy, kiedy Romek leżał, przewracając się z boku na bok i – muszę to przyznać – myśli moje w tym czasie coraz częściej czepiały się słowa miłość, jakbym chciał je przed samym sobą na nowo odrodzić.

– Czy nie uważasz, że tracimy czas, leżąc tak bezmyślnie – odezwał się w pewnej chwili Romek, podnosząc się na łokciu.

– Być może – zgodziłem się powściągliwie.

– No to chodźmy. O ile się nie mylę, nie jedliśmy obiadu.

Poszliśmy z powrotem, ale na obiad nie wstąpiliśmy. Tuż przy restauracji Romek doszedł do wniosku, że nie ma apetytu, a ponieważ i ja nie chciałem jeść, weszliśmy na rozpalony całodziennym działaniem słońca ugór. Od gliniastego podłoża prażyło, jakby tuż pod skorupą ziemi czarci palili ogień, chcąc z potem odparować z nas grzeszne dusze. Romek kłął na duchotę, ale wobec obiektywnie działających sił gniewy mego przyjaciela były nędzną szamotaniną. Siedzieliśmy w niedającym chłodu cieniu mojej chatki zupełnie rozbabrani przez wiszącą w powietrzu rozpaloną wilgoć, która tężała z godziny na godzinę. Oddychaliśmy ciężko, jakby ktoś płuca ponakrywał nam mokrymi szmatami.

W takiej chwili utrudnionego życia przyszedł do nas Franek, którego rzeźwość trochę mnie zawstydziła.

– Była u mnie milicja – powiedział.

– U mnie też byli.

– Powiedzieli, że złodziejowi musiał ktoś wydać kajak i chyba myślą, że to ja. Wielka to niesprawiedliwość.

– Znajdą złodzieja, to się wyjaśni.

– A jak nie znajdą, będą mieć mnie w podejrzeniu.

– Zapomną.

– Milicja nie zapomni. Opiszą człowieka w tych swoich książkach i nie zapomną. Zmartwień dużo, a na dodatek jeszcze oni. Goście się zjeżdżają, miejsc nie ma, a ci, co są, przedłużają pobyt. Dyrektorowa przedłuża, pani inżynierowa z Katowic powiedziała dzisiaj, że przedłuża – Franek musiał być mocno zakłopotany, gdyż zdjął kaszkiet, ale po krótkiej chwili znów go założył i mówił dalej o kłopotach z przeludnieniem.

Prawie go nie słuchałem. Jeszcze wczoraj Krystyna mówiła, że pozostaje dwa dni, to znaczy do środy bieżącego tygodnia, czyli jej wyjazd nastąpiłby jutro, a dzisiejszy wieczór może byłby ostatni ze spędzonych na kempingu. Nie pytałem Franka, na jak długo przedłużyła pobyt. Nie interesowało mnie to w tej chwili. Dowiedziałem się, że pozostaje i na razie informacja Franka dała mi uczucie zadowolenia.

– Oryginał – powiedział Romek, kiedy Franek wolno szedł ścieżką obok naszego segmentu domków. – Gdyby można było utrwalić na kliszy tę duszność, zdjęcie człowieka w kaszkiecie na takim tle byłoby wspaniałym ujęciem. Ale nie można – westchnął. – Deszcz sfotografujesz, mgłę też, ale tego paskudztwa nie można. Obiektyw jest taki jak ty, za bardzo obiektywny – parsknął śmiechem, popierając swą radość kuksańcem w mój bok. – Ale muszę ci powiedzieć, że na taką pogodę jedyny sposób miał mój dziadek: podchodził do szafy i pociągał łyce.

Wspomnieniem dziadka Romek często chwalił zbawcze działanie alkoholu, gdyż alkohol należał do stałych bywalców w jego organizmie.

– W czasie takiego zaduchu też pił? – spytałem.

– Nie ma złej pogody do picia, nauczał mój dziadek i prawdę powiedziawszy, mnie też suszy.

– W taki upał pić, to pruć sobie żyły.

– Wszyscy jesteście śmiertelni. Ci, co piją i ci, co nie piją też. Dziadek przeżył siedemdziesiąt osiem lat i nigdy nie chorował.

– Masz ochotę wypić?

– Mam. Przyjechałem do przyjaciela, a on cały dzień ze mną

gada o suchym pysku, język może kołkiem stanąć. Posłuchaj – klepnął mnie po ramieniu – przeczytałem wywieszkę, że dzisiaj w gospodzie jest dancing – głos zniżył do szeptu. – Moglibyśmy zaprosić panie i wypić w dobrej kompanii – kusił. – Kobiety są piękne i nie można pozwolić im się nudzić – perswadował – a ta pani Krystyna patrzyła na ciebie tak jakoś, tak jakoś – judził – a przecież samym gadaniem – splunął – kobiety nie zajmiesz. Myślę, że jakbyś porozmawiał z nimi, to by poszły – schlebiał mi w imię idei smaku alkoholu, który już chyba czuł na podniebieniu.

Pochylił się do mnie, jakby chciał się wypowiedzieć z najtajniejszych zamysłów, a oczy szkliły mu się nienaturalnym blaskiem. Słowa szeptane przeraźliwie wyraźnie przenikały do mnie jak bolesna skarga i zarazem prośba o zrozumienie.

– Będzie burza i może nas piorun strzelić na tym pustkowiu – bawił się w apokaliptycznego wizjonera. – Człowieka podpitego, wierz mi, sama natura przed złem ochrania.

– Mam wątpliwości, czy panie się zgodzą.

– Ty im powiesz tak jakoś, że one same będą chciały – schlebiał. – Gdybym ja mógł powiedzieć fotogramem, to bym powiedział, ale bebechów nie sfotografujesz, a słowem można się do cna wybebeszyć – mówił z żalem, albowiem nie słyszał sam siebie i nie wiedział, jak żarliwie przemawiał, jak delikatnie cieniował wyrazy odślaniając je tylko tyle, ile trzeba, by om amiły mnie wizją zasklepionego w nich widziadła.

– Porozmawiam, ale za skutek nie ręczę.

– Wiedziałem, żeś mój przyjaciel – wstał i otarł pot z czoła, jakby napięcie towarzyszące żarliwemu przekonywaniu znacznie go wyczerpało.

– Chcesz iść ze mną?

– Nie – powiedział trochę oklapłe – ja się do tego nie nadaję, posiedzę tutaj.

VIII

Do Krystyny nie szedłem dla Romka. Chciałem zobaczyć ją po decyzji pozostania na kempingu. Chociaż upał i duszność były dalej nieznośne, szedłem do niej przez ugór, nie dostrzegając prawie wcale gorączki. Było kilkanaście minut po godzinie piętnastej, a straszna flauta w dalszym ciągu panoszyła się nad jeziorem. Skrawek piasku nazywany tutaj szumnie plażą zatłoczony był przez ludzi, ale wiedziałem, że jeśli Krystyna tam jest, znajdę ją przy kąpielisku dziecięcym. Idąc powoli, rozglądałem się, by jak najwcześniej wyłuskać Krystynę spośród tłumu. Siedziała na kocu położonym na tym skrawku trawy, na którym stałem z milicjantem, gdy ten wywiadywał się o złodziei ryb. Przywitałem ją uśmiechem, który w tym wypadku, bardziej niż kiedykolwiek, był pierwszym zdaniem rozmowy, jakby wstępem do dalszych zdań, które miały zwaćbić kobietę na dancing. Miałem prosić Krystynę na wódkę, chociaż pić nie miałem najmniejszej ochoty i poprosiłem ją. Zdawała się być zaskoczona. Coś na kształt rumieńca przeleciało jej dreszczem po twarzy, a ja podążyłem za jej zmieszaniem.

– Pójdziemy – powiedziałem, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Pójdziemy – powtórzyła za mną ze spokojną determinacją denata, który był się zdecydował na śmierć, ale jeszcze patrzył w połyskującą toń wody, jakby chciał ujrzeć dno. Czułem na sobie spojrzenie mocne i urzekające, spokojne i groźne, ułamkiem sekundy wciskające się w mój wzrok. – Pójdziemy – powiedziała jeszcze raz odwracając głowę, ale teraz w jej głosie odczułem wahanie, jakby jeszcze raz chciała upewnić się, czy decyzja jest nieodwołalna. – Pójdziemy, ale później, kiedy położę chłopca spać – podjęła ostateczną decyzję. Teraz zacząłem chwalić Romka, a właściwie jego

fotogramy, jakby całe wstępne zabiegi były tylko dla niego. Byłem w tym wypadku fałszerzem, ale fałsz spowodowany był zakłopotaniem, niezwykle dalekim od chłodnej obiektywizacji, której dotąd zawsze hołdowałem.

Kiedy rozmawialiśmy o przyszłym dancingu, podeszła do nas kempingowa przyjaciółka Krystyny, wspomniana już dyrektorowa, i z daleka, tytułując ją panią magister, głośno roztkliwiała się nad jakimś powiedzeniem chłopca Krystyny. By włączyć się w jej rytm rozmowy, umilkliśmy na chwilę, co zresztą bystro zauważyła.

– Może państwu przeszkadzam? – zapytała, przysiadając na brzeżku koca.

– W żadnym wypadku – powiedziałem. – Rozmawialiśmy o dzisiejszym dancingu.

– Mamy ochotę iść – wtrąciła Krystyna – może i pani się wybierze, pani Stanisłavo.

– Idźcie sobie, kochani moi, i bawcie się wesoło, ale ja nie pójdę. Za stara jestem na takie eskapady. Zresztą my nigdzie nawet z mężem nie chodzimy. Mąż robi teraz magisterkę i tak jest zajęty nauką, że na nic poza telewizją nie mamy czasu.

– Szkoda – wtrąciłem.

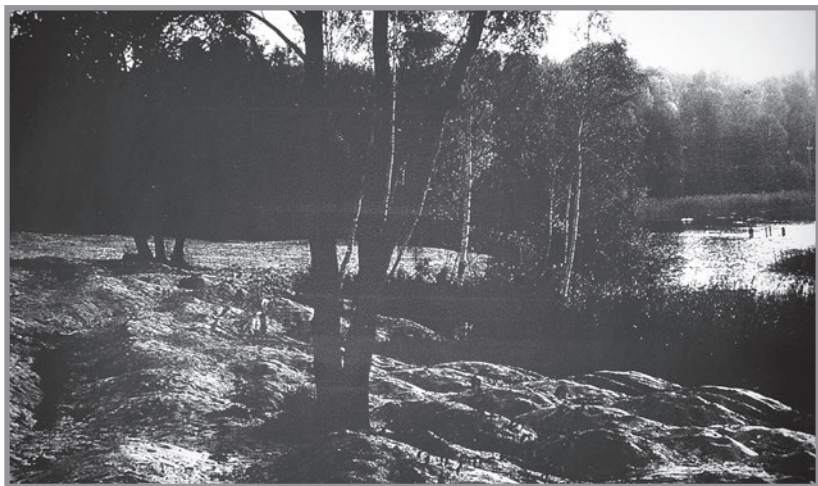
– Żadna szkoda – zaprzeczyła. – Pani magister młoda, pan, panie redaktorze, też, idźcie i bawcie się wesoło, a ja poczekam, aż mój mąż zrobi magisterkę, wtedy dopiero zacznę normalnie żyć, jak każdy przyzwoity człowiek. A wy się mną wcale nie krępujcie, a nawet, pani magister, jeśli pani chce iść wcześniej – bo później mogą miejsca zająć – niech pani zostawi chłopca u mnie, on jest taki rozkoszny i tak pięknie bawi się z moją dziewczuszką, że radość na nich patrzeć.

– Nie chciałabym pani wykorzystywać.

– Jakież znów wykorzystywanie, zrobi mi pani tym przyjemność.

– Czym ja się pani zrewanżuję.

– Nie ma o czym mówić. A jak pani koniecznie chce, to w niedzielę, jak przyjedzie mój mąż, wspólnie wybierzemy się na kawę. Pani jest magistrem historii, a on robi magisterkę z historii, to sobie pogadacie o dawnych czasach. Mam nadzieję że pan redaktor też chyba nie pogardzi.



Obiecałem i poszedłem szukać Hanki z Jagodą. Moje były sąsiadki, dziś mieszkanki namiotu u podnóża stoku, siedziały na pomoście razem z inżynierem. Nasz znajomy nie miał już na sobie cywilnego umundurowania, w którym go dotychczas widziałem. Ubrany był w kąpielówki, jak każdy przyzwoity mieszkaniec kempingu i siedząc na pomoście pomiędzy dwiema studentkami, chlapał nogami po wodzie. Wygłosiłem dłuższy wstęp, w którym uważałem za wskazane uzasadnić nagłą propozycję, ale, jak wyniknęło z dalszej rozmowy, przedmowa najzupełniej nie była potrzebna. Zgodziły się bez chwili wahania, tylko inżynier zastrzegł, że przyjdzie dopiero po dziewiętnastej. Zrozumiałem. Najprawdopodobniej o tej godzinie przyjeżdżał autobus. Więc mimo dwudniowego prawie czekania jeszcze nie zrezygnował z wychodzenia na przystanek, chociaż przebrał się i chyba nie wierzył w przyjazd oczekiwanej, gdyż umawiał się z nami na dancing. Po omówieniu szczegółów; o której godzinie i gdzie się spotkamy, pożegnałem towarzystwo zwykłym do zobaczenia i poszedłem do Romka oznajmić przyjacielowi radosną wiadomość, która już nie była tylko jego radością. Siedział przed domkiem z miną osowiałą, jakby osiągnięte właśnie porozumienie wcale go nie radowało. Znałem doskonale nastroje Romka. Potrafił namawiać całe otoczenie do partii brydża, a gdy

partnerzy zasiadali do kart, Romek po pierwszych rozdaniach zaczynał narzekać na ogłupiającą grę, po czym rzucał karty i wybiegał z aparatem. Dochodząc, widziałem jego obwisłe policzki, bezradnie położone na kolanach ręce, całą zastygłą w zamyśleniu martwość postaci i niezbyt urodziwą gębę. Kiedy spojrział na mnie, zauważyłem, iż dolna warga mięsistym ciężarem obciąża mu twarz w dół, a pod oczyma zaokrągliły się sine wgłębienia. Najbardziej zawsze interesowało mnie to, że ów wyraz niemoralnego rozmemłania rozwijał się wtedy, gdy Romek w zasadzie osiągał doraźne zamierzenie. Nie lubię wkraczać w czyjąś psychikę przez plotkarskie zainteresowanie i nigdy nie pytałem Romka o przyczyny nagłych depresji. W takich chwilach starałem się zawsze wyciągać go do normalnego poziomu za pomocą oszukańczej sztuczki nagłego zainteresowania wglądówkami, jakie mi czasem pokazywał. Kiedy podnosił głowę i podciągał wargę, gdy zaczynał mnie przynaglać, żebym jeszcze coś powiedział, wymyślał argumenty o obiektywnej wartości przyszlých fotogramów, odczuwałem podłe zadowolenie zwycięzcy, który naprzód wiedział, że wygra, a teraz się nią chełpi. I dziś powtórzyłem stary manewr. Niby mimochodem, niby mówiąc o sprawach ogólnych, zatrąciłem o reportaż fotograficzny, a zwłaszcza o ostatnią jego wystawę. Policzek mu drgnął, jakby chciał wrócić na przyrodzone miejsce, grzbiet ze stanu łukowatego wygięcia przeniósł Romka do pozycji pionowej, głowa zwróciła się do mnie, a usta podały niepewny jeszcze, lecz wyraźnie już brzmiały zainteresowaniem głos. Po czym rozpoczęliśmy dyskusję o fotografice, którą już sam Romek błyskawicznym fleszem myślowym przeniósł na dzisiejszy wieczór. Przyjemnie teraz było patrzeć na promieniujące inteligencją, żywe spojrzenie zza szkieł, którymi błyskał dookoła, to na mnie, to na domki, to wreszcie na zaciągające się sinicą niebo na całym skłonie południowego wschodu.

– Będzie pompa, będzie pompa – wołał podochocony – ale to nic. Piłem już pod westchnienie, piłem pod konie, pod obrok się zdarzało, ale pod gromy z nieba jeszcze nie piłem. Nie zdarzyło się! A dzisiaj wypiję! Co piorun, to pięćdziesiątka! A ty uśmiechaj się, szulerze – prawil mi. – Wiem, że zacząłeś gadać o fotografii, żeby

mnie wyprowadzić z napadu chandry. Jesteś oszust, podły oszust. Żeby mnie twój śmiech udało się kiedyś pochwycić, żeby się udało, to byś na fotografii jak na dłoni zobaczył swoją przewrotną duszę – wymyślał mi uradowany. A i ja byłem zadowolony, nasycony niecnym tryumfem obiektywnego obserwatora cudzych uczuć.

– Zejdźmy na przystań – zaproponowałem przyjacielowi w odpowiedzi na jego wywód. – Trzeba mocniej przycumować „Zefira”, bo nadchodzi burza.

Poszedł za mną bez słowa protestu zadowolony z życia, wesoło rozgadany, wprost rozbawiony radością. Do przystani pospiesznie przyplływały kajaki. Franek z młodym pomocnikiem wyciągał je na pomost, ale gdy nas zobaczył, przerwał robotę i podszedł.

– Chciałem coś panu pokazać – powiedział tajemniczym szeptem. – Niech pan popatrzy na ten rower – po prawej stronie przystani stał w sitowiu wciśnięty rower wodny, który na pierwszy rzut oka niczym nie różnił się od pozostałych. – Nic pan nie widzi. Ja też nie widziałem. Stał w sitowiu, bo nie był potrzebny, ale dzisiaj, kiedy kazałem chłopakowi doprowadzić go do pomostu, okazało się, że ma w śrubę wplątany kawałek sieci. Teraz pan wie?

– Sieć rybaków – powiedziałem.

– To jeszcze nie wszystko – informował dalej. – Na jednym z kajaków były przyklepione łuski od sielawy.

– Więc po zmartwieniu, panie Franek, ma pan złodziei.

– Niby mam, a niby nie mam... – chciał mi jeszcze coś powiedzieć, ale przywołany przez oddających kajaki poszedł załatwiać swoje czynności.

Ciekawe, kto się okaże złodzieje – myślałem, zakładając cumę rufową do „Zefira”, by podwójnie uwiązany mógł lepiej opierać się fali i wiatrowi. Przy tej robocie pomagał mi Romek, który był w takim nastroju, że skłonny byłby przysłowiowego nieba ludziom przychylić. No więc wszystko jest w należyтым porządku – myślałem – złodziej jest prawie schwytany, Krystyna odłożyła wyjazd, cumujemy „Zefira” i idziemy na dancing. Ale to jeszcze nie wszystko: wczoraj przyjechał inżynier, dzisiaj Romek, ale dzisiaj wyjechał na jeden dzień Paweł. Za dwa lub trzy dni przywiozą jachty i chłop-

ców. Zacznie się kurs, ale znów ktoś wyjedzie, kogo być może nie zauważę, albowiem wszystkich zauważyć, poznać, zgorszyć lub naprawić absolutnie nie jestem w stanie.

I to jest moja najprawdziwsza prawda, której nie chce przyjmować Romek, o której z Pawłem nie da się rozmawiać, dla której jestem na odległym od miasta skrawku wody. Ale to jest nie tylko moja prawda, lecz i moja zarozumiałość, że jestem odrębny od wszystkich i dzięki temu mogę patrzeć na nich z boku. Lecz wiem, że moja zarozumiałość, która miała być moją prawdą, chwieje się, kiedy zbliżam się do Krystyny.

– Co tam marudzisz – zawołał Romek. – Lunie i nie dojdziemy.

Nie marudzę, tylko się zastanawiam – pomyślałem – bo zdaje mi się, że niepotrzebnie moją rację nazywam zarozumiałością. Ludzie przyjeżdżają i odjeżdżają, to jest na kempingu normalne. Kochają się i przeklinają, to jest w życiu obiektywne. Miłość przychodzi do nas obiektywnie i jeśli przysła, nie ma powodu sobie wymyślać.

– Burza jest jeszcze daleko – powiedziałem do Romka – ale niezależnie od tego trzeba iść.

Niebo na burzliwym horyzoncie było sine i prawie każdy mieszkaniec kempingu niespokojnie tam spoglądał. Nasze panie czekały przy domku Krystyny. Tylko inżyniera jeszcze nie było. Przedwczesny mrok nachodził na nas szeroką ławą i jakby cieniem wczepiony w powietrze wisiał razem z nim w natrętnym oczekiwaniu drapieżcy. Kiedy mijaliśmy rozłożone u podnóża stoku pole namiotowe, ten i ów mieszkaniec, niespokojnie spoglądając na południowy wschód, podciągał linki, oglądał wiązania lub dodatkowo okopywał płócienną chatkę. Liście drzew bezszelestnie obwiste, jakby w pokornym zawieszeniu czekały na pierwsze uderzenie żywiołu. Tafla jeziora trwała w sinym bezruchu, słowem cała przyroda jakby dotknięta niewidzialną ręką uciszenia czekała na przyjęcie nawalnicy. I my spieszyliśmy pod dach, lecz nie w nastroju grozy, a z buńczuczным dowcipem na ustach, że pić będziemy pod gromy z nieba: jeden piorun, jedna pięćdziesiątka.

IX

W chwili gdy wchodziliśmy do „Chaty za wsią”, burza odległymi jeszcze pomrukami grzmotów przesyłała swoje zapowiedzi. Błyskawice nie miały jeszcze własnego wyrazu. Wydobywały się zza leśnego horyzontu, jak luna siniego reflektora, który gasł i zapalał się gruchotliwym językiem. W restauracji siedziało już kilkanaście osób. Usadowiona w kącie orkiestra podstrajała instrumenty. Zajęliśmy czteroosobowy stolik w kącie sali, gdzie – jak zapewniali miejscowi – przed paroma laty był umocowany żłób, najprawdopodobniej koryto, gdyż budynek ten był adaptowaną dla potrzeb lokalu oborą; wyrugowano krowy i urządzono restaurację. Miejscowy poeta, który był się wślawił okolicznym wierszem z okazji piętnastolecia PZGS, wymyślił dla restauracji nazwę, która chwaliła jego talent od maja do października każdego roku. Fakt, że zajmowaliśmy miejsce po rogatych czworonogach, nikogo nie raził. Nie było po nich śladu. Lokal urządzony był zgodnie z falą mody, jaka przewalała się przez kraj po roku 1955, kiedy stylizowane wizerunki krakowiaków zastąpiono paskami, trójkątami, prostokątami. Przy bufecie naczelne miejsce zajmowała lodówka, a obok lodówki stał adapter z paczką płyt, by wypoczywający obywatel mógł wesoło spożywać kotlety.

– Powiedzcie, panie – prawil z ożywieniem Romek – czy to nie jest piękne, że już siedzimy za stołem. Szkoda tylko, że człowiek powiedział jedno niepotrzebne słowo i z wypiciem trzeba czekać na burzę.

– Nie trzeba mówić niepotrzebnych słów – odpowiedziała Hanka. – Nierozważne słowo może świadczyć przeciw człowiekowi.

– Zapomniałem, że rozmawiałem z prawniczkami.

Chociaż nie wypiliśmy jeszcze ani kieliszka alkoholu, Romek był w dobrym humorze. Z pozorną swarliwością przekomarzał się z paniami, mnie zaczynał mruganiem i anegdotami, których podobno byłem współautorem, bawił siebie i towarzystwo drobnym łągarstwem. Lecz ruchy jego były coraz bardziej niespokojne, miłosne spojrzenia na butelkę kończyły się ciężkimi westchnieniami. Obawiałem się, że trzymany w rygorze własnej obietnicy może popaść w nową chandrę. Już miałem wstąpić w sojusznicze szranki Romana i przyspieszyć wypicie, gdy nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem. Silny podmuch wpędził na salę tuman kurzu i śmiecia. Zasłonki przy oknach poszybowały w górę i miotając się pod sufitem, jak taśmy karnawałowej zabawy, oznajmiły wkroczenie burzy. Strzełiło. Obsługa lokalu rzuciła się do zamykania drzwi i okien, a my w ślad za Romkiem podnieśliśmy kieliszki.

– Dobrze się pije pod żywioł – zażartował Romek.

– W rzeczy samej – stwierdziła Jagoda, patrząc na mnie, gdyż było to powiedzenie, którego używałem w nadmiarze.

– W rzeczy samej – powtórzył Romek, nalewając kieliszki.

– Nie pijmy tak często – oponowała Jagoda. – Przyszliśmy się bawić, a nie spać.

Drzwi znów się otworzyły. Wszedł inżynier. Otumaniony światłem dłuższą chwilę stał chwilę przy drzwiach, rozglądając się dookoła. Z twarzy kapały na ramiona krople wody – był porządnie zmoknięty.

– Zawołam go – powiedział, wstając Romek i podszedł do stojącego.

– Zmókł pan – przywitała go Jagoda – ale to kara za spóźnienie.

– Myślałem, że zdążę. Złapało mnie przy kiosku. Leje wprost strumieniami.

– Żeby się nie przeziębic, musi pan zaraz wypić – troskliwie napełniał kieliszek mój przyjaciel.

Zagrała orkiestra.

– Zatańczymy? – szepnąłem do Krystyny.

– Zatańczymy – zgodziła się.



Za oknem szalała burza, a tutaj, jakby na przekór gromom i wichurze, w powolnym rytmie tanga kołysały się pary. Zdawać się mogło, że łagodne tony muzyki są silniejsze niż rozjuszony żywioł bijący deszczem o szyby, rozjaśniający ziemię wyładowaniami, jakby choć na ułamki sekund chciał pokazać ludziom swoją moc. Lecz ludzie spoglądali na szyby tylko w tych chwilach, gdy światło błyskawicy prawie wdzierało się przez okna. Za osłoną ścian, ufni w piorunochrony, uspakajani łagodną perswazją muzyki, tańczyli bardziej zasłuchani we własne tętno niż w uderzenia nawałnicy. Widziałem uśmiechnięte twarze i ja uśmiechałem się do Krystyny. Odpowiadała mi spokojnym, pełnym zakłopotania uśmiechem i była moim wiernym odbiciem, bo powtarzała każdy mój ruch. Gdy mocniej przytulałem ją do siebie, poddawała się, lecz równocześnie spoglądała na mnie uważniej, jakby chciała wypatrzeć moje myśli.

– O czym pani myśli? – spytałem.

– O Wieśku – wymieniła imię synka.

– Boi się burzy?

– Nie o to chodzi. Jest pod opieką pani Stanisławy – zamilkła. Dopiero po kilku taktach powiedziała: – Ja zawsze gadam byle co i myślę byle jak, niech mnie pan nie słucha.

Przestali grać.

– Niech pan nie słucha moich głupstw, ja zawsze w czasie burzy plotę banialuki. To burza mnie tak rozstraja.

Mówi o burzy – myślałem wracając do stolika – ale nie o burzę tutaj chodzi, przynajmniej nie o tę, co dobija się deszczem do okien. Chodzi o tę burzę, której symptomy zbliżamy do siebie powoli, ale nieustannie, którą hodowaliśmy podczas wycieczek jachtem i hodujemy w dalszym ciągu, nie kamienując jej przedwcześnie wielkimi słowami.

– Panie Romku – powiedziała, kiedy usiedliśmy przy stoliku – mam ochotę dzisiaj się spać.

– Źle z tobą, święty Romanie od szkła – zawołał wesoło Romek – jeśli tylko do ciebie zwracają się z takimi prośbami. Ale i z tobą źle, święty Bernardzie łagodności – zwrócił się do mnie – jeśli po tańcu z tobą pani ma ochotę się spać.

Jagoda roześmiała się głośno, a ja spojrzałem na Krystynę. Zdało mi się, że przybladła trochę, ale bez słowa wyciągnęła rękę z kieliszkiem do Romka, który nalewając śliwovicę, mówił:

– Jeśli człowiek ma ochotę wypić, to musi wypić, takie jest jego obiektywne prawo, prawda? – spojrzał na mnie i mrugnął.

– Zwłaszcza, że strześliło – wtrąciła Hanka, a wszyscy się roześmiali.

Lecz tym razem uderzenie gromu było już nieco odległe, jakby wiwatowe. Wypiliśmy zgodnie na chwałę burzy, która przesunęła się na północny zachód. Zagrała orkiestra.

– Chodźmy tańczyć – powiedział inżynier – przecież musimy nasze dziesięć złotych za wstęp odtańczyć.

Wszyscy się roześmiali i poszliśmy tańczyć. Sala huczała od śpiewu i tupania nogami. Pochylone do przodu, jakby złamane w pasie postaci robiły wrażenie skradających się do siebie stworzeń; twarze rozognione, ruchy porywcze, chwilami miękkie, czarujące. A gdy orkiestra nagle urwała, zatrzymani ludzie zdawali się być statuettkami z jarmarcznej budy, przed które podczas wypalania przeleciał upalny monsun. Jeszcze pędziły z półobrotu dokądś, co umknęło bezpowrotnie, lecz tętniło w nich utajonym rytmem. To uczucie niedosytu, ta chęć okrętnego pędu była na sali powszechna. Z wielu ust wydarło się natarczywe „mało”. Nie wołaliśmy, ale, stojąc w tłumie wołających, domagaliśmy się wznowienia melodii. Orkiestra chyba czekała na te okrzyki. Teraz salą targnął wprost obłądny rytm. Ludzie zmienili się w rozedrgane widziadła. Wśród rozpędzonej masy młodzieży byliśmy przeraźliwie wolni i tą powolnością starzy; ktoś nas potrącał, ktoś na nas wpadał, po prostu zawadzaliśmy.

– Skończymy – zaproponowała Krystyna.

Przy stoliku zastaliśmy Romka z Hanką.

– I wy skończyliście – przywitał nas Romek. – I słusznie, że skończyliście. Ktoś, kto ma cokolwiek w głowie, nie będzie tego tańczył. Rozwydrzeńczy.

– A my w ich oczach starzy – powiedziałem.

– Ty zawsze swoje. Ty byś Piłata rozgrzeszył.

– Piłat wcale nie był złym urzędnikiem – wtrąciła Krystyna.

– Nie szkodzi – upierał się Romek. – Chociaż ich bronicie, ja, kiedy patrzę na to – pokazał brodą na tańczących – czuję, że trzecia wojna światowa jest niezbędna.

– Niech pan tak nie mówi, panie Romku – skarciła go łagodnie Krystyna.

– Jak pani chce, daruję im życie, bo i my musimy żyć – podniósł kieliszek.

– On, kiedy jest zadowolony z życia, w taki sposób uraga ludziom – szepnąłem do Krystyny.

– Rozumiem – odszepnęła.

Wrócił inżynier z Jagodą.

– Już dawno tak wspaniale mi się nie tańczyło – zwierzała się głośno, dysząc, Jagoda. – Powiadam wam, że człowiek ten – pokazała na inżyniera – wprost wspaniale tańczy. Nigdy pana bym o to nie posądziała.

– Dzięki znakomitej partnerce – replikował, kręcąc głową.

– Dajcie mi się czegoś napić – domagała się Jagoda.

Butelki były puste. Wstałem, by przepchać się do bufetu i przynieść jakiegoś napoju spragnionej Jagodzie, ale nie było to najłatwiejsze. Kiedy przeciskałem się przez stłoczonych przy bufecie mężczyzn, poczułem, że ktoś mnie pociąga za rękaw.

– To ja, panie redaktorze – usłyszałem szept i zobaczyłem tuż przy swojej twarzy szczupłą twarz z jednym okiem wpatrzonym we mnie. – To ja, Młynarski. Widzę, że pan mnie nie poznał. To dobrze, że mnie pan nie poznał, bo jak pan mnie nie poznaje, to i złodziej mnie nie pozna.

Tropiciel złodziei ryb zaczął mrugać, jakby chciał coś zasygnalizować.

– Ale ja go dostanę, a jak go będę miał, wtedy prokurator zrobi z niego tabakę w sądzie. Tylko pan powinien mi pomóc.

– Pomogę panu – zapewniłem.

– To on już jest nasz.

Chociaż był podпиты, miałem zamiar powiedzieć mu, żeby zgłosił się do Franka, ale nacierający na bufet tłum rozdzielił nas.

Kiedy obejrzałem się, zobaczyłem oko mrugające do mnie między ludzkimi głowami. Wróciłem do stolika, gdzie prowadzono nader poważną dyskusję.

– Jak mam chwilę czasu, lubię zobaczyć dobry film – wywodził inżynier – ale żeby roztrząsać, co myślał autor, jak swoje książki pisał, tego mnie już w szkole oduczyle. Takie roztrząsanie jest potrzebne belfrom i leniuchom, którzy poza zawracaniem głowy ludziom nic lepszego nie robią. Pitagoras tak, ten dał wiele ludzkości! Uczył, jak należy zmienić świat i teraz my go zmieniamy! Ale Sokrates? Rozmyślał o świecie, bo mu nic innego nie pozwolili robić. Gdyby mu pozwolili, byłby tyranem. Nudziło mu się i rozmyślał. Pytała mnie pani – zwrócił się do Krystyny – czy czytałem książkę Iwaszkiewicza, a ja mogę spytać, czy pani czytała dzieło o zachowaniu się piasku pod fundamentami i też dowiem się, że pani nie czytała. Możemy się tak zaginać do końca świata.

– Zaginajcie się, a ja mam ochotę się napić – stwierdziła trochę już podchmielona Jagoda. – Rozmawiajcie, zaginajcie się, męczcie się intelektualnymi rozmowami, a ja wam powiem, że przyjechałam tutaj spędzić miesiąc pod hasłem – precz z intelektem.

– Ma pani rację, pani Jagódko – milił się do niej Romek nalewając kieliszek. – My bez intelektu.

– Czy pan naprawdę tak myśli? – spytała Krystyna.

– Dlaczego mam myśleć inaczej, a mówić inaczej? Mamy takie czasy, że można mówić, co się myśli – odpowiedział inżynier.

– Ja myślę inaczej – powiedziała półgłosem.

– Pani wolno, pani jest kobietą, a kobiety inaczej myślą.

– Dajcie już spokój temu myśleniu – zawołała Jagoda. – Nic od was nie słyszę, tylko: myśli, myślę, myślałam, myślenie. Przestańcie na chwilę myśleć i porozmawiajcie jak ludzie. Panie Romku, my nie myślimy, prawda? – zwróciła się do Romka.

– Prawda, pani Jagódko, z myśleniem od razu na śmietnik. Niezależnie naszym jest to, że ludzie stanowczo za dużo myślą, a za mało robią.

– Święta racja – powiedział inżynier. – Mamy za dużo takich od myślenia, a za mało tych od roboty.

– Mamy jeszcze jednego sojusznika – zawołała Jagoda – teraz może wreszcie przestaną. Przyszliśmy się bawić, a nie zamęczać filozofią. Wy jesteście znakomici chłopcy – powiedziała do Romka i inżyniera – nie bawcie się w zawilosci tam, gdzie ich nie trzeba. Jesteście prawdziwi, a oni mają na ustach myślenie, psychikę, komplikacje, intelekt, a do charakteru lepiej nie zaglądać.

– Jagoda, przestań – strofowała ją Hanka.

– Właśnie, że nie przestanę. Raz mogę powiedzieć, co myślę.

– Jednak pani też myśli – wtrąciła łagodnie Krystyna, a wszyscy wybuchli śmiechem. Śmiała się też Jagoda.

– I już po wojnie – powiedziała Hanka. – Trzeba, żeby orkiestra zagrała i po rozejmie nastąpi pokój.

Orkiestra, jakby wywołana, zagrała. Poszedłem tańczyć z Jagodą. Była podpiła i wieszala się na mnie.

– Lubię się przytulać do mężczyzn – mówiła – ale niech pan nie myśli, że to coś znaczy.

– Nie myślę – zapewniłem.

– Nie myśli pan, bo pan łązi za Krystyną. Przecież widzę. Wszyscy jesteście jednakowi. Tamten czeka na dziewczynę, a jak ona nie przyjeżdża, to mizdzy się do mnie. Pan kręci się przy Krystynie. Wszyscy myślicie jednakowo: rozwódka, to z nią cacy-cacy i do łóżka. Dlaczego pan milczy?! Przecież to, co ja mówię, jest okropne!

– Dobrze pani oceniła.

– Co dobrze oceniłam?

– Że to, co pani mówi, jest okropne.

– Bo świat jest taki wielki, a ja jestem sama. Nie znoszę samotności, a jestem sama. Chodźmy do stolika, bo się rozbeczę.

Poszliśmy do stolika, a zaraz za nami przyszła Hanka z Romkiem. Jagoda ocierała łzy chustką. Hanka usiadła przy niej i szeptała jej coś do ucha.

– Co jej się stało? – spytał mnie zaniepokojony Romek.

– Nie wiem, ma kompleksy.

– Że też ludzie nie umieją pić bez kompleksów.

Zanim orkiestra skończyła grać, Jagoda przyszła do siebie, a nawet zaczęła wesoło przekomarzać się z inżynierem.

– Jak pani ocenia dzisiejszy wieczór? – spytałem Krystyny.

– Dobrze mi z wami. Mam lekkiego rausza, jest mi wesoło i pogodnie. Chciałabym cały świat objąć i ucałować.

– Nawet tego grubasa – powiedziałem pokazując jej otyłego prokuratora, który siedział przy następnym stoliku.

– Nawet tego grubasa – mówiła ze śmiechem – nawet te krowy, które tutaj kiedyś mieszkały.

Więc jest wszystko w porządku – myślałem patrząc na jej zarumienione policzki. Jeśli ona dobrze się bawi, bawię się dobrze i ja, i cały świat jest wesoły, a jeśli nie jest, powinienem mu wytłumaczyć, że radość jest najprawdziwszym, wiecznym stanem życia. Jagoda ma kompleksy i nikt jej z tego nie wyleczy. Sama musi dojść do swej radości, jak ja do niej wróciłem. I ja byłem kiedyś obrażony na życie. Wycofałem się, chciałem być obserwatorem, świadkiem, chciałem, by mnie zwyczajnie mijało i wtedy poznałem jego prawdziwe tętno. Wszystko jest w porządku i z tego miejsca zacznie się nasz dramat – myślałem o Krystynie i o sobie.

O godzinie dwunastej przestali grać.

Wracaliśmy po rozmokłym ugorze, na przełaj aż do domku Krystyny i, podobnie jak wczoraj rano, przystanęliśmy pod drzwiami.

– Idź do domu – powiedziała Krystyna, odsuwając mnie delikatnie. – Idź do domu, jestem podpita. Ja nie chcę, kiedy jestem podpita. Zrozum mnie i idź do domu. Zobaczymy się jutro i pojutrze, ja nie wyjeżdżam, ale teraz idź do domu.

Szkoda, że nie ma Pawła – myślałem, wracając. Gdyby był Paweł, otaklowalibyśmy „Zefira”, bo noc jest pełna dobrego wiatru. A może nie wypłynęlibyśmy. Raczej nie. Wśród takiej nocy, po wypiciu wódki można na wodzie popełnić jeden wielki błąd, po którym już się nie wraca. Szkoda życia dla popełniania takich błędów. Wiatr raczej zdechnie i jutro będzie dobry dzień do pływania. Pawła nie ma. Jutro wypłynę z Krystyną. Powiedziała jednak, że zostaje. To dobrze, że zostaje, lepiej nie można. Powiedziała, że nie chce, kiedy jest podpita: widocznie taka jest jej racja lub obrona.

X

Obudził mnie helikopter. Wojskowa maszyna krążyła nad jeziorem i kempingiem. Zwlokłem się z łóżka. Za oknem świat był pogodny, wietrzny i rześki. Przez chwilę stałem przy oknie, z przyjemnością wpatrując się w ożywioną deszczem, jaskrawie czystą zieleń na ugorze, po której szedł inżynier. Wraca – pomyślałem – znów wraca sam, czyli jeszcze czeka, jeszcze wierzy w jej przyjazd, ale to nie jest najważniejsze. Przyjechałem tutaj, by pobyć przez kilkanaście dni z daleka od miasta.

Uciekłem od kamieni, tynków, asfaltów, dusznych mieszkań i uwięzionej w wodociągach wody. Żadna burza nie jest w stanie obmyć miejskiego świata, żadna ulica nie jest do obmycia przez żaden deszcz. Każdy deszcz przynosi błoto, błoto rozdeptywane równo na chodnikach, błoto wycierane butami z betonów. Tam deszcz może odkryć tylko twardą szarość kamieni. Tutaj woda jest swobodna, naturalnie zielona i ciężka. Tutaj deszcz myje trawę i po burzy przynosi pogodną radość, jaką wdychałem do płuc. Zdawało mi się, że jestem z tym światem złączony i oddycham jego oddechem.

Helikopter okrążył jeszcze raz obozowisko i odleciał nad północny las, w tę stronę, gdzie chodziliśmy zbierać susz, a inżynier powoli mijał namioty, zbliżając się do naszego segmentu. Ale nie wszedł na ścieżkę. Zatrzymał się przy samochodzie. Przez chwilę stał, jakby bezmyślnie oparty o maskę wozu, po czym otworzył drzwiczki, wszedł do wnętrza i zapalił motor. Chyba ma dosyć czekania – pomyślałem – i chce wyjechać. Ma na pewno rację, bo jak długo można czekać. Zaczyna się trzeci dzień jego życia zgodnie zharmonizowanego z rozkładem jazdy autobusów. Dla niej szukał cichych zatok, dla niej pływał do źródła, dla niej chodził po kempingu

w garniturze, narażając się na uszczypliwe uwagi, dla niej wreszcie wzbudził powszechne zainteresowanie swoim oczekiwaniem.

Maszyna pracowała równym szelestem, wyrzucając z rury wydechowej niebieską strużkę spalin, która niknęła na wilgotnym ugorze. Obmytej ziemi nic nie mogło zaszkodzić. Mogła na nią przychać spalinami kilkanaście samochodów i pozostałaby zielono-świeża. Inżynier przez chwilę posiedział za kierownicą i, jak mi się zdawało, patrzył na mnie. Cofnąłem się w głąb domku. Musiał na mnie podzielać wypity wczoraj alkohol, gdyż po pierwszym olśnieniu porankiem opanowała mnie apatia i położyłem do na łóżku. Wiedziałem, że powinienem wstać, chodzić, może uzbroić „Zefira” i popłynąć na ożywionej wiatrem tafli jeziora, ale leżałem jak bryła dosychającej gliny. Woda – myślałem – woda mnie może orzeźwić. Trzeba zmyć z siebie skutki wczorajszego picia i przedwczesnego rozbudzenia. Tylko woda jest najlepszym środkiem na wszelkie dolegliwości. Inżynier nie zna tej prawdy. Był trochę buńczuczny pierwszego dnia, w drugim dniu jeszcze pewny siebie, ale co myśli dzisiaj?

Kiedy tak myślałem, trochę apatycznie i półsennie, z granicy snu i jawy wyrwało mnie pukanie do drzwi. Usiadłem na łóżku. Wszedł inżynier.

– Widziałem, że pan nie śpi i przyszedłem. Czy nie przeszkadzam?

– Nie przeszkadza mi pan. Właśnie myślałem, czy nie wypłynąć, ale na samotny rejs jest trochę za duży wiatr.

– Jest dość duży, większy niż w poniedziałek.

– Większy. Pan też rano wstaje.

– Przyzwyczailem się. Do pracy chodzę rano, jak każdy – i przyzwyczailem się. Chciałem z panem pogadać – skinąłem głową. – Przyszedłem do pana jako do fachowca – znów skinąłem głową, by nie zniechęcać go do mówienia, chociaż nie wiedziałem, o jaką fachowość chodzi. – Pan zajmuje się różnymi powikłanymi sprawami ludzi, pisze pan scenariusze do filmów, pan musi się na tym znać – zawahał się chwilę, jakby nagle coś zatamowało mu mowę. Na twarzy malował się wyraz skupienia, namysłu, a może zakłopotania. Pochylony do przodu, z rękami opartymi na kola-

nach, nieco zżółkły na twarzy, robił wrażenie figury woskowej, figury zapatrzonego w odległe mędrca, który kłopotczy się niemożnością wytłumaczenia dobrze znanego mu zjawiska. Wydawał się być zgnębiony i żaloszny. – Przecież znam życie, mam już trzydzieści jeden lat, studia, obserwuję ten świat – potarł dłonią czoło, jakby chciał zdjąć z myśli przysłaniającą je zasłonę. – Nauczyłem się czegoś, ale tego nie mogę zrozumieć – włożył rękę do kieszeni i jak rozpoznałem metaliczny chrzęst, bawił się bilonem. – Pan wie, że czekam na dziewczynę.

– Wiem, mówił mi pan.

– Właśnie o to chodzi. To jest porządna dziewczyna, gdyby była inna, bym nie czekał. Umówiliśmy się i nie przyjeżdża. Dlaczego nie przyjeżdża? Przychodzę do pana jako do fachowca. Do mnie przychodzą, żebym zrobił projekt. Do adwokata, żeby poradził w sprawie prawnej. Do księdza chodzą, żeby podtrzymał ich na duchu. Do wróżki po wróżbę. Każdy pracuje w swojej specjalności. Do pana przychodzę spytać, dlaczego ona nie przyjeżdża?

– Nie wiem, czy będę mógł panu takiej porady udzielić.

– Dlaczego? Przecież to pana zawód.

Wyciągnął z kieszeni rękę pełną bilonu i wysypał monety na stolik. Jedna z nich, pięćdziesięciogroszówka, spadła na podłogę. Podjął krążek i położył go na stole. Ogarnęło mnie przykre uczucie, gdyż zrozumiałem, że człowiek ten chce mi zapłacić za trafną odpowiedź. Ale trwało to tylko ułamek sekundy. Chce mi płacić, daje mi do zrozumienia, że zapłaci i postępuje zgodnie z własnym rozumieniem świata. Jest konsekwentny, bardzo prawdziwie konsekwentny – pomyślałem.

– Piszę, ale nie udzielam porad.

– Jeśli pan pisze, to pan musi wiedzieć.

– Oczywiście.

– Jak pan wie, to chyba pan może powiedzieć, Chyba, że pan wszystko zmyśla.

– Może być wiele przyczyn takiego postępowania. Nie znam szczegółów.

– Rozumiem, musi pan mieć dane.

– Oczywiście.

– Rozumiem, bez danych nie ma żadnego obliczenia. Dane muszą być. Ja panu wszystko powiem.

– Jeśli koniecznie chce mi pan powiedzieć, to proszę bardzo – powiedziałem tonem nie zachęcającym do mówienia i żeby jeszcze bardziej zaakcentować niechęć do słuchania, położyłem się na łóżku.

– Obaj wiemy, że mam nie byle jakie stanowisko w województwie. Obaj wiemy, że mam własny samochód. Obaj wiemy, że dobrze zarabiam. Nie jestem więc gorszy od innych, a nawet lepszy, a mimo to nie przyjechała. I co pan na to?

– Nic.

– Dlaczego nic? Czy ja te rzeczy ukradłem?

– To może nie mieć decydującego znaczenia.

– Dlaczego w tym wypadku ma nie mieć znaczenia, jak w każdym innym ma znaczenie?

– Kobiety inaczej przeżywają.

– Wiem o tym i chciałem jej zorganizować przeżycia.

– Ona dobrze pana zna?

– Znamy się przeszło pół roku. Całą zimę i wiosnę mówiliśmy o tym, że wyjedziemy nad jezioro. Mówiła o zatokach, wyspach; specjalnie przyjechałem wcześniej, żeby wszystko zobaczyć i przygotować.

– Chciała jechać razem z panem?

– Chciała, ale jej wytłumaczyłem, że tak będzie lepiej.

– I zgodziła się?

– Zgodziła.

– Istnieje jeszcze taki drobiazg jak uczucie.

– Myśli pan, że nie dawałem jej uczucia?

– Rozumiem.

Mówił raz z niechęcią, to znów z determinacją w głosie.

Poczułem coś w rodzaju litości do tego człowieka, który chciał wszystko obliczyć, wykalkulować. Podniosłem się z myślą, że postaram mu się może cokolwiek wytłumaczyć i zobaczyłem, że garść bilonu ustawiona jest na stole w słupki: pięciozłotówki, dwuzłotówki, złotówki, dwudziestki i na końcu szeregu jedna pięciogroszówka

świeciła nikłym blaskiem metalu. Patrzyłem na te pieniądze chyba z dość głupawym wyrazem twarzy, gdyż inżynier, uchwyciwszy moje spojrzenie, poinformował mnie:

– Czekając tutaj na nią, przez trzy dni, wydałem sześćset osiemdziesiąt dziewięć złotych i czterdzieści pięć groszy. Wliczając w to opłatę za domek na dwie osoby. To chyba nie jest mało?

– Nie jest mało – powiedziałem oszołomiony dokładnością rachunku do pięciu groszy, co zrozumie każdy, kto zna tylko rachunkową wartość znikomej monety. – Dokładnie pan liczy – dodałem po chwili.

– Dziś trzeba to umieć. Nauczyłem się oszczędzać i ona o tym wie.

I nagle, chyba pod wpływem myśli wygrzebanej z najgłębszych rejonów człowieczej ironii, powiedziałem:

– A może to przyczyna fizjologiczna?

– Nie rozumiem.

– Wie pan przecież, że kobiety okresowo chorują. Może ona zachorowała i chce przeczekać ten okres.

– Nie pomyślałem o tym.

– Większość kobiet wstydzi się tego. Uważają się wtedy za istoty słabe, ułomne, a ponieważ każdy człowiek wstydzi się swojej słabości, może i ona czeka.

– To może być.

– Oboje czekacie i oboje się denerwujecie.

– Ale dlaczego nie przyśle telegramu.

– Co ma panu powiedzieć? Że jest chora? Przecież nie napisze w telegramie, na co jest chora. Nie ma kobiety, która by nadała telegram takiej treści.

– Ma pan rację. Żadna nie nada takiego telegramu. Dobrze, że do pana przyszedłem. Pan się jednak na tym zna. Ale dlaczego ja na tę myśl nie wpadłem.

– Nie pomyślał pan o wstydzie.

– Ma pan rację, nie pomyślałem o wstydzie. Ma pan rację, ona przeczeka te trzy dni i przyjedzie.

– Musi pan to zrozumieć – brnąłem dalej. – Tutaj plaża, trzeba się kąpać, rozbierać – mieliście zajmować jeden domek.

Patrzyłem na niego i widziałem, jak twarz mu się zmieniła, jak wróciła znana u niego pewność siebie i żarliwa wiara, że czekanie nie było zwykłym wyglupianiem się, co chyba odczuwał jako ciężką porażkę. W pierwszej chwili, kiedy wymyśliłem tę fizjologiczną przyczynę nieobecności kobiety, chciałem z niego zażartować, zapłacić mu okrutnym żartem za ściśle rachowanie, ale gdy zobaczyłem, że tłumaczenie przyjął z entuzjazmem, karmiłem go fałszem z litości. Niech ma złudzenie – myślałem – niech czeka jeszcze dwa, trzy dni, niech i ja się omylę, niech nie będzie w swej pomyłce samotny.

– Muszę się panu przyznać, że miałem zamiar wyjechać. Teraz jeszcze trochę poczekam. Dziś albo jutro powinna przyjechać.

– Z tym, że na przystanek pan nie musi wychodzić. Jeśli przyjedzie, znajdzie pana.

– Uważa pan?

– Tak uważam. Podpowiem panu coś. Radzę panu popływać ze mną jachtem: po pierwsze dlatego, że woda wyciąga wszelkie troski, a po drugie trochę nauczę pana sterować. Będzie pan mógł jej pokazać, że nie stracił pan czasu.

– Ma pan rację. Popłyniemy. Muszę zresztą powiedzieć, że po pierwszym pływaniu miałem ochotę na dalsze rejsy. Spodobało mi się.

– Tym bardziej.

– Kiedy popłyniemy?

– Zaraz.

– Bez śniadania?

– Najlepiej pływa się bez śniadania. Czy widzi pan, jaka piękna bryza? Słońce, wiatr, prawdziwa żeglarska pogoda.

– Pójdę się przebrać.

– Oczywiście, musi się pan przebrać, w garniturze niedobrze się pływa. Musi pan ubrać coś luźnego i ciepłego.

– Założę dres.

– Dres jest bardzo dobrym ubraniem na jacht.

Wy tłumaczyłem mu – myślałem, kiedy poszedł. – Uwierzył, bo chciał uwierzyć i to jest psychologiczna przyczyna. Ale uwierzył i dlatego, że przyczyna jej nieobecności okazała się fizjologiczna,

czyli bliższa ścisłemu rozumowaniu. Niech dalej czeka. Bo już tak jest, że ktoś przyjeżdża, ktoś odjeżdża, ktoś czeka i na kogoś czeka. Ktoś kradnie, ktoś tropi, ktoś drwi i z kogoś drwią. Tak już jest i to jest normalne. A my wypłyniemy na dobrą wodę, gdzie będzie kąpiel z wiatru i kipiący za nami kilwater. Może zrozumie wodę, może ją nawet pokocha i wtedy kłamstwo moje nie będzie złym kłamstwem, a ironia przestanie być ironią.



*Maria Morawska honoruje Danutę Lubińską,
obok Zdzisław Morawski, 1965 r.*

XI

Na przystani spotkaliśmy prokuratora.

– Dziś nie na rybkach – powiedziałem.

– Ostatnio słabo biorą. Duża fala i trochę chłodno. Ryba lubi ciepłą wodę.

– Rano pan wstał.

– Może bym trochę pospał, ale helikopter mnie obudził. Zachciało mu się krążenia nad kempingiem. Pan wypływa?

– Dobry wiatr, chcę wykorzystać.

– Czasem patrzę, jak pływacie i zdaje mi się, że za chwilę będziecie leżeć.

– Z boku to tak wygląda. Pan jeszcze nigdy nie pływał.

– Nigdy. Brzuszyśko ma się grubawe, a dawniej nie było okazji. Teraz uprawiam inne sporty, odpowiednie do mojej tuszy: rybki, brydzyk, od czasu do czasu jaką wódkę w dobrej kompanii.

Prokurator klepał się po brzuchu. Mówił pogodnie, z lekką autoironią, robił aluzje do swego wyglądu zewnętrznego i śmiał się, prowokując nas do śmiechu. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie kucharza lub restauratora. Widywałem go dość często na kempingu nie tylko wtedy, gdy rano wypływał na ryby. Najczęściej chodził po ugorze z trzynastoletnią dziewczynką, która też była grubawa i piegowata.

– Moja córka – mówił prokurator – nazywa mnie koszmarnym grubasiskiem – śmiał się. – I widzi pan, do czego doszło, własne dziecko człowiekowi wymyśla.

– Pan gra w brydża? – zainteresował się inżynier.

– Gram i lubię tę grę. Wczoraj po dancingu jeszcze rozegraliśmy kilka rozdań. Pan też gra?

– Gram, nawet gram w drużynie brydża sportowego.
– Dobrze wiedzieć, przy okazji poprosimy pana na partyjkę.
– Trzeba się odprężyć. Gdyby nie te małe rozrywki, człowiek od paragrafów i złodziei kręćka by dostał.

– Dużo ma pan pracy.
– Drobiazgi. Chuligaństwo, manka, ale jest tego trochę.
– Przyznam się, że nie wygląda pan na prokuratora.
– Na kucharza. Wiem, wszyscy mi to mówią – śmiał się – ale nic nie poradzę. Jak się chce dobrze zjeść, to i maciek rośnie. Najbardziej lubię ryby.

– Może pan z nami popłynie, pogadamy.
– Nie będę przeszkadzał.
– Oczywiście, że nie.
– Popłynę. Moja mała jeszcze śpi, możemy popłynąć.

W czasie tej rozmowy taklowaliśmy „Zefira”. Inżynier tym razem starał się mi pomagać. Postawiliśmy żagle i jacht powoli odsunął się od pomostu.

– Słyszałem, że panowie rozpoczynacie kurs dla żeglarzy.
– Tak. Kurs pływania dla przeszkolonych na zimowym kursie teoretycznym. Pana to interesuje?

– Mnie tyle o ile, ale moja Grażynka ciągle się dopomina, że bym z panem porozmawiał – ma dziewczyna ochotę pływać.

– Kurs będzie dla nieco starszych chłopców, ale takie jak ona też już pływają.

– Ile razy zobaczy żagle na wodzie, tyle razy prosi, że bym porozmawiał z tym panem od żaglówki. Zapaliła się.

– Najbardziej lubimy zapaleńców.

„Zefir” dzielnie pruł fale na kursie baksztąg. Inżynier, już trochę przyuczony do obsługi fokżagła, pracował szotem, siedząc na nawietrznej burcie, a prokurator złożył swoje ciężkie ciało na podłodze tuż przy skrzyni mieczowej.

Po jeziorze od czasu do czasu przelatywały silniejsze podmuchy. Widać je było z daleka, jak podlatywały do nas drobniutkimi zmarszczkami fal na normalnych falach, jakby miejsca te nawiedziła sina febra. Sygnalizowałem pasażerom ich nadejście. Przygo-



Czekanie na wiatr, 1965 r.

towani na przyjęcie szkwału, przechylaliśmy się na nawietrzną, by balastem zredukować przechył jachtu.

– Miłe to – mówił prokurator. – Woda, cisza, spokój. Można pięknie wypocząć.

Zdawało mi się jednak, że słowa jego cechowała tylko uprzejmość, gdyż kręcił się na twardej podłodze. Pozycja, w jakiej siedział, nie była wygodna. Na małych jachtach nie ma dobrych miejsc dla turystów: nie ma kabin, krzeseł, łóżek, nie ma miejsca na wygodę. Gdyby pasażer był człowiekiem mniej więcej normalnej postury lub jeszcze lepiej smukłym szczawikiem – jak nazywaliśmy naszych chłopców – mógłby znaleźć bardziej dogodną pozycję, ale jego nieprzeciętna grubość musiała być wtłoczona pomiędzy burzę a skrzynkę mieczową. Siedział więc jak w ciasnym pudełku. Chciał patrzeć na nas i chciał widzieć, co dzieje się na kursie, chciał odwracać się, ale gruby kark i niezwrrotny korpus ograniczały mu swobodę ruchów.

– Spokojnie, cicho, miło, ale dla młodych – mówił. – Dla takich zetemesowców jak ja, to już tylko brydzyk.

– Nie jest pan stary – powiedziałem.

– Czterdzieści. A czterdziestka to już wiek, kiedy niepielegnowane zęby zaczynają się sypać – rozeźmiał się – kiedy zaczyna czuć się serce, wątrobę. Przedtem nie czuło się, że są, a teraz się czuje.

– Choruje pan?

– Nie choruję jeszcze, ale już czuję, że mam serce. Trzeba zapomnieć, że się było młokosem. Już nie ten wiek.

– Ale miło czasem zapomnieć.

– Pewno, że miło, lecz w naszym wieku już nie szuka się przyjemności: dzieci, obowiązki, powaga: na każdy ruch uważaj, na każdy gest uważaj, uśmiechaj się tylko do tego, do którego trzeba się uśmiechać. Jak za przeproszeniem gówniarz wybije kamieniem szybę, to powiadamy, że chłopięcy wybryk i jest wszystko w porządku, jemu wolno, a jak podrostek zrobi to samo, nazywamy go chuliganem. Im dalej, tym srożej. Człowiek, jak się czasem wygłupi, to ma się takiego kaca, jak stąd do Tokio.

– Dlatego pływam na jachtach – powiedziałem.

– A ja gram w brydża – odparł.

Inżynier nie brał udziału w rozmowie. Pilnował szotów i zdało się, że zajęciem tym jest całkowicie pochłonięty. Zgodnie z instrukcjami, jakie mu dałem, nieustannie manewrował liną, luzując ją lub wybierając, i wychylony za burtę uważnie obserwował pracę foka. Z obozu harcerskiego odezwał się sygnał pobudki. Byliśmy niedaleko od brzegu i widzieliśmy, jak dziesiątki młodych ludzi wyroiły się przed namioty. Dwóch chłopców wbiegło na kładkę wysuniętą w jezioro. Bryznięła w górę fontanna kropel. Za nimi wszedł na kładkę instruktor i gwizdkiem wzywał ich do powrotu, ale chłopcy baraszkowali w wodzie, jakby w ogóle nie słyszeli sygnałów.

– Widzi pan gałganów – mówił prokurator. – Skoczy, popłynie, bo mu się chce, a jak utopi się, będzie bieda.

– Mieli ochotę popływać.

– Czasem człowiek ma ochotę się wygłupiać. Moja dziewczucha też bywa z piekła rodem. Nie mogę powiedzieć, dobre dziecko, ale czasem pieczonej wszy nie jest warta.

– Może wrodziła się w tatę.

– Co pan mówi, we mnie? No tak, aniołem człowiek nie był, to prawda.

Minę miał poważną, ale z tą szczególną powagą, której wyrazem jest ukryta pod maską obojętności radość. Nawet chrząknął.

– A pan nic nie mówi – zwrócił się do inżyniera.

– Słucham i staram się poznać tajemnicę dobrej roboty przy foku.

– Widzę, że pana to zajmuje.

– To jest dosyć ciekawe.

Zza wyspy wracaliśmy kursem na wiatr. „Zefir” przechylił się na nawietrzną i w tym skośnym ukłonie od wiatru rozbijał idące na nas fale. Woda bryzgała fontannami na szotmena, a pojedyncze krople pryskały na prokuratora. Inżynier krzywił się przy każdej porcji wody, poprawiał się: woda podmywała mu spodnie i wąskim strumieniem dolatywała aż do mnie.

– Żeglarski chrzest – powiedziałem do inżyniera.

– Rozumiem.

– Czy pryska jeszcze mocniej? – spytał prokurator.

– Czasem mocniej, jakby ktoś wiadrami polewał.

– Można się przeziębic – zauważył poważnie.

– Kto się boi wody, nie może być żeglarzem.

Kiedy byliśmy na wysokości pomostu tuczarni, gdzie miała być baza naszego kursu, na stojący tam maszt wciągnięto zestaw flag kodu, który wzywał nas do natychmiastowego tam przybycia. Chłopcy – pomyślałem – już przyjechali. I było mi bardzo przyjemnie, że właśnie w ten sposób nas wzywali. Nie gardłowym sygnałem, nie zwykłym nawoływaniem, a za pomocą umiejętności, które przekazywał im Zenon, nasz specjalista od prawa drogi. Wywieszonym na maszcie zestawem powiedzieli nie tylko, że proszą o przybycie, ale zasygnalizowali, że są i potrafią posłużyć się kodem. Chwalili się, to było niewątpliwe, ale chwalili Zenona, Pawła, Kaziaka i nas wszystkich, chwalili nasz trud zimowy.

– Proszą nas do pomostu tuczarni – powiedziałem.

– Tymi chorągiewkami? – spytał prokurator, podnosząc się nieco.

– Tymi chorągiewkami – powiedziałem.

Szliśmy teraz jeszcze ostrzej na wiatr. Chciałem dojść do pomostu jednym halsem i żeby nie tracić wysokości, musiałem nieustannie powtarzać manewr ostrzenia i odpadania. „Zefir” skłaniał się od wiatru, sunął w przechyle, wybrane do granic możliwości żagle zdawały się dawać mały, prawie żaden opór dla wiatru, to znów prostował się, jakby chciał przyjąć łopot, lecz mały ruch sterem kontrolował jego skrętne chęci. Kiedy jacht chylił się tak, że prawie burtami ocierał linię wody, prokurator niespokojnie zerkał na kipiącą topiel i zaciskał zęby.

– Niech pan usiądzie na burtę – powiedziałem. – Tutaj, pomiędzy nami.

Dźwignął się ciężko, ale z ochotą. „Zefir” wyszedł z przechyłu. Ciężar kilkuset kilogramów zredukował parcie na żagle. Spojrzałem na pomost, gdzie stali chłopcy, świadkowie moich manewrów, dla oczu których prowadziłem łódź jednym halsem, by zobaczyli, jak się to robi. Pamiętam dobrze moje zdziwienie, gdy po raz pierwszy pokazano mi, jak z wprost beznadziejnej pozycji można wyprowadzić łódź i okrążyć przeszkodę bez zmiany kursu. Zajęty lawirowaniem, w pierwszej chwili nie zauważyłem, że zestaw flag kodu się zmienił. Teraz sygnalizowano niebezpieczeństwo na mojej jednostce. Taka zabawa nie jest dozwolona. Wezwali mnie i to było w porządku, ale sygnalizowanie niebezpieczeństwa nie jest w porządku. W pierwszej chwili zdawało mi się, że źle odczytałem informacje, ale flagi nie kłamały. Spojrzałem na kurs – nie było żadnej przeszkody! Rozejrzałem się po osprzęcie – żagle pracowały prawidłowo! Wychyliłem się daleko za burtę i zobaczyłem – cuma dziobowa spadła na zawietrzną. Oczywiście, to nie było niebezpieczeństwem, ale pewną niedokładnością, którą chłopcy z pomostu zauważyli.

– Niech pan potrzyma szoty foka, panie prokuratorze – powiedziałem – a pan wejdzie na dziób i wybierze cumę. Cumę włączemy za sobą.

Popisali się umiejętnością sygnalizacji i wytknęli mi drobną niedokładność – pomyślałem – i to jest dobrze, tak zawsze powinni czynić, ale z niebezpieczeństwem przesadzili. Niebezpieczeństwa nie było. Najmniejszego.



Kiedy cuma była już na pokładzie, znów zmienili sygnał kodu na – „Życzymy wam szczęśliwej drogi”. Ale nie sprowadziłem „Zefira” z kursu i w dalszym ciągu, tymi samymi manewrami, lawirowałem do pomostu. Wyraźnieli z każdą chwilą. Brzeg wyrastał w górę, postaci robiły się większe, jakbym zbliżał do nich kamerę, obraz powiększał się i ostrzył.

– Ale z tym niebezpieczeństwem przesadziliście – powiedziałem, kiedy „Zefir” uwięziony na cumie kołysał się i trzepotał żaglami.

– Trochę przesadziliśmy, ale nie mogliśmy sobie nic innego przypomnieć – powiedział z uśmiechem najwyższy z nich, Irek.

– Czyj był to pomysł?

– My wszyscy, ale Zbyszek pierwszy podpowiadał.

– Wszyscy już przyjechali?

– Pięciu przyjedzie pekaesem, a dwóch z doktorem Barnasiem.

– Panie komandorze, czy to prawda, że w sobotę rano wychodzimy w rejs?

– W rzeczy samej – powiedziałem.

Roześmiali się chóralnym śmiechem, jaki może tylko wydobyć się z tak młodych piersi, śmiechem nieskrępowanej niczym radości,

dobrym śmiechem młodych żeglarzy, że usłyszeli radosną nowinę i że potwierdziłem ją zdaniem, na jakie być może czekali, jakie być może sprowokowali. Nie było w tym śmiechu nic fałszywego, czysta radość młodego życia, które jeszcze nie poznało trosk ludzi dorosłych, brzmiała naturalnym dźwiękiem. Śmiałem się razem z nimi.

– Dranie, podsłuchaliście mnie – powiedziałem.

– Tak jest, podsłuchaliśmy, panie komandorze.

– W porządku. Zakwaterujcie się, a jak przyjedzie doktor Bar-naś, dajcie mi znać.

– Jest, dać znać – powiedział Zbyszek, chłopiec zdolny, wesoły, lecz trochę pozujący na marynarza.

– Pan Paweł będzie? – spytał Irek, kiedy wchodzili na „Zefira”.

– Będzie pierwszym oficerem naszego rejsu, a bosmanem pan Kazik.

– Srogi – powiedział Zbyszek.

– Srogi – zgodziłem się, kiedy jacht odchodził od pomostu.

Żegnały nas cztery barwne flagi na maszcie. Łopotały biało-czerwonymi paskami, biało-czerwoną szachownicą, biało-niebieskim prostokątem, chwaliły umiejętności sygnalizacyjne chłopców i ich niekłamana radość, która była i moją radością.

– Co znaczą te flagi? – spytał inżynier, gdy trochę się oddaliliśmy.

– Życzą nam dobrej drogi.

– Szyfr – powiedział prokurator.

– Szyfr – powtórzyłem. – Najmilszy szyfr wody.

– To mi się zaczyna podobać – powiedział inżynier, patrząc na mnie, ale powiedział to chyba dlatego, by uprzejmością zapłacić za poranną radę.

Nie szkodzi – myślałem – nic nie szkodzi.

XII

– Nie mówmy o tym – Krystyna przykryła mi dłonią usta – nie mówmy. Nie chcę dzisiaj pamiętać o niczym, co było, chcę tylko wiedzieć, że jestem tutaj i jest mi dobrze – mówiła, kiedy leżeliśmy obok siebie na małej polance położonej między kempingiem a ośrodkiem letniego wypoczynku Zakładów Tuczu.

– Rozumiem, nie chcesz pamiętać – powiedziałem.

– Nie chcę pamiętać, bo nie jest dobrze pamiętać.

– A o nas możemy mówić?

– O nas możemy, my dzisiaj należymy do siebie i możemy mówić, ile nam się podoba.

– Od pierwszej chwili zrobiłaś na mnie duże wrażenie. Czulaś to?

– Czulałam. To było na pomoście?

– Na pomoście, kiedy twój chłopiec podszedł do „Zefira” i patrzył, jakby zobaczył najpiękniejsze dziwadło. Zaprosiłem go na jacht, a ty podeszłaś i powiedziałaś, żeby mi nie przeszkadzał.

– Miałaś na głowie czapczkę z niebieskiej włóczki. Kto ci zrobił tę czapczkę?

– Mieliśmy nie wywoływać duchów.

– Wiem, ale jestem ciekawa. To kobieta?

– Kobieta.

– Nie jest ładna twoja czapczka; kolory się gryzą, nie można tak zestawiać kolorów.

– Zrobisz mi ładniejszą.

– Nie wiem, czy ci zrobię, ale ta nie jest najładniejsza.

– Nie będę jej nosił.

– Możesz nosić, bo jest ci potrzebna. Z daleka wyglądasz w niej dobrze, ale z bliska gorzej. Kiedy jesteś ze mną, wołam cię z gołą gło-

wą. Masz wysokie czoło i głęboko osadzone oczy – wodziła palcem po czole i znaczyła oczodoły. – Kiedy wychodzicie w rejs?

- W sobotę.
- Środa, czwartek, piątek. Mamy dla siebie trzy dni.
- Dlaczego tylko trzy dni?
- W sobotę wypływacie.
- Możesz z nami popłynąć.
- Mówisz, że mogę.
- Oczywiście. Mianujemy się kokiem.
- Wolę być stewardessą.
- Dobrze, będziesz stewardessą.
- I będę podawała panom oficerom jedzonko.
- Najlepsze jedzonko z najmiłszych rąk.
- Miłe mam ręce?
- Najmiłsze na całym kempingu.
- Tylko na kempingu.
- W całej okolicy.
- Mało.
- W całej okolicy mojej twarzy i moich ust.
- Jeżeli tak, to masz je obie – położyła obie ręce na mojej twarzy.
- Mają twój zapach.
- I trochę twego.
- Za mało. Muszę mieć więcej mego zapachu.
- Chcesz, żeby pachniały tobą?
- Chcę.
- To dobrze, bo i ja chcę.
- Dlaczego wczoraj nie chciałaś?
- Mówiłam ci, byłam podpita i nie chciałam, żeby między nami w takim stanie coś było. Jestem taka głupia, że chcę, by zawsze wszystko zaczynało się na nowo. I żeby być przy tym trzeźwa.
- A teraz gdybyśmy wypili, odpychałabyś mnie?
- Teraz bym nie odpychała, ale wolę, żebyśmy byli zawsze trzeźwi.
- Dobrze wolisz.
- Wiem, że dobrze, ale wczoraj tak nie myślałaś.
- Masz rację.

– Ale nie wiesz, że dzisiaj u ciebie byłam.

– Nie wiem.

– Byłam rano, ale ciebie nie było.

– Płynąłem z inżynierem.

– Gdy wracałam, czułam się jak okradziona.

– Dlaczego?

– Dlatego że ciebie nie było, a ja już wczoraj wieczorem postanowiłam do ciebie rano przyjść. Bo wczoraj bardzo ciebie pragnęłam, ale byłam pijana.

– Krystyna.

– Jestem przy tobie.

– Uśmiechnij się do mnie.

– Ty lepiej się uśmiechasz.

– Jak się uśmiecham?

– Nie śmiejesz się prawie nigdy, ale ciągle się uśmiechasz. Uśmiechasz się tak, jakbyś miał do ludzi wielką miłość, ale jakby ta miłość była skaleczona. Masz uśmiech dobry, ale bolesny. Powiedz, że kochasz życie, ludzi, powiedz, czy mam rację?

– Masz rację.

– Ludzi kochasz, a mnie?

– Dlaczego pytasz?

– Bo mi tego nie powiedziałaś.

– Chcesz wiedzieć.

– Chcę.

– Nie wiem, czy cię Kocham. Przykro mi z tego powodu.

– Chociaż mnie byś nie kochał, po tym, co się stało, mógłbyś powiedzieć, że mnie kochasz.

– Czuję, że cię Kocham. Mam w sobie coś takiego, co mi mówi, że cię kocham najwięcej, ale boję się tego słowa. To jest najpo-



*Jeszcze raz Zdzisław Morawski
z Bardem, 1972 r.*

wszeczniesze słowo w Polsce, może nawet na świecie. Za tym słowem najczęściej nie ma miłości.

– Tylko dlatego mi nie mówisz?

– Tylko dlatego.

– Jeżeli tylko dlatego, to nie mów. Trzy dni to mało.

– Bardzo mało.

– Ale to będą nasze dni. Powiem ci coś, ale nie będziesz się ze mnie śmiał?

– Nie będę się śmiał.

– W nocy będę do ciebie przychodzić.

– Będę na ciebie czekał.

– Tak sobie wymyśliłam, że będę przychodzić do ciebie, bo ty do mnie nie możesz przychodzić.

– Dobrze wymyśliłaś.

– I tylko w nocy, bo w dzień będziesz zajęty kursem, a ja też będę zajęta.

– Ale trochę czasu znajdziemy dla siebie i w dzień.

– Trochę znajdziemy, ale nie tak jak dzisiaj.

– Dziś też nie mamy wiele czasu.

– Mało mamy czasu, ale nigdy nie mów do mnie, że mamy mało czasu. Nigdy nie mów.

– Mówiłaś mi o tym, zapomniałem.

– Wiem, że zapomniałeś, bo dla ciebie to nie ma znaczenia. Nie chcę o niczym pamiętać, o niczym sobie przypominać, chcę być z tobą i czuć się szczęśliwa bez przeszłości i bez przyszłości.

– Dobrze, Krystyno, nie będę o tym mówił.

– Wiesz, o czym w ostatnich dniach myślałam?

– Nie wiem, ale mi powiesz.

– Skąd wiesz, że ci powiem?

– Bo chcesz mi powiedzieć.

– Masz rację, chcę ci powiedzieć. Taka się zrobiłam przy tobie gadatliwa, że niedługo będziesz o mnie wszystko wiedział. Ale ci powiem; cały czas myślałam, dlaczego nie spotkałam cię trochę wcześniej.

– Ale spotkaliśmy się.



Zaraz ruszamy w rejs, 1965 r.

– Późno. Nie mówmy o tym, bo się rozbeczę. Głupia jestem, przyszliśmy tutaj cieszyć się sobą, a ja mówię o płaczu.

– Prędzej czy później trzeba będzie o tych sprawach porozmawiać.

– Dobrze, jak chcesz, ale dzisiaj nie; dzisiaj nie chcę o niczym myśleć. Później zrobisz, jak zechcesz. Dzisiaj tylko bądź ze mną blisko, najbliżej jak można. O, jaka ja jestem amoralna i bezwstydną, ale to ty jesteś winien, ty, ty, ty, najpodlejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek znałam. Chodź do mnie, podlecu, chodź, chodź, chodź prędzej. Widzisz, coś ty ze mną zrobił, ale to nic, to nic, jestem amoralna i tego od ciebie chciałam – tarł mi włosy.

– Nie wymyślaj sobie.

– Nie wymyślałam sobie, ja się cieszę i jestem trochę tobą pijana. Prawie taka pijana jak wczoraj wieczorem, ale lepiej – spojrzała na zegarek. – Już jest wpół do dwunastej. Oni zaraz wrócą.

– Musimy iść.

Wstała i ze śmiechem zatoczyła się do najbliższego drzewa jak prawdziwy pijak.

Gdy wróciliśmy na kemping, inżyniera z Romkiem jeszcze nie było.

XIII

Około godziny pierwszej przywieźli jachty.

– Mogłem przyjechać rano – mówił Paweł – ale pilnowałem załadunku. Pływałeś?

– Trochę rano pływałem. Część chłopców już jest. Zaraz powinni tutaj być. Kazałem im uważać i zaraz przyjść, jak tylko zobaczą jachty.

– Doskonale. Teraz dopiero będzie ruch. Będziemy mieć na wodzie kilkadziesiąt metrów szmat. Woda zakipi, stary.

Czekając na chłopców, zdejmowaliśmy z ciężarówek ruchome części osprzętu. Okręcone wantami i sztagami maszty nie miały w sobie nic ze strzelistej dumy. Złożone na pomoście urządzenia sterownicze robiły wrażenie bezładnie zwalonej kupy szmelcu. Tylko worki z napisami nazw jachtów były porządnie związane. Ustawione szeregiem, zdawały się żyć życiem bosmańskiej roboty.

– Idą twoi majtkowie – powiedziałem do Kazika, który jako prawdziwy bosman przyjechał ubrany w robocze drelichy, kiedy zobaczyłem nadchodzących kursantów.

– Siedem par rąk do roboty – szybko obliczył Kazik – zaraz rozpocznę z nimi trening. Ustawcie się w szeregu – powiedział, kiedy podeszli, a gdy chłopcy stanęli obok ciężarówki, zaczął oglądać ich ręce. – Ładne macie rączki, nie można powiedzieć, czyste, dobrze, że wymyliście ręce, bo jachty mogłyby się pobrudzić, ale widać, że te ręce dawno nic nie robiły. Delikatne macie rączka, wprost dziewicze. Najpierw zniesiemy „Szkwała”. Jacht to, jak wiecie, delikatny i trzeba delikatnie się z nim obchodzić. Pojęliście?

Wyładowanie kadłubów szło sprawnie, chociaż bosman nieustannie wyrażał swoje programowe niezadowolenie. Wszystko

według niego było robione byle jak, każdy ruch chłopców ślamarzarny. Dawał im przy pracy dość osobliwe nauki o społeczeństwie i stosunkach panujących w Polsce.

– Jak chcesz być demokratą, łamago, to idź do Ligi Kobiet, a nie do żeglarstwa – wołał. – I zapamiętaj sobie to raz na zawsze, że tutaj nie ma żadnej demokracji. W Polsce jest demokracja, ale nie w żeglarstwie. Tutaj nie ma żadnej demokracji. Tutaj jest komandor, oficerowie, ja bosman i wy ciemięgi z białymi rączkami. Komandor i oficerowie nie mają w ogóle rąk do roboty, ja mam dwa palce do pokazywania, co który ma zrobić, a tylko wasze ręce są do roboty. Nie słomiane wiechcie, a ręce.

Paweł mrugał do mnie. Byliśmy pogodni i zadowoleni. Mieliśmy nareszcie cztery jednostki, mieliśmy siedem par rąk, które trzeba było układać do żeglarskiej roboty, mieliśmy wodę, a nade wszystko chęć do pracy z młodzieżą. Uśmiechnęliśmy się do siebie, bo nawet wymyślenia bosmana miały u podstaw głęboką radość, jaka towarzyszyła nam przy żeglarskich zajęciach. Przyjechaliśmy tutaj po to, by brać tę naszą przygodę lata. Cały świat kempingowy: domki, w nich ludzie, wieczory spędzane przy ognisku i w „Chacie za wsią”, rozmowy z otoczeniem, były dodatkami z lądowego świata, który opuściliśmy. Cały sens naszego życia miał być przy żaglach, kadłubach, wodzie. Małe uszkodzenie jachtów, prawidłowe ich cumowanie, to były nasze wielkie troski, przy których bladły wszelkie kłopoty świata. Przyjechaliśmy tutaj, by myśleć o tym, czy będzie wiatr i jaki. Gdy byliśmy nad akwenem tylko we dwóch z jedną łodzią, nasze zaangażowanie było dorywcze, lecz teraz, kiedy oczy nasze cieszyły cztery maszty stawiane na jednostkach, wyrastała przed nami flotylla, którą musieliśmy otoczyć całą troską. Mieliśmy chłopców, którym powinniśmy przekazać całe doświadczenie, jak i nam kiedyś je przekazywano. Musieliśmy wdzierać się w ich psychikę i wpajać im twarde prawa wody, wobec których musi ugiąć się każda indywidualność. Musieliśmy im wpoić prawość wobec służby na wodzie, której surowość nie znosi żadnego blefu. Na razie mieli teorię. Niektórzy z nich nie byli jeszcze pod żaglami. Musieliśmy w praktyce zdruzgotać im sielankowe poję-

cie o żeglarstwie. Musieliśmy być okrutni, jak okrutny jest żywioł, kiedy uderza w nas z obiektywnie nauczycielską siłą. To prawda, prawda żywiołu daleka jest od zabawy. Chociaż pogoda nie ściągała na plażę zbyt wielu amatorów kąpieli, to jednak naszej robocie przy jachtach kibicowała spora grupka osób, dla których uzbrajanie jachtów było najprawdopodobniej widokiem uzupełniającym dla obrazków z żagłówkami, jakie oglądali na pocztówkach lub w czasopismach. Ta asysta gapiów niewiele nas interesowała. Byli to ludzie stamtąd, którzy z jednakowym zainteresowaniem przyglądają się kraksie samochodowej, pożarowi, omdleniu człowieka, jak i nam, gdyż ich zainteresowanie jest gapiowsko-plotkarskie.

Trzy jachty kotływały się na cumach, trzy maszty sterczały wysoko nad nami, siedem par rąk klarowało jednostki, sprawdzając każde wiązanie, każdy zaczep, najmniejszą zastawkę, myjąc pokłady i czyszcząc zenzy. Może za godzinę, za dwie będzie ich dwunastu, po trzech na każdą łódź. Wyjdziemy z nimi na ich pierwszy rejs, na ich pierwsze regaty sprawnościowe. Za trzy dni odbijemy od pomostu i będziemy płynąć przez trzy jeziora, przez kilka kilometrów wąskich kanałów, aż do mety na czwartym jeziorze, gdzie nikt jeszcze nie widział żagla. Za dwa dni, w piątek, pod salingiem każdego jachtu zawisnie flaga kodu „P”, znak, że jednostki nazajutrz wyjadą na rejs i zarazem srogie wezwanie dla załóg, by się stawiły na pokład.

– Dobrze jest – mówił bosman. – Wszystko jest w porządku, nic nie brakuje.

– A chłopcy? – spytałem.

– Dobrzy chłopcy, będą z nich ludzie. Tylko trzeba im oczy i ręce przetrzeć.

– Trzeba odholować jachty do pomostu – powiedziałem.

– Będziemy je holować? – spytał bosman.

– Na wiosłach. Stawianie żagli zrobimy w naszym porcie.

– Masz rację, trzeba ich najpierw nauczyć. Od pagajowania trzeba zacząć żeglarstwo, pagaj to najpewniejsza szkoła.

Bosman uśmiechnął się prawie z rozkoszą, jakby moja decyzja o przeprowadzeniu jachtów na widoczny z daleka pomost przy pomocy wiosła była celem jego życia, który właśnie osiągnął.

– No, rycerze – zawołał – zebrać wszystkie pagaje i przejść na „Pośwista”.

Usadził chłopców po trzech na burcie, a jednego przy sterze, sam usiadł na skrzynce mieczowej i jacht odbił. Trzy pary wiosel rytmicznie odgarniały wodę. „Poświst” powoli odpływał z falą i z wiatrem, oddalało się pokrzykiwanie bosmana.

– Żal mi ich trochę – powiedział Paweł. – Tak się palili pod żagle, a rozpoczęli od pagaja przy dobrym wietrze. Ale i tego muszą się nauczyć.

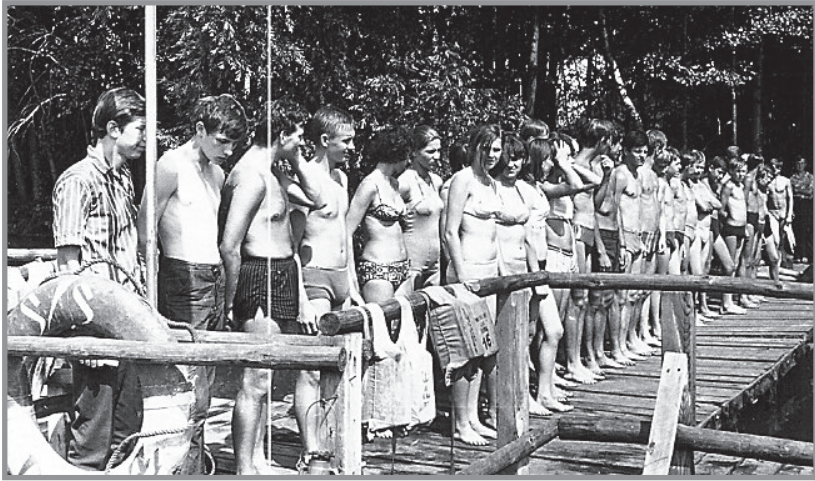
Chociaż nie mieliśmy już żadnej roboty, nie chciało nam się odchodzić od jachtów. Usiedliśmy na przeciwległych burtach „Powiewa” i kurząc papierosy, gwarzyliśmy o przyszłym rejsie. Wiatr jakby wzmógł się. Co chwilę przelatywały silniejsze poddmuchy. Tuż przy nas woda była dość spokojna, ale sto metrów od pomostu pokazywały się białe grzywacze.

– Kipi – powiedział Paweł – nie masz ochoty wyjść na wodę?

– Trzeba obiad zjeść, a ja jeszcze nie jadłem śniadania.

– Wobec tego chodźmy na obiad.

Wyszliśmy na wymyte przez deszcze i wybielone przez słońce deski pomostu i jeszcze patrzyliśmy na łodzie. Błyszczały nam one lakierem, polśniewały okuciami, prężyły się wantami i kołyszac masztami kiwały się na falach, jakby przytakiwały naszej pasji, samą wypornością zapraszając w drogę. „Poświst” z bosmanem dopływał do naszej bazy. Ludzi nie było prawie wcale widać. Na ciemnej zieleni lasu zamazał się maszt. Na wodzie kołysała się kolorowa plama ludzkiego zespołu. Staliśmy na pomoście przy jachtach, jak dwaj konkurenci, którzy nie chcą opuścić dziewczyny, trzymani miłością i zazdrością, co było bezsensowne. Szkoda nam było odejść, bo wiatr był piękny, a z niego korzystaliśmy. Dość często zresztą po zejściu z pokładu lub przed wejściem na jacht odprawialiśmy nasze stójki, w pewnym sensie podobne do modlitw nawiedzonych. I nie było to zbyt odległe od prawdy, gdyż byliśmy nawiedzeni naszym maniactwem, które trwało około dwóch miesięcy w roku, nie licząc zimowej roboty. I zawsze, jak pamiętam, chwila wodowania przed rozpoczęciem sezonu pobudzała nas do zamyśleń i wspomnień. Bo



Młodzież na obozie żeglarskim, 1965 r.

oto jachty kołyszają się na cumach, jeszcze w porcie, jeszcze w bieli, wypucowane do lśnienia, zapraszające, ale po odejściu na wodę nie wiadomo, co się stanie. Nie, one nie toną. Jachty mieczowe nie toną, ale ludzie toną.

Na naszych łodziach nikt nie utonął. Chwaliliśmy nasze jednostki za ich dzielność, za ich lśniące pokłady, za łagodnie zarysowane pod warstwą lakieru słoje drewna. Byliśmy w tamtej chwili na pewno autopanegirystami, gdyż chwając wygląd jachtów, chwaliśmy siebie za wiosenny wkład pracy, jaki w nie włożyliśmy. Setki razy omawialiśmy wady i zalety każdego jachtu z osobna, chociaż obaj z Pawłem doskonale je znaliśmy.

– Do soboty się opływają – mówił o chłopcach Paweł – a w sobotę rano wychodzimy.

– O ósmej odejście od pomostu.

– Nie za wcześnie? – spytał Paweł.

Spodziewałem się tej wątpliwości ze strony Pawła.

– Rzeczy załadujemy w piątek.

Nic nie powiedział. Zaciągał się papierosem. Opuściliśmy wreszcie wytrawiony przez pogody pomost i ścieżką, o której już opowiadałem, ścieżką obok kiosku z napojami pod bukami poszli-

śmy do wyjścia na szosę, gdzie stały jeszcze dwa kioski – spożywczy i z gazetami, do których kilka razy dziennie chodziliśmy; tą ścieżką zśliśmy, jak prawie każdego dnia na obiad do „Chaty za wsią”.

Kiedy przechodziliśmy obok budynku administracyjnego, zza węgła wyszedł tropiciel złodziei ryb, który zdawał się na mnie tutaj czekać. Minę miał srogą i tajemniczą.

– Chciałem z panem porozmawiać – powiedział.

– W tamtej sprawie?

– Tak.

– Koniecznie teraz?

– Wolalbym teraz.

– Niech pan mówi.

Stałem odwrócony plecami do bramy wyjściowej. Przed sobą miałem szczytową ścianę domu z weneckim oknem, za którym stał Franek i przez szybę dawał mi rozpaczliwe znaki, bym nic nie mówił.

– Rybacy zastawili sieci i być może złodzieje znów będą chcieli ryby podbierać. Chodzi mi o to, że gdyby pan zechciał, to moglibyśmy urządzić zasadzkę. Moglibyśmy wziąć żaglówkę i stanąć przy wontonach.

– Kłopot z tym, że żaglówkę widać z daleka.

– Jak jest noc ciemna, to nie widać.

– Zawsze musi być widać. Żaglówka nie może płynąć bez światła. Lepiej wziąć kajak, a najlepiej poczekać na brzegu.

– Nie można wziąć kajaka. Nie wiem, czy pan wie, że na jednym z kajaków znaleźli łuskę od sielawy. Kajak był z ośrodka, a i Franek, i stróż powiada, że nikomu tej nocy kajaka nie wydawał. Jak wezmę od nich kajak, to będą wiedzieć, że zrobiłem zasadzkę. Nie można od nich.

– Może pan weźmie kajak z tuczarni.

– Też nie mogę wziąć. Ale gdyby pan wziął, to by nic nie podpadło. Niech pan posłucha. Umówilibyśmy się na jakimś miejscu. Ja bym niby wyjechał, a pan by po mnie przyплыł i byśmy razem przy wontonach poczekali. Tak byłoby najlepiej.

Ciągle myśląc o znakach Franka, zgodziłem się na propozycję milicjanta. Umówiliśmy się o godzinie jedenastej przy cyplu obok

harcerzy po drugiej stronie jeziora. Zadowolony milicjant poszedł do budynku administracyjnego, by oficjalnie ogłosić swój wyjazd. Franek zniknął z okna. Co on mógł ode mnie chcieć – myślałem, kiedy jedliśmy obiad – dlaczego dawał mi te znaki. Czyżby Franek miał z kradzieżą coś wspólnego? Nie powiedziałem jednak milicjantowi o rowerze z zaplątanym w śrubę kawałkiem sieci. Nic o tym nie mówił, być może nie wiedział, a jeśli nie wiedział, to znaczy, że Franek mu nie powiedział prawdy. I po co ja się tym zajmuję? Niech sobie śledzą, łapią. Przyjechałem tutaj, by odejść od codzienności i nie włączać się zupełnie w nic, ale mały osad życia dochodzi i tutaj.

– O czym tak myślisz, stary? – spytał Paweł.

– O Romku – skłamałem – pojechał z inżynierem do miasta, zabrali ze sobą małego Krystyny i zdaje się, że jeszcze ich nie ma.

– Przyjadą.

– Oczywiście, ale dość długo ich nie ma.

– Nic się nie stało. Gdyby coś się stało, byśmy już wiedzieli.

A jednak myśl o Franku nie opuszczała mnie.

– Idziesz do chłopców – powiedziałem do Pawła, kiedy wyszliśmy z restauracji.

– Ty nie? – zdziwił się.

– Też pójdę, ale na chwilę wpadnę do administracji. Przyjdę na przystań.

Zaraz się dowiem – myślałem, wchodząc po ceglanych schodkach. Franek musi mi powiedzieć, co znaczyły te sygnały. A w ogóle zrobiłem głupstwo, że zgodziłem się płynąć z milicjantem. Przecież Krystyna ma przyjść.

Franek siedział w fotelu i patrzył w telewizor.

– Dobrze, że pan przyszedł – powiedział. – Przed chwilą dzwonił pan inżynier, ten pana sąsiad, że zostali trochę dłużej w mieście, bo guma im się zepsuła.

– To dobrze, bo się niepokoiłem. Chciałem pana spytać, przed czym mnie pan ostrzegął, dając mi znaki, żebym nic nie mówił.

– Dawałem panu znaki, bo pomyślałem sobie, że z milicją trzeba ostrożnie.

– Nie rozumiem pana.

– Bo on pana podejrzewa, panie redaktorze. Dawałem panu znaki, żeby pan się z czymś nie wygadał.

Twarz Franka była spokojnie nieprzenikniona, jakby sprawa, o której mówiliśmy, w ogóle go nie dotyczyła. Zdawało mi się nawet, że patrzy na mnie z życzliwym politowaniem. Jeśli jest złodziejem – myślałem, patrząc na tę twarz – to jest wytrawnym złodziejem. A jeśli milicjant jest krętaczem, to jest bardzo nędznym krętaczem.

– Niech pan nie myśli, panie redaktorze, że ja pana bujam, Franek nie z takich. Nie bujam, ale i nie mogę wszystkiego powiedzieć. Życie, panie redaktorze, takie jest życie – westchnął głęboko. – Czy pan idzie teraz do siebie? Bo jest telegram do tej pani z Katowic.

– Do Krystyny?

– Tak. Gdyby pan tam szedł, to może by pan mógł zanieść.

– Dobrze, zaniósę – powiedziałem, biorąc papier.

– Mam jeszcze jedną sprawę do pana kolegi, tego fotografa.

Chodzi o to, że nasza sprzątaczką wydaje córkę za mąż i prosiła, czy by ten pan nie przyszedł zrobić zdjęć.

– Porozmawiam z nim – odparłem, myśląc o telegramie, który trzymałem w ręku.

– To jest tutaj blisko, w pegeerze.

– Jak przyjedzie, powiem mu.

– Bardzo mnie prosiła.

– Dobrze, panie Franek, powiem mu – rzekłem, wychodząc.

– A ten milicjant niech sobie szuka złodziei, prawda.

– Prawda, panie Franek.

Niosłem Krystynie jakąś wiadomość w telegraficznym liście, który zawierał kilka skąpych słów. Niosłem nie jako obiektywny doręczyciel pocztowy, który jeździ po ulicach mego miasta motocyklem i razem ze złymi wiadomościami przynosi grzecznościowe wyrazy współczucia, lecz jako człowiek treścią telegramu żywo zainteresowany, chociaż bez prawa rozerwania banderoli. Wiedziałem, że Krystyna wysłała do domu telegram i być może niosłem jej wezwanie do powrotu. Ktoś ma prawo ją wzywać i wzywa. Życie ludzkie układa się przecież według uznanych przez prawo i zwyczaj

norm zależności. Papier, który niosę – myślałem – jest posłańcem zgody na kompromisy, jakie ludzie przyjmują na użytek tak zwanego dobrego współżycia. Nie chciała rozmawiać o przeszłości, zatykała mi usta, ale nie spodziewała się, że jeszcze dzisiaj będziemy musieli wrócić do tematu. Nie można od życia odejść, nie można się wycofać, choć czyniłem to przez pewien czas, jak mi się zdawało, z powodzeniem. Usiłowałem być obiektywnie daleki od małej złości, małej zawiści, starałem się patrzeć na świat bez najmniejszej pasji, ale okazuje się, że nie można ani świata, ani siebie traktować jak obojętnego przechodnia.

Kiedy wszedłem do domku, Krystyna ocknęła się.

– Która godzina? – spytała przecierając oczy.

– Osiemnasta dochodzi.

Zrobiła gest, jakby chciała się zerwać i pobiec. Zobaczyłem w jej oczach nagłe otrzeźwienie.

– Jeszcze ich nie ma?

– Nie przejmuj się, dzwonili do Franka, że w Strzelcach naprawiali koło. Niedługo powinni przyjechać.

– Wyobraź sobie, że spałam trzy i pół godziny. Musiałam mieć wielkie niedobory snu – uśmiechnęła się. – Jak powiedziałaś, że ich jeszcze nie ma, przeraziłam się. To dobrze, że przyszedłeś.

– Niezupełnie dobrze, przyniosłem ci telegram.

– Skąd telegram?

– Nie wiem – znów w oczach zobaczyłem ten wyraz przerażenia, który tkwi w głębi człowieka i dopiero zaczyna się wyłaniać. Podałem papier. Rozerwała błyskawicznie nalepkę chroniącą tajemnicę i wpiła się wzrokiem w kilka nadrukowanych słów. Przez chwilę milczała, jakby wiadomość szczególnie ją zaskoczyła, po czym złożyła papier i wpatrując się we mnie powiedziała:

– Trzeba się było tego spodziewać.

– Wzywają cię.

Pokręciła przecząco głową ciągle wpatrzona we mnie.

– On?

Znów ten sam ruch głową.

– Ani on, ani mnie nie wzywają.

– Inna zła wiadomość – powiedziałem nieco zadowolony, samolubnie zadowolony, że rzecz, o której nie chciała mówić, jeszcze odwlecze się na kilka beztróskich dni.

– Nie taka zła, jaką zwykle przynoszą telegramy. Można nawet powiedzieć, że radosna – roześmiała się i rzuciła sobą do tyłu na polowe łóżko. Pochyliłem się nad nią.

– Usiądź – powiedziała – i posłuchaj. Dlaczego właśnie ty musiałeś mi ten telegram przynieść?

– Nie wiedziałem, co niosę – powiedziałem, ale w chwili gdy wypowiedziane słowa dotarły mocniej do mej świadomości, zrozumiałem, że powiedziałem marny zwrot usprawiedliwienia. – Czy ten telegram jest związany z nami?

– Jest – powiedziała bez najmniejszego wahania. – Jest to depesza od mojej matki. Matka przyjeżdża. To oczywiście nic ci nie mówi, bo nie znasz sytuacji i mojej matki. Wiesz, że wysłałam do domu wiadomość o przedłużeniu pobytu. – Skinąłem głową. – I to jest odpowiedź. Nie od niego, a od niej.

– Dlaczego?

– On mego telegramu w ogóle nie widział. Nie pokazała mu. Nie wiem na pewno, ale mogę sobie wyobrazić, że tak było. Dalej nie możesz zrozumieć, o co chodzi. Więc posłuchaj. Przyszedł do domu, a matka, podając mu obiad, powiedziała, że tęskni za wnukiem, że mogę mieć uciążliwą podróż powrotną i chce jechać, by mi pomóc w podróży. Wzruszył ramionami. Uznał, że są to jakieś babskie fanaberie. Jeszcze nie rozumiesz. Ona jest stróżem! Ona jest policjantem dobrego domu państwa Drewnowskich. Ona nie może pozwolić na najmniejsze zakłócenie tego dobra. Zresztą, po co ja o tym mówię. Jutro pójdę na przystanek autobusowy. Mamusia przywita mnie z wylewną radością i powie, że tutaj pięknie, ale nie tak bardzo, żeby pozbawiać ją wnuka. Wrócimy i nastąpi powolne pakowanie rzeczy. Będzie dyskretnie pakować i prowadzić wywiad. W mig dowie się o tobie. Przyjrzy się tobie, powie, że mam dobry gust – roześmiała się – i zabierze mnie stąd. Teraz rozumiesz!

– Masz troskliwą mamę.

– Jest przeraźliwie troskliwa. O mój los, o mój dobrobyt, o mój, a przede wszystkim swój spokój. Teraz już wszystko wiesz. Nie zrobi mi najmniejszego wyrzutu, bo ona uważa, że można męża zdradzać, ale nie można uczciwie od niego odejść. Nawet nam tych trzech dni nie dała.

– Posłuchaj, Krystyna – powiedziałem. – Jeżeli matka ma na ciebie tak duży wpływ, że nie będziesz mogła z nią porozmawiać, porozmawiamy oboje. Przyznam się, że ja jestem zadowolony z tego obrotu rzeczy.

– Dobrze, że tak mówisz, ale ona o niczym nie będzie chciała rozmawiać. Ty jej nie znasz. Mam do ciebie prośbę: nie mówmy o tym dzisiaj! Bądźmy tylko sobą i tylko dla siebie. Kładąc się spać, myślałam o tobie. I jesteś przy mnie. Nie ma nikogo, jesteśmy tylko we dwoje.

Ale kiedy kładłem się obok niej, usłyszeliśmy wyraźnie jak nigdy dotychczas klakson samochodu inżyniera. Trąbił długo, jakby chciał specjalnie poinformować nas, że wrócili. Krystyna podniosła się na łokciu. Przez chwilę patrzyła na mnie bez drgnienia powiek, po czym powiedziała:

– Musisz wyjść, wrócili.

XIV

– Co wam się stało? – spytałem Romka, kiedy wyszedłem od Krystyny. Romek prowadził do domku jej synka, by zgodnie z obietnicą oddać dziecko zdrowe i całe.

– Nic, zupełnie nic, tylko temu zachciało się wjeżdzać w las i przebił dętkę. Biegnij do mamusi – powiedział chłopcu – ja zaraz przyjdę. Wysłałem go, żeby powiedzieć ciekawą nowinę. Czy zauważyłeś, że inżynier przynajmniej raz na dzień wyjeżdżał gdzieś samochodem?

– Czasem widziałem.

– Ale nie widziałeś, dokąd wyjeżdżał.

– Nigdy go o to nie pytałem.

– Otóż posłuchaj, a nie bądź zdziwiony. Nasz znajomy ma w okolicy murzynów.

– Podpiłeś.

– Oczywiście nie tych z Afryki, białych murzynów. Ma po prostu jakąś spółkę z leśniczym i w dwóch miejscach pobudowali doraźne suszarnie grzybów. Wynajęli kilku chłopców, dowożą im prowiant, a chłopcy zbierają dla nich grzyby. Leśniczy na całodziennych obchodach pilnuje suszenia, a nasz znajomy, który czeka na dziewczynę, zaopatruje bazę murzynów w prowiant. W taki sposób łączą miłe z pożytecznym: urlop i interes.

– Skąd o tym wiesz?

– Od murzyna. Kiedy jechaliśmy do Strzelec Krajeńskich, nagle z lasu wyszło dwóch chłopaków z teczką. Inżynier zatrzymał się, co mnie trochę zdziwiło, bo na machanie książeczkami autostopowymi wcale nie zwracał uwagi. Podeszedł do nich, a ja za nim. Jego murzyni wynosili gdzieś suszone grzybki. Okazuje się, że czeka-

nie na dziewczuskę to po prostu ordynarne kłamstwo. Nie czeka na żadną babkę, tylko pilnuje zbierania grzybów, pojmujesz. On tych chłopców przywiózł ze sobą samochodem. Robisz wrażenie, jakby to cię nie interesowało.

– Wiadomość jest niewątpliwie ciekawa. Robi interes. Ciekawa, ale nie taka niezwykła...

– Powiesz, oczywiście, że obiektywnie uzasadniona.

– W rzeczy samej. Chce się wzbogacić, za wszelką cenę wzbogacić i to wszystko. Ja też mam dla ciebie chałturę. Jest dzisiaj wesele w pegeerze i proszą cię, byś poszedł zrobić trochę zdjęć. Bardzo cię proszą – dodałem widząc, że Romek się skrzywił. – Niewykluczone, że znajdziesz tam jakieś ciekawe ujęcie. Może nawet będzie mistrz stada.

– Mówisz, żeby iść?

– Idź, zrobisz ludziom przyjemność, a może i dla siebie coś znajdziesz. Jeżeli byś chciał iść, skontaktuj się z Frankiem, on cię zaprowadzi.

– Pójdę, a co myślisz o naszym znajomym?

Gdybym chciał Romkowi wyjaśniać całą sytuację, musiałbym opowiedzieć mu rozmowę z inżynierem, jaką przeprowadziłem dzisiaj rano. Jeśli to prawda, że nie czekał na żadną dziewczynę, to jest nieprzeciętnym spryciarzem – myślałem – a ja wielkiego formatu głupcem. Obaj graliśmy komedię, ale on grał ją świadomie, a ja okłamałem go z myślą o dobrym przeznaczeniu kłamstwa. Oto jest ironia. Ale niewykluczone, że pilnuje zbierania grzybów i czeka na dziewczynę. Nie można tego świata zbyt prosto tłumaczyć. Przyjechałem tutaj, by go w ogóle nie tłumaczyć, w ogóle nie wyjaśniać, uciec na jacht, być tylko z falą, z żaglami i z młodzieżą, lecz on przyszedł obiektywnie, jak właściciel po swoją własność. Najpierw Krystyna. My dwoje. Jej matka, której jeszcze nie ma, ale jest już obecna.

– Wyłuszcze ci później – powiedziałem do Romka – a teraz idź do Franka i umów się z nim. Ja muszę iść na przystań. Przywieźli jachty, zaczynamy kurs.

– No to i przepadłeś.



Żagiel na jeziorze – dla żeglarzy najpiękniejszy widok

– Nie wiem, czy przepadłem. Raczej nie, raczej wszystko jest w porządku – mówiłem, kiedy schodziliśmy po stoku Romek do Franka, a ja na przystań, na wodę, do „Zefira”, który kołysze się na falach, czekając na wyjście z portu. Ale jachtu nie było przy pomocy. Odholowali – pomyślałem – i dobrze zrobili. Oczywiście, w tej chwili lepiej by było, gdybym go tutaj miał. Popłynąłbym do chłopców pod żaglami, ale to nic. Pójdę dróżką nad jeziorem, po szlaku, który przeszliśmy dziś z Krystyną. Co się stanie jutro, nie jest wiadome nikomu. Dzisiaj tylko wiadomo, że jutro przyjedzie matka. Z tego, co mówiła o niej Krystyna, jest to kobieta zła. Zła dla ciebie, ale czy zła w ogóle, to nie wiadomo. Miałaś swój spokój, swoje poglądy, prawda, że oddalone od normalnych lub nazywanych normalnymi reakcji ludzi, ale były twoje: widziałeś świat z daleka, obserwowałeś go przez obiektyw przyjętych poglądów i było ci z tym dobrze. Świat ludzi dorosłych opuściłeś jako aktywny uczestnik ich życia. Wkroczyłeś w świat młodzieży, gdyż tylko on dawał ci poczucie swobody i ciągłej wiosny, albowiem był podobny do świata, jakim chciałeś go widzieć. Zorganizowałeś nad sobą kontrolę i jak mówił Romek, chodziłeś w namordniku. Ro-

mek mówił, że nie było ci w tym do twarzy, ale ty czułeś inaczej. Czułeś się po prostu dobrze, a to najważniejsze. Czuć się dobrze. Co to znaczy? Pływać na „Zefirze”. Być z Krystyną na polance? Pomagać ludziom pobłażliwą tolerancją? Rozumieć ich wszelkie wady i pobłażać im? Pozwalać im na małe wykroczenia i tłumaczyć ich? Czy to jest owo dobrze? Naiwność, jednak wielka naiwność mieści się w takim sądzie. A jeśli naiwność, to znaczy, że potępienie. Ale czy można to potępiać? Czy nie jest to obiektywne, że naiwność istnieje, jak istnieje miłość, złość, życie i śmierć. Śmierć? Po co wspominać o śmierci? Przecież to, co się stało dzisiaj, jest życiem. Wielu ludzi się kochało, wielu się rozstawało, ale kochankowie zawsze myśleli o życiu. Czasem zdarzała się i śmierć, ale wyjątkowo, a ty nie jesteś wyjątkowy. Powiedziałeś sobie już kiedyś, że jesteś przeciętny i dzień ten nazwałeś najmądrzejszym dniem własnego życia. Powiedziałeś sobie wtedy, że jesteś ze światem w stosunkach wymiennych i jeśli ty światu dajesz tylko zdawkową monetę, nic więcej nie możesz od niego wymagać. Jednak zażądałeś. Już dawno nie prowadziłeś ze sobą takiego rozrachunku. Widocznie raz rozliczyć się ze sobą to za mało.

To tutaj byliśmy z Krystyną. Tutaj nie pozwalała mówić o jutrzejszym dniu. Dokładnie w tym miejscu. Trawa jeszcze nie zdążyła wstać. Łodyżki kwiatów są połamane. Tamtędy biegła do kempingu Krystyna, udając pijaną. Fabuła tego zdarzenia jest erotyczna, ale chyba nie tylko. Na pewno nie tylko. Z całą pewnością nie. Ale po co te wszystkie wynurzenia? Jutro wiele rzeczy się rozstrzygnie. Może dopiero w piątek. W piątek musi się rozstrzygnąć, bo w sobotę jest rejs. Tylko zejść z góry kilkadziesiąt metrów i kilkaset metrów krętą ścieżką wśród bukowej monokultury i będą domki, przystań, chłopcy. Tam trzeba iść, bo tam iść zamierzyłem.

Przyjechałem, by pływać. Pamiętam zimowy wieczór. Po zebraniu zarządu klubu wodnego doktor Barnaś wyjął butelkę koniaku. Piliśmy trunek jedną szklanką, jak na obozie. Siedmiu mężczyzn cieszyło się jak dzieci z przyszłej chwili, kiedy nasze jednostki zaludnią wodę. Siedziałem wtulony w fotel i obserwowałem młodzieńczy entuzjizm dorosłych ludzi. Widywałem ich często na wodzie,

byli spokojni, rozważni, czujni. Widywałem ich w naszym hangarze, byli dokładni aż do pedanterii, precyzyjni, porządni w robocie. Widziałem ich tamtego wieczoru, byli stęsknieni za wodą, dziecinnie rozmarzeni. Nie wszyscy są na akwenie. Wiedzieli, że stale tutaj nie będą. Przyjeżdżali na niedziele. Tylko na kilka godzin. Dla tych kilku godzin była ich radość. Każdy z nich miał chyba swoje troski, kłopoty, zmartwienia, ale tam nie było żadnych trosk, poza troską o jachty. To była dobra okolica, okolica wspaniałych ludzi. Wokół nich są kandydaci na następców, młodzi chłopcy, których zebrał doktor Barnaś. Przez liście buków widać bale pomostu. Wśród szumu drzew zacierają się głosy. Jestem coraz niżej i bliżej wody. Trzy maszty sterczą nad kadłubami. Już jestem blisko. Widzą mnie. Bosman szepce coś jednemu z chłopców.

– Obywatelu komandorze, wachta melduje: stan kursu dwunastu, jeden wachta, trzech w załodze „Zefira”, ośmiu przy robotach portowych.

Chłopcy pod kierunkiem bosmana objijają pomost starymi chodnikami, które przywiózł Barnaś z Zakładów Tuczu w Dobiegniewie. Pomost musi być porządnie przygotowany, by dobijające jachty nawet w najmniejszym stopniu nie ocierały burt. Barnaś stoi opodal. Bosman patrzy na składającego meldunek wachtowego. Kontroluje go. Więc kurs już się rozpoczął.

– Dziś będzie pierwszy rozkaz dzienny. Rozpoczęcie kursu, stan instruktorów – mówię do Kazika – funkcje, wachta, rozkład dnia na dzień jutrzejszy i podział kursu na załogi jachtów. Trzeba zrobić książkę rozkazów.

– Przywożłem zeszyty – powiedział Barnaś.

Chłopcy, zajęci objaniem pomostu, nasłuchują naszej rozmowy. Każde słowo wtajemnicza ich w życie kursu, jest przedmiotem komentarzy. Tak jest na każdym kursie, tak było wtedy, gdy ja układałem swoje ręce do żeglarskiej roboty.

– Dzisiaj skończcie robotę na obiciu pomostu. Niech się dobrze zakwaterują, a jutro rozpoczniemy pływanie – powiedziałem te słowa specjalnie głośno, by chłopcy usłyszeli.

– Rejs w sobotę? – spytał Barnaś.

– W sobotę. Wypłyniemy rano. Odwiedzimy Osiek, Ługi, Chomętowo, wszystkie trzy wioski położone na trasie. Nad jeziorem Osiek przenocujemy, a w niedzielę około dwunastej będziemy w Dobiegniewie – powiedziałem.

– Zamówię obiad w Dobiegniewie na godzinę drugą.

– Dobrze. W Dobiegniewie zrobimy małą paradę jachtów i rejs powrotny.

– Czytał pan w „Żaglach”, że w obozie jenieckim w Dobiegniewie podczas okupacji był kurs na stopień sternika?

– Czytałem. Nie wiem, czy oficerowie żeglarze spodziewali się, że dwadzieścia kilka lat później będą tutaj pływać polscy sternicy.

– Można by ten pierwszy rejs zorganizować na ich cześć, na cześć Woldenberczyków-żeglarzy.

– Ma pan rację. Nazwiemy ten rejs rejssem Woldenberczyków-żeglarzy.

Zza wyspy wyłonił się „Zefir”. Płynął kursem na wiatr, rozbijając fale, jakby przyklejony do wody zawietrzną burtą. Wychyleni żeglarze balastowali. Czasem widzieliśmy ciemną niebieską blachę miecza, ciągle wyłaniały się srebrzyste bryzgi wodne, które wyskakiwały wysoko ponad pokład. Płótno żagli było od dołu zmoczone, musiała być mokra załoga, a zwłaszcza żeglarz pracujący przy fok, który, jak widzieliśmy, służył za żywy falochron. Za nimi woda wprost kipiała. Płynęli w równym przechyle. Widać było, że przy rumplu siedzi nie byle jaki sternik i że ma dobrą załogę; żagle ani na chwilę nie załopotwały, pracowały równo całą powierzchnią, jacht nie chybotał się i nie słaniał. Zrobili zwrot. „Zefir” zakręcił się w miejscu, żagle przełożyły się na zawietrzną, jakby to nie było na wietrze, jakby ktoś przełożył kartki czytanej książki. Tam był Paweł, mistrz dużego wiatru, Paweł, którego zwroty zawsze podziwiałem.

– Ładnie idą – słyszałem za sobą komentarze chłopców.

Łódź płynęła prosto na nas. Dopiero teraz widać było głęboki przechył jachtu na zawietrzną i pełne wychylenie wiszących za burtą żeglarzy. Wąski i biały przecinek żagla zdawał się wisieć nad rozhulaną płaszczyzną wody, jakby był przyczepiony do kadłuba niewidzialną nicią. I wydawało się, że załoga uprawia przyjemno-

ściową gimnastykę, ale myśmy wiedzieli, że była to gimnastyka spowodowana koniecznością. Patrzyliśmy skupieni i poważni, ale zadowoleni z widoku naszej jednostki, z naszym kolegą. Patrząc na nich, miałem to samo uczucie, jakie ogarniało mnie wtedy, gdy siedziałem przy sterze, a sprężony wiązaniami „Zefir” rozcinał zwały wodne. Lecz przyszły i inne refleksje.

– Może otaklować jedną łódkę – powiedział półszepsem Kazik zapatrzony na imponujący hals, jakby nie do mnie, a w przestrzeń wody, tam, gdzie „Zefir” pochrapywał wiązaniami.

– W sobotę rejs. Jutro zaczynamy pływanie – powiedziałem, także nie patrząc na bosmana.

Czy miałem ochotę wyjść? Dużą? Ale powiedzieliśmy, że wypływamy jutro. Jutro na wodzie znaczy jutro, a nie dzisiaj, jak grot jest grotem, rumpel rumpem, kurs na wiatr kursem na wiatr, a niczym innym. Paweł wyszedł. Pięknie prowadził jacht, to prawda, ale wyszedł dzisiaj. Miał go tylko przeprowadzić do pomostu spod hangaru do tej przystani, ale skusiła go woda i wiatr, który dał z siłą czterech stopni, w podmuchach znacznie więcej. Poniosła go chęć zmierzenia umiejętności, chęć walki, owa tęsknota za pływaniem, w jakiej żył przez całą zimę. Trzeba tę chęć nazwać chęcią, trzeba ją zrozumieć i wytłumaczyć Pawła przed sobą, ale nie można go wytłumaczyć przed zerkającymi na „Zefira” kursantami, którzy, klęcząc na pomoście, obijali jego skraje chodnikiem. Tutaj musi być porządek. Niech w życiu codziennym słowo znaczy, co mu się podoba, niech słowo kochanka znaczy dziwka, niech ojciec znaczy wróg, niech pod zmiennym znaczeniem słowa cały świat się zmieni, tutaj szekła musi być szekłą, a godzina zero zero godziną zero zero, niczym więcej. Paweł przybliżył jutro do dnia dzisiejszego. Wyszedł naprzeciw swoim chęciom, ale postąpił wbrew prawu naszego słowa.

Kiedy tak myślałem, żagle na „Zefirze” załopotwały, jakby przeszedł po nich dreszcz. Sądzić można było, że żywioł wykorzystał i w sposób widoczny obniżył drobną nieuwagę załogi, ale kiedy jacht dalej szedł z wyluzowanymi żaglami, patrzyliśmy ze zdwojoną uwagą, gdyż mógł to być znak, że na „Zefirze” stało się coś niezwykłego, coś, co zmusiło sternika do wydania komendy kontynuowa-

nia rejsu na luźnych żaglach. Po chwili „Zefir” znów się sprężył, przybrał pierwotny kształt pochylonego skośnie białego przecinka i nagle, w czasie ułamków sekund, maszt zwałił się w wodę. Nie była to zwykła wywrotka, to było zbyt nagłe. Jachty wywracające się nabierają wody i kładą się powoli. To była awaria, poważna awaria masztu.

– Koło ratunkowe i bosak na łódź wiosłową – komenderował już Kazik.

– Wszyscy pływają – powiedziałem do doktora, widząc trzymające się kadłuba cztery sylwetki ludzkie, kiedy łódź pod komendą Kazika siłą czterech par wioseł pędziła do wraka. – Im nic nie będzie, ale z „Zefirem” jest kiepsko.

– Myśli pan, że coś się stało?

– Na pewno. Maszt za szybko się zwałił.

Po chwili jacht był przyholowany do pomostu i dowiedzieliśmy się smutnej prawda: nawietrzna wanta pękła i maszt złamał się tuż przy pięcie, wysadzając część pokładu.

– Ruina – jęczał Kazik – całkowita ruina.

Paweł w mokrym ubraniu, z włosami oblepionymi wokół głowy, z kałużą u stóp stał na pomoście, patrząc to na wrak, to na nas i powtarzał obłędnie:

– Wanta strzeliła, nic nie mogłem poradzić, wanta strzeliła.

Miał w oczach żal graniczący z poczuciem winy, wyglądał nie lepiej niż zaciągany na pomost „Zefir”.

– Mogło być gorzej – powiedziałem po obejrzeniu jachtu.

– W sobotę „Zefir” musi iść w rejs.

– Musi – powiedział z jakąś wściekłą pasją Paweł. – Musi iść w rejs.

XV

Chociaż wszystkie ręce wzięły się do pracy, naprawy jachtu do zmroku nie można było skończyć. Przede wszystkim nie mieliśmy stalowej linki na nową wantę. Dalszą robotę trzeba było odłożyć na następny dzień, kiedy świt znów przyniesie nam naturalne światło. Po bliższych oględzinach uszkodzenie okazało się nie tak groźne, jak w pierwszej chwili myśleliśmy. Pocieszałem Pawła, że każdemu mogło się to stać, a chłopcy przy okazji otrzymają praktyczną lekcję niebezpieczeństwa. Skończyliśmy jednak pracę dopiero wtedy, gdy mrok zaczął zamazywać narzędzia, a każda szczelina w drewnie zatarła się już zupełnie.

– Nic już nie zrobimy – powiedziałem do Pawła. – Trzeba poczekać do jutra, a dziś zjeść kolację.

Szliśmy ścieżką przez las. Paweł był tak przejęty uszkodzeniem, że nie potrafił o niczym innym mówić. Chciał się jakoś usprawiedliwić, wytłumaczyć nie fakt awarii, ale owo krótkie, trwające kilkanaście sekund, może minutę, łopotanie żagli, jakie i mnie zaniepokoiło. Miał dobrą załogę. Wybrał chyba najsprawniejszych chłopców z kursu, sprężystych długasów po metr osiemdziesiąt każdy, których młode ciała wyginały się za burty z prawdziwą przyjemnością, a kiedy szkwał przechodził, zawinięci w kabłąg czujnie obsługiwali kolejno foka, kocimi ruchami poruszając się po pokładzie. Zespół ten zdawał się być nie do pokonania. Dufni w swe siły, ufni w znaną moc „Zefira”, szukali szkwałów, by zmierzyć się z żywiołem i zwyciężyć go. Wzięli kilka kolejnych szkwałów prawie bez większego przechyty jachtu i zdawało się im, że nie ma siły, która mogłaby im zagrozić. To byli jednak młodzi chłopcy, ale z nimi był Paweł, który też uległ hazardowi. Zobaczyli z daleka, że

nadchodzi nowy podmuch, silniejszy niż dotychczasowe, głębszy, prawie zwielokrotniony w rozległej mocy. Zbliżał się do nich szeroką plamą małych zmarszczek na wodzie, które jakby dreptały po falach siną zielenią. Widział Paweł tę nadchodzącą sinicę, która dosięgłaby „Zefira” zaledwie jednym końcem, dlatego wyluzował na chwilę żagle, by wypuścić z nich wiatr, zwolnić pęd łodzi i poczekać na podmuch. Przyszedł. Chciało ich przygiąć. Sparowali uderzenie balastem. Ale po pierwszym uderzeniu przyszło drugie, jeszcze silniejsze, sztormowe. Szarpnęli się do tyłu. Sternik trzymał kurs na przekór niebezpieczeństwu. Nie wyostrzył. Nie wyluzował. Chciał szaleńczym szusem wziąć szkwał. Dobrze obliczył swe siły. Dobrze obliczył dzielność załogi i jachtu, ale nie przewidział, że zmęczony metal wanty nie wytrzyma naporu. Prysnęła nawietrzna wanta. Chłopcy nie zdążyli oddać balastu. Ocknęli się dopiero wtedy, gdy kłębiska wody zamknęły się nad nimi. Wynurzyli się pochylając, a że byli dobrą załogą, nie zostawili jachtu. Skrzętnie, prawie bez komendy, borykając się z rozhuśtanymi falami, zbierali pływające części osprzętu.

– To moja wina – mówił Paweł, kiedy szliśmy przez zasnuty mrokiem las, potykając się o wystające korzenie drzew. – Moja wina i nikt nie potrafi jej ze mnie zdjąć.

– Muszę powiedzieć, że wanta przy „Zefirze” już dawno mi się nie podobała – robiłem wyznanie.

– Słaba była czy silna, to nie ma znaczenia. Teraz wszyscy będą mówić o mnie: to ten, co złamał maszt – sięgał Paweł do odległych rejonów przyszłości i ludzkiego gadania.

– Zaraz spytamy w warsztacie, czy nie mają stalowej linki. Jeśli nie będą mieć, musisz pojechać jutro do Gorzowa po stalówkę. „Zefir” musi być na rejs gotowy.

– Masz rację, musi być gotowy.

– A kiedy wyjdzie na wodę, zapomnimy, że był uszkodzony.

– Pocieszasz mnie. Tego nikt nie zapomni.

– Wyrugować faktu z pamięci ludzkiej nie można. Ale dwie rzeczy są tutaj najważniejsze; nikomu się nic nie stało i uszkodzenie nie jest groźne. Jeszcze tylko wanta i „Zefir” pójdzie na wodę.



Zdzisław Morawski przydziela zadania kursantom, 1965 r.

Przez liście nadbrzeżnych drzew zaczęły prześwitywać światła przystani. Kiedy wyszliśmy z lasu, ciemna bryła hangaru wyrosła ścianą przed nami. Okrążyliśmy ją i poszliśmy do mieszkającego przy warsztacie ośrodkowego majstra od wszystkiego spytać o stalową linę. Lecz Kudra lin nie miał. Paweł, zgnębiony tą wiadomością, usiadł na polowym łóżku, zwiesił głowę i chyba myślał o przewinieniu, które przyjmował na siebie. Inaczej być nie mogło. To on czekał na spotkanie szkwału, to on, luzując żagle, nucił refren piosenki „Płyn łódko, płyn łódko, płyn łódko nam”, chwając tym dzielność jachtu i swoją. Dopiero teraz, po najważniejszej pracy, kiedy już było wiadomo, że uszkodzenie masztu nie jest groźne, kiedy niepokój o los flagowej jednostki klubu był poza nami, teraz w świetle elektrycznym, jakie znaczyło nas żółtawymi promieniami, teraz dopiero widziałem na twarzy Pawła piętno moralnej odpowiedzialności. Nie materia, nie drewniany drag rozpęknięty przy pięcie, ale odpowiedzialność za przewinienie spowodowała smutne pochylenie głowy sternika i tępe zapatrzenie w podłogę.

– Trzeba iść na kolację, Paweł, a jutro pojedziesz do Gorzowa po stalówkę.

– Dobrze, oczywiście – powiedział i dźwignął swoje duże ciało. Poszedł za mną bezwolnie, jakby był moim lub zgoła swoim własnym cieniem, ale w połowie drogi do restauracji, gdzieś na wysokości plaży przystanął i powiedział:

- Chłopcy stracą kilka godzin pływania.
- Trudno.
- Nie powinni stracić ani jednej chwili.
- Roboty awaryjne też są nauką.
- Posłuchaj, stary, oni nie mogą stracić ani jednej chwili pływania.
- Rozpocznijmy pływanie wcześniej.
- Stracą. Obojętnie, co zrobicie, stracą. Posłuchaj mnie, ja wsiądę teraz na motor, a jutro rano będę z powrotem.

Uparł się. Nie mogłem go przekonać, że nocą w mieście nic nie załatwi. Najwidoczniej potrzebował ruchu, potrzebował czynu, który by jak najprędzej doprowadził jacht do stanu używalności. Tylko „Zefir” pod żaglami mógł go uspokoić. Pospiesznie uściśnął mi dłoń i prawie biegiem zawrócił pod hangar, gdzie garażował swoją „Jawę”. Jeszcze z daleka, kiedy zniknął już w mroku, zawołał, że jutro raniutko będzie z powrotem. Niepotrzebny jest ten pośpiech – myślałem patrząc za nim – obiektywnie niepotrzebny, ale jemu potrzebny, a nawet konieczny, gdyż jego obiektywna racja jest taka, że jacht jak najprędzej musi być na wodzie, musi ucieszyć go nową sprawnością. Niech jedzie, jeśli ma taką potrzebę. Nie można go było zatrzymywać. Nie można mu było proponować ominięcia rozterki, chociaż to mijanie jest dziś powszechne.

Poszedł i zniknął w mroku, a ja powoli szedłem do wyjścia z kempingu, zastanawiając się nad zdarzeniami minionego dnia: Krystyna i jej telegram, inżynier i jego murzyni, milicjant i zasadzka na złodziei, Paweł i uszkodzenie jachtu, małe to zdarzenia, prawie codzienne. Ktoś jest szalbierzem, ktoś martwi się przewinieniem, ktoś tropi, ktoś jest ścigany, ktoś męczy się w małżeństwie, a ktoś inny się żeni. I chociaż jest wieczór, dzień zdarzeń jeszcze się nie skończył: Paweł wyjeżdża po wantę, czeka na mnie Krystyna, czeka milicjant. Obejrzałem się na stok. W oknie domku Krystyny było światło. Światło, sygnał jej obecności informuje, że ona jest i czeka.

Dochodzi więc jeszcze i to, że ktoś na kogoś czeka. Na nią też czekają, matka spieszy się, by oczekiwanie nie było zbyt długie, a powrót pewny. Dzisiejszy wieczór nie może być beztrocki, jak przedpołudnie, chociaż Krystyna nie chce o niczym mówić. Trzeba zacząć mówić, by przygotować jutrzejszą rozmowę. Trzeba powiedzieć matce, trzeba wykrztusić słowo, którego nawet Krystynie nie chciałem powiedzieć. Trzeba się wypowiadać nie przed człowiekiem kochanym, a obcym i wręcz przeciwnym. Ale ten człowiek przyjeżdża z obiektywną racją. Jak więc potraktować jego intencje? Wczoraj, jeszcze przedwczoraj wszelkie związki międzyludzkie zdawały się być proste. Dzisiaj są zagmatwane. Inżynier mówił, że nie lubi komplikować sobie życia, ale też czekał na swoją dziewczynę, by wreszcie w imię tego czekania przyjąć naiwne wręcz tłumaczenie przyczyn jej nieobecności. Przyjął, bo chciał przyjąć. Nie lubi sobie komplikować życia, gdyż jest człowiekiem rzeczowym i we wprost matematycznej rzeczowości mieści się jego sposób bycia. Rzeczowy robot. Bohater dni, w których gwiazdy zastępuje się nowymi gwiazdami. Konstruktor, który twierdzi, że zmienia świat. I go zmienia.

– Panie redaktorze – zatrzymał mnie przy bramie Franek – pana kolega, ten fotograf, kazał powiedzieć, że poszedł na wesele.

– Rozumiem, na wesele tej dziewczyny.

– Ja też tam idę. Zostałem tylko chwilę, by panu powiedzieć.

– Dziękuję panu.

Z nocy wyłonił się stróż w grubym kożuchu. Przystanął obok nas i przysłuchiwał się rozmowie z obojętną miną.

– Co słyhać, panie Kozera? – spytał go Franek.

– Co może być słyhać. Nocka nadchodzi.

– Kierownik dzisiaj przyjeżdża.

– Powiedzieć mu o tamtym?

– On już wie, a jak spyta, opowiedzieć. Ale nikomu więcej.

– Co ja mam do gadania. Stróż nocny jestem, a nie jakaś pleciuga.

– Dobranoc panu.

– Dobranoc, panie Franek.

Rozstaliśmy się przy kiosku. Franek poszedł szosą w kierunku pegeeru, a ja do „Chaty za wsią”, gdzie jak na tę porę było dość



Neptun czeka, 1966 r.

dużo osób. Wśród wielu innych, przy jednym ze stolików siedział sekretarz komitetu z żoną, prokuratorem i inżynierem. Ukłoniłem się. Sekretarzowa przysłała mi miły uśmiech, uśmiechnął się sekretarz, mężczyzna już trochę podłysiały o twarzy owalnie tatusiowatej, uśmiechnął się i mrugnął prokurator. Za nimi, na tym miejscu, jakie zajmowaliśmy podczas dancingu, siedzieli znajome z kempingu studentki w towarzystwie ratownika i nieznanego młodzieńca. Przy trzecim, nisko pochyleni nad stolikiem, kiwali się rybacy, ten wiecznie senny cierpiący na

bezszenność i ten bez zębów. Wszędzie znajomi przechodnie z kempingu, zewsząd przyjazne uśmiechy lub gesty sąsiedzkiego porozumienia, jakby miejsce to było specjalną wyspą ludzkiej życzliwości. Oddawałem ukłony i uśmiechy, sam się kłaniałem i uśmiechałem, przekazując ludziom sztandar przechodni ludzkiej grzeczności. Szczególna to okolica – myślałem, okolica uliczna, gdzie ludzie są mijającymi się przechodniami. Za dwa, trzy dni, może za tydzień lub dwa rozjedziemy się w różne strony naszego dobrego kraju, gdzie będą znajomi, codzienne zajęcia, obrzydliwa uprzejmość wobec tych, do których chcemy utrzymać dystans, grzecznościowa uprzejmość dla tych, którym się kłaniamy, lecz nie chcemy z nimi rozmawiać – i będziemy wspominać okolicę kempingu, las wokół jeziora, „Chatę za wsią”. Będziemy trzymać w pamięci korowody grającej na gitarach młodzieży, którą naszymi ukłonami uczyliśmy naszej kultury bycia. Niewesoły masz dzisiaj dzień. Masz nastrój wielce podły, jeśli zaczniesz rozmawiać ze sobą o ludzkim mijaniu się, a zwykłą życzliwość,

życzliwość przechodnią, która chyba jest zewnętrznym wyrazem dążenia człowieka do dobra, nazywasz lub chcesz nazwać fałszem. Wiesz przecież, że świat nie składa się z fałszerzy, że z powodu fałszu prawie każdy człowiek boleje. Znowu powiedziałeś „każdy człowiek boleje”, co przecież jest jednoznaczne. Jesteś w stanie złudzenia, byłeś w stanie złudzenia, że można osiągnąć szczęście przez spokojne wycofanie się z biegu wydarzeń, ale być na świecie, znaczy być razem z nim. Już dawno tak gorzko o świecie nie myślałeś przy kolacji. Bo nieustannie wraca Krystyna.

– Pan dzisiaj sam – powiedziała Jagoda, przysiadając się do mnie.

– Jak pani widzi.

– A my jutro wyjeżdżamy, mamy dziś zieloną noc.

– Dlaczego tak prędko?

– Okoliczności. Przyszłam się z panem pożegnać, bo nie wiem, czy się zobaczymy. Wyjeżdżamy jutro najwcześniejszym autobusem.

– Niewykluczone, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

– Tak zawsze się mówi na odjeźdźnym. Ale to nieważne. Miło nam tutaj było. Gdybyśmy nie zdążyły, niech pan pożegna od nas panią Krystynę. Do widzenia, nie lubię się żegnać.

– Do zobaczenia – powiedziałem wstając od stolika, przy którym po zjedzeniu kolacji nie miałem co robić. Czy to nie dziwne – myślałem, idąc do kempingu – że gorzkie rozmyślenia nie odebrały mi apetytu. Nie ma w tym nic dziwnego, ani szczególnego – normalne życie. Przecież na stypie pogrzebowej je się i pije, i mówi o ludziach żywych, czyli o życiu, a nie o śmierci. A nasze były sąsiadki jutro wyjeżdżają. Wyjeżdżają Jagoda z Hanką, a przyjeżdża matka Krystyny. Znow ta matka. Jak ona może wyglądać? Wysoka, chuda, w okularach, z jędzowatym nosem i skrzekliwym głosem, z rękami chudymi i żyłastymi. Chodzi chyba sztywno i prosto, patrzy z góry, jest apodyktyczna. Z taką trudno będzie rozmawiać.

Niewidoczne niebo zaciągnęło się chmurami. Wiatr zelzał i zmienił kierunek. Wiał teraz, a właściwie powiewał z południa, co nie wróżyło dobrej pogody. Na kempingu główne światła już pogasty, tylko domki ustawione w równych rzędach na stoku dawały o sobie znać żółtymi prostokątami światła. W oknie pod piątką

było jasno. Szedłem i myślałem, co zrobić. Noc na zasadzkę nadaje się wybornie. Gdybym chciał płynąć na ryby, wybrałbym tę ciemną noc. W taką noc na wodzie nie ma odbłasku, a szelest fal zagłusza plusk wiosel. Jeśli noc jest dla złodziei, jest dobra i dla łapaczy. Mój tropiciel na pewno już zdążył ku cypłowi. Ale Krystyna. Trzeba iść i powiedzieć, że wrócę późno. Trzeba jednak przygotować sobie kajak – pomyślałem i skręciłem do przystani, gdzie nad szczytowym wejściem do hangaru świeciła się mała żarówka. Dwie ścieżki prowadziły na przystań. Jedna szeroka, a w prawo wąziutka, wijąca się nad samym jeziorem wśród olch i wysokiego zielska. Obie były równoległe do siebie i oddalone zaledwie kilka metrów, chociaż nawzajem osłonięte krzewami. Szedłem więc w mroku cichy i niewidoczny dla rozmawiających ludzi, którzy stali na głównym podejściu. Jeden głos był jakby zły i podniecony, a drugi pokorny. Przystanąłem przy olszynie.

– Mówiłem panu, żeby pan pilnował i łapał złodziei, a pan co zrobił?

– Robiłem jak pan kazał, panie kierowniku.

– Kazałem panu łapać złodziei, a nie oskarżać poważnych obywateli.

– Ja naprawdę widziałem, panie kierowniku, jak wrzucał rybnie łebki do jeziora.

– Kupił, panie Kozera, czy nie rozumie pan, że ryby można kupować?

– Rozumiem, panie kierowniku, ale na jego kajaku były łuski.

– Śniło się chyba panu. Niech pan mi więcej takich głupstw nie opowiada, że prokurator kradł ryby i obcinał rybakom wontony. Zasnął pan i śniło się panu.

– Na służbie ja nie śpię, panie kierowniku.

– No to zdawało się panu. Niech pan o tym zapomni i koniec.

– Jak pan kierownik każe.

– Mówił pan komuś o tym?

– Tylko panu Frankowi, a o łuskach jeszcze milicjantowi.

– Gaduła z pana, panie Kozera, jak pan będzie tak dalej gadał, może pan mieć zmartwienie.

– Co też pan kierownik mówi.

– Mówię, co wiem. Niech pan o tym wszystkim zapomni i niech pan dobrze pilnuje.

Na tym rozmowa się urwała. Stojąc przy olszynie, jakby powtórnie zasłuchany we fragment dialogu pomiędzy stróżem a kierownikiem, przypominałem sobie wszystkie spotkania z wesołym prokuratorem, którego widywałem codziennie przy różnych okazjach, a najczęściej z córeczką. Albo chodził z nią na spacer, albo grał z nią w badminton na małym placu przed budynkiem administracyjnym, uciesznie podskakując z rakieta, albo wypływał z wędziskiem na ryby. To on wybrał rybakom sielawę. Stróż nie kłamał. Ale dlaczego poobcinał wontony? Chciał zakosztować występnej przygody? – myślałem. – Może ten zawodowy ścigacz przestępców chciał raz poczuć dreszcz niepokoju, jaki towarzyszy ludziom, których oskarża? Ale dlaczego utopił wontony? Wybrał ryby i czyn ten wobec prawa można uznać jako przestępczy, ale można i śmiać się z niego, nazwać przygodą wakacji. Jednak dlaczego wontony? Prokurator z zawodu, z usposobienia zażywny, pełen pogodnego humoru, sympatyczny człowiek, który zdawał się wprost promieniować życzliwością do ludzi, przekroczył normy prawne, jakich



codziennie przestrzega. Może zmęczył się codzienną, zawodową prawością, może drobne przekroczenie prawa stało się częścią jego odpoczynku? Może człowiek, który znał wszelkie ograniczenia, jakie przynoszą potworne książki z paragrafami, odczuwał potrzebę odejścia od nich aż do przekroczenia. Czy można przyznać mu do tego prawo? Prawo do przekroczenia prawa w imię zaspokojenia doraźnej chęci, a co za tym idzie – prawo do udawania, że normy prawne przez niego nie zostały przekroczone? Utopienie wontonów mógł spowodować przypadek. Przypadek. Słowo w sam raz wynalazione po to, by szukać usprawiedliwienia. Los zrzucił, przypadek się zdarzył. Oto nadrzędna sprawiedliwość tak już powszechna, że aż nieprawdziwa. Komedia. Co teraz mam zrobić? Czy brać udział w komedii pozornego łapania przestępcy, jeśli prokuratora staram się usprawiedliwić? Dałem mu prawo do odpoczynku od prawa.

Noc zdawała się stać cicho i nieruchomo, jakby na czatach moich myśli i zdarzeń, które w mrocznym ujęciu mogłyby udawać, że ich wcale nie było, jak i ja udawałem, że całe otoczenie poza wiatrem, który właśnie ucichł, i wodą, która chlupała o brzeg, dla mnie nie istnieje. Udawałem przed sobą. To dowiodła obecność Krystyny. Moje udawanie było oczywiście systemem mego postępowania i przez swą ciągłość nie było już udawaniem, a wycofywaniem się, bym mógł zobaczyć i milicjanta, i prokuratora, i rybaków z dogodnego oddalenia. Stałem więc jak kiedyś, obojętnie prawy, przez tę prawość obiektywny i beznamiętny, człowiek wolnego uśmiechu. I z tym wolnym uśmiechem pobłażania, zadowolony z siebie, poszedłem do Krystyny. Niech się ścigają, ukrywają – myślałem – niech się świat toczy na małych rolnkach, ja idę tam, gdzie iść potrzebuję, do piątego prostokąta w naszym segmencie domków.

Zapukałem do drzwi Krystyny.

XVI

Godzina ósma na kempingu podczas deszczowej pogody jest porą do wstawania zbyt wczesną. Leżałem na połowym łóżku w poczuciu bezwładnego zadowolenia i zasłuchany w monotonne uderzenia kropel deszczu w dach trwałem na granicy półsnu. Zdawałem sobie sprawę z tego, że świat przedmiotów realnych istnieje, ale był on jakby poza mgłą, w której tkwiłem do tego stopnia, że sam dla siebie zdawałem się być nieobecny. Gdyby w tej chwili była jeszcze przy mnie Krystyna ciepłą obecnością ciała, byłaby chyba tak daleka, jak odległe były drzwi, żarówka, ręcznik w zielone paski, przedmioty bliskie, lecz oddalone stanem uśpienia. Znałem ten stan. Nazywałem go najcudowniejszą nieobecnością lub strefą ciszy. Nie ma w tej strefie żadnej gwałtowności. Jest spokojna, dojrzała, wprost niezmierną łagodność kształtów wszelkiej rzeczy. W tej okolicy nauczyłem się wybaczać i rozumieć. Pukanie do drzwi zakłóciło ciszę, świat zwyraźniał, realne przedmioty stały się codzienne i rzeczywiste.

– Byłem na weselu – oznajmił wtaczając się w drzwi Romek.
– Dużo wódki – dodał i oklapł na łóżko. Wyciągnął spod marynarki aparat fotograficzny, troskliwie położył go na stole i jeszcze raz powtórzył, że był na weselu.

– Czujesz się źle? – spytałem, widząc, że chwije się i pokłada na łóżku.

– Trochę źle – wydukał. – Pada deszcz, a ja deszczu nie lubię – uzasadnił przyczynę złego samopoczucia.

– Połóż się i odpocznij.

– Dobrze, ale najpierw muszę ci wszystko opowiedzieć.

– Prześpij się, opowiesz później.

– Wykluczone. Muszę zaraz. Bo rozumiesz, ja piłem z milicją. Opijaliśmy jej tryumf.

– Miałeś być na weselu.

– Na weselu opijaliśmy tryumf milicji. Podszedł do mnie, pojmujesz, około godziny pierwszej, jak tylko przyszedł i zaczął wymyślać na ciebie, że go chciałeś wykiwać. On do ciebie z sercem i duszą, a ty go na rozstajne drogi, pojmujesz.

– Jeszcze niewiele.

– No widzisz. Muszę ci wszystko dokładnie opowiedzieć. Po-tem powiedział, że chociaż ty go za nos wodziłeś, to nawet lepiej. Pojmujesz.

– Jeszcze nie.

– No widzisz. Lepiej, bo on sam złapał złodziei, paskudnych chuliganów, co obcinali, rozumiesz, te rzeczy...

– Wontony.

– Skąd wiesz?

– Opowiadaj dalej.

– No widzisz, a nie chciałeś. To są złodzieje z Kurowa. Jeden z nich, taki główny herszt, podobno chodzi ubrany w portki z ćwiekami i w taki sam kapelusz. Widziałem go kiedyś na kempingu. A ty go widziałeś?

– Widziałem.

– To ten sam. Złapał ich z sielawą. Przyznali się, że urznęli te, jak one się nazywają?

– Wontony.

– Zatelefonował do powiatu i zabrali ich do kozy.

– Kogo jeszcze złapał?

– Ich dwóch i taką bladą dziwkę, co śpi w namiocie za kempingiem. Ale nie tylko to ci chciałem powiedzieć. Ciebie też chcą zabrać do kozy. Milicjant powiedział, że ciebie też zamknie, bo władzy nie udzieliłeś pomocy. Tak mi powiedział. To ci chciałem powiedzieć.

– Dziękuję ci.

– Nie szkodzi. A teraz pójdę spać, bo mnie ta paskudna pogoda zmogła – wymamrotał, już leżąc w łóżku.

Po chwili spał, chrapiąc i pojękując, jakby we śnie przeszkadzał mu ogromny ciężar. To tak ma się rzecz – myślałem – prokurator miał pobratymca. Wybierał ryby, ale nie obcinał wontonów. Dobrze, że nie obcinał, szkoda, że obcięli je chłopcy z ćwiekami na kapeluszach, których widzieliśmy przy ognisku. Stróż porządku publicznego spełnił swój obowiązek. Jest zadowolony, może sobie wypić, może dostanie premię za dobrą służbę, a może zamiast trzech naszywek plutonowego przypnie sobie do naramienników odznaki sierżanta. Dobrze na nie zasłużył. Starał się.

Ubierając się, patrzyłem na leżącego bezwładnie Romka, na porozrzucane byle jak ręce, na skrzywioną jakby w bolesnym skurczu twarz. Cała ta złożona nadużyciem alkoholu mizeria ludzka zdawała się prosić o współczucie każdym głośniejszym jęknięciem. Współczułem mu i tylko na tyle było mnie w tamtej chwili stać. Przed dwoma, trzema dniami leżące tutaj bez świadomości ciała było zdolnym fotografikiem. Przed dwoma dniami rozpoczął swój pijacki cykl, w którym będzie obłądnie trwał, aż w pewnej chwili, wyczerpany, zbolały i markotny, zmizerowany i zawstydzony, rzuci się z całą pasją do pracy, by znów z zajądłą gwałtownością spalać energię. I w tym tylko pociecha, że dzisiaj może być ostatni dzień z trwającego właśnie cyklu. Dźwignąłem bezwładne nogi Romka na łóżko. Ułożyłem go w bardziej naturalnej i wygodniejszej pozycji, rozluźniłem krawat i rozpiąłem koszulę: nic nie czuł, nic nie widział. Ziało od niego skwaszonym alkoholem, na czoło wystąpiły kropelki potu, przez co zdawał się być jeszcze bardziej bezradny. Miała rację Krystyna – pomyślałem – że nie chciała po wypiciu wódki. Ma swoją mądrość. Widok pijanego mężczyzny musi być paskudny. Oczywiście przesadzał z tym niebezpieczeństwem dla mnie. Nic ze strony władz mi nie grozi, ale że przyszedł tutaj, należy mu się drobna rekompensata. Mógł przecież iść do swego domku. Przyszedł chyba ostatnim wysiłkiem. Opowiedział i zasnął. Dobry, pocziwy Romek. Co mogę zrobić w podzięce za okazaną życzliwość? Teraz nic. Litować się. Ale czym jest litość? Spał coraz spokojniej. Otworzyłem okno. Deszcz przestał padać, ale całe zboże nasycone było wilgocią i jakby nią przytłoczone. Na ścieżkach

nikogo nie było. Zachlapaną okolica wydawała się być przetrzebiona przez siapaninę. Po niebie wlokły się niskie chmury, granitowo ciężkie i brudnoszare, jakby przydymione wyziewami z chłodnego i wilgotnego pieca. Dziś czwartek – pomyślałem – jeśli przez dziś, noc, jutro i następną noc nie przewieje, będziemy mieć paskudny rejs. Najgorszy, jaki można sobie wyobrazić. Ale powinno przewiać. Trzeba będzie posłuchać komunikatów meteorologicznych. A tamtą rzecz też się jakoś załatwi. Krystyna powiedziała, że się załatwi, chociaż nie chciała mówić, chociaż zakrywała mi usta przy każdym słowie o przeszłości i przyszłości. Zupełnie jak rano.

Kiedy tak stałem przy oknie, wbrew paskudnej pogodzie pogodny i optymistyczny, zobaczyłem wjeżdżającego na teren kempingu Pawła. Zamknąłem Romka, żeby mu nikt nie przeszkadzał we śnie i zabłoconymi ścieżkami poszedłem do hangaru, gdzie podjechał Paweł.

– Zmokłem trochę, ale mam stalówkę.

Twarz Pawła znów była uśmiechnięta. W ortalionowej kurtce, w kasku, z wielkimi okularami motocyklisty, wydawał się jeszcze potężniejszy niż był, a radość z powodu przywiezionej linki wprost rozsadzała to potężne ciało.

– Doskonale. Założymy „Zefirowi” nowe wanty.

– Zaraz?

– Możemy zaraz.

Poszliśmy na przystań. Pogoda w tym dniu była wyjątkowo parzywa. Mniej więcej co godzinę przelatywała chmura pozornie nieróżniąca się od tych, jakie ciągnęły od rana; niskie, ciemne, pełne deszczu, który siekł wodę prawie prostopadłymi strugami. Kryliśmy się do stojących przy przystani domków, a po uciszeniu, które przychodziło tak nagle jak deszcz, wychodziliśmy na pomost sprzątać „Zefira”. Chociaż flotylla nasza została dokładnie przygotowana do sezonu, sprawdzaliśmy i kazaliśmy chłopcom sprawdzać każdy szczegół, słowem wszystkie jednostki korzystały z bosmańskiego dnia. Chłopców rozdzieliliśmy na poszczególne jachty. Oczywiście najwięcej pracy miała załoga „Zefira”, ale i wokół chorego jachtu wszyscy krążyli z największą troską. Zdawać się mogło, że chce-

my swoim udziałem przy remoncie zrekompensować mu krzywdę i odrestaurować go tak, iżby nie miał na sobie ani śladu ciężkiej rany. Nikt się tutaj nie lenił, nikt nie objął. Każdy drobiazg był wprost głaskany dziesiątki razy. Każda linka przeglądana centymetr po centymetrze. Każde wiązanie jeszcze raz zabezpieczone. Powoli wracał do siebie. Około południa niebo się trochę przetarło. Prawda, że nie było jeszcze widać jaśniejszych punktów nad nami, ale niski nawis chmur dźwignął się nieco wyżej, co w takiej sytuacji było niemałą pociechą. Najważniejsze jednak, że przestało padać, a wiatr równiutko i ciągle marszczył jezioro. Aż wreszcie przyszła chwila, że po uszkodzeniu nie było prawie śladu.

– Dobrze jest – wołał rozradowany Paweł – ani śladu po awarii. Będziemy mogli wyjść w rejs – zatarł ręce. – Jest teraz mocniejszy niż był – zapewniał nie tylko nas, ale samego siebie.

– Przejaśniło się – powiedział Kazik – wiaterek słaby, bo słaby, ale jest.

– Czy Andrzej jutro przyjedzie? – spytał Pawła.

– Na pewno przyjedzie, obiecał, że przyjedzie.

– Dobrze. Dzisiaj będziemy przerabiać zwroty i dochodzenie do boi.

– Posłuchajcie, rycerze – przemówił do kursantów bosman – od dzisiaj rozpoczniecie poznawać duszę jachtu...

To sformułowanie dość często powtarzało się w ustach naszego bosmana. Według jego słownika duszę miał nie tylko jacht jako całość, ale miał ją maszt, miały liny, miał kadłub, słowem dusza była ukryta w każdej ważniejszej części jachtu, ale co było ową tajemniczą duszą, nigdy kursowi nie wyjaśniał.

– Kiedy poznamy duszę jachtu? – pytali bosmana pół żartem, pół serio chłopcy.

– Kiedy z oczu zejdzie wam kurza ślepotą, a z rąk zetrze się mazgajska bezwładność – odpowiadał. – Dusza jachtu to jest ostatnie wtajemniczenie – szamał legendę – a wy nie znacie jeszcze pierwszego, rycerze. – Mydlił im oczy legendą i prawdą, do której mogli tylko wzdychać i uczyć się skomplikowanego języka żeglarzy, który miał być pierwszym stopniem wtajemniczenia. Nie protesto-

wałem przeciw tej tajemniczości, gdyż wiedziałem, że rzekoma dusza to nic innego jak umiejętność i opanowanie praw wody. Będą ją poznawać każdego dnia, aż sami dojdą do chwili zrozumienia, że dusza to prawa fizyczne, których nikt nie widzi, ale każdy z nich korzysta, to wreszcie szczególne właściwości jednostki.

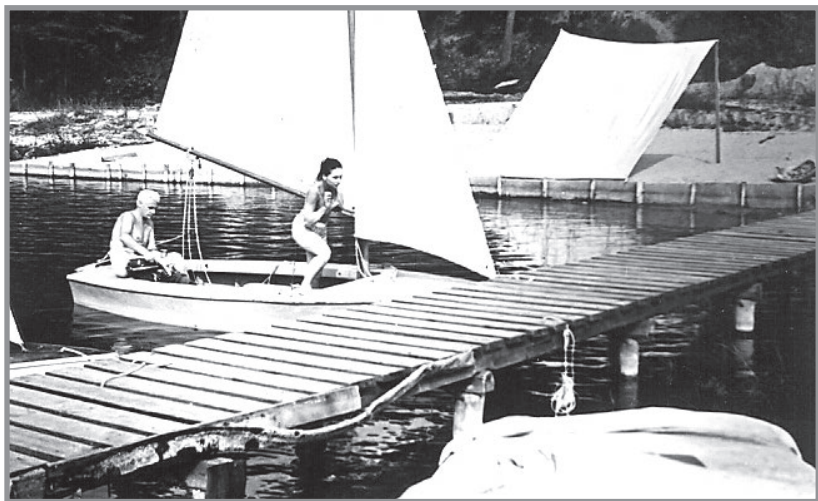
– Załoga „Pośwista” dzisiaj trzyma wachtę – kończył przemówienie bosman do stojących na skraju pomostu w równym szeregu chłopców – pozostałe załogi na jachty.

Odbiliśmy od pomostu. Rozpoczęła się żmudna i, można powiedzieć, nawet nudnawa dla nas praca. Każdy z załogi kolejno zajmował stanowisko manewrowe, raz przy fok, to znów przy grocie lub mieczu, by dojść do steru i wielokrotnie powtarzać każdy manewr: zwrot na wiatr, zwrot z wiatrem, ciągle w kółko to samo, normalna robota szkoleniowa, normalne ćwiczenie, przez które każdy musi przejść, aż pozna duszę jachtu. Chłopcy nie byli nowicjuszami. Mieli za sobą przeszkolenie teoretyczne. Wielu z nich pływało w załogach. Za rok, może za dwa rozpoczną szkolenie na stopień sternika jachtowego. Ale manewrowanie pod okiem instruktorów przychodziło im z trudnością.

– Jestem speszony – skarżył się zawsze pewny siebie Zbyszek po nieudanym dochodzeniu do boi.

– Powtórz jeszcze raz – mówiłem – i nie pesz się. Na wodzie nie ma takiego terminu. Na wodzie jest obliczenie inercji jachtu, hamowanie żaglami, są manewry, a nie peszenie się.

Powtarzał, powtarzali i inni. Byłem z nich zadowolony. Uważni, inteligentni, przejęci doraźną funkcją dowódcy jednostki. Głos przy wydawaniu komend łamał im się, nie brzmiał pewnie. Ukradkowymi spojrzeniami na mnie szukali potwierdzenia, czy w prawidłowym momencie wydali ten lub inny rozkaz, ale na każdej twarzy widziałem wyraz skupienia i aż nadmiernej chęci, by zrobić dobrze. To była prawdziwa rekompensata za trud Pawła, który wtajemniczał ich w tajniki konstrukcji jachtów, Ludka, który na makietach uczył ich manewrowania, Kazika, nauczyciela robót bosmańskich, Zenka, mistrza od prawa drogi i sygnalizacji. To dobrze, że Zbyszkowi wychodzą manewry naj-



Koniec rejsu, 1971 r.

gorzej – myślałem, obserwując chłopców – straci trochę pewności siebie. Może nie pewności, a buńczuczności. Nabierze szacunku do wody. To inteligentny i zdolny chłopiec, ale musi wiedzieć, że z żywiołem można obcować tylko wtedy, kiedy się go pozna.

Mały, dochodzący zaledwie do dwóch stopni wiatr sprzyjał szkoleniowemu kołataniu się po akwenu. Po południu będzie to samo. Dodamy tylko stawianie na kotwicy i odchodzenie od kotwicy. Skończyły się przyjemnościowe wypady do zatoczek. Jeśli jutro popłyniemy przez pierwszy kanał do źródelka, to tylko po to, by zrobić wstępne regaty docelowe, by poznali prawo drogi w praktyce.

– Szkoda, że wiatr taki mały – narzekał Zbyszek, jak zwykle on, po udanym zwrocie z wiatrem, za który nawet go nie pochwaliłem.

Pływaliśmy do godziny piętnastej.

„Zefir”, po którym dzisiaj wcale nie było znac wczorajszych uszkodzeń, pierwszy zszedł z pola manewrowego. Za nami płynął „Powiew” pod Pawłem, a na końcu „Poświst” z bosmanem przy sterze. W tym porządku dobiliśmy do przystani, gdzie wachta portowa kończyła objąć brzeg pomostu starymi chodnikami.



– Po obiedzie zmienimy wachtowych – powiedziałem do Kazika. – Po jednym z każdej załogi pójdzie na wachtę, a tych weźmiemy na pływanie. Ode mnie do robót portowych zostanie Zbyszek.

– Dlaczego, panie komandorze? – spytał stojący przy mnie Zbyszek.

– Dla ciebie dziś za mały wiatr.

– A za to „dlaczego” – wtrącił bosman – obejmiesz funkcję koka i wyszorujesz garnki.

Na ramieniu Zbyszka spoczęła ciężka i duża ręka Pawła.

– Posłuchaj, przyjacielu, nigdy nie mów na wodzie „po co” i „dlaczego”. Nigdy, pamiętaj! Jest w naszym klubie bardzo dobry sternik, ale kiedyś popełnił drobny błąd, że wziął do załogi takiego żeglarza, który pytał „po co”. Wypłynął i przy zwrocie ukruszyło się wiązanie sterowe. Sternik zawołał „wiosło”, a nasz rozkoszny żeglarz, patrząc jak cymbał, spytał „po co”. I ster poszedł na dno.

– I wyłożyli się? – spytał Zbyszek z prawdziwym zaciekawieniem.

– Nie wyłożyli się – burknął Paweł – nie wyłożyli się, tylko ster utopili.

– Popłyniemy na obiad – zwróciłem się do Pawła.

– Popłyniemy – odpowiedział poważny i zakłopotany.

– Usiądź do steru – rzuciłem przez ramię, zajmując miejsce przy szotach. Bąknął coś niezrozumiale, ale usiadł na rufie i podał komendę do biegu wstecznego.

– Patrzenie i poznanie duszę jachtu – mówił Kazik do zebranych na pomoście chłopców. – Ten manewr nazywa się biegiem wstecznym, uważajcie jak to się robi.

„Zefir” powoli, jakby niechętnie wycofywał się za stanowiska cumowania, a kiedy minął równoległe do brzegu położone ramię pomostu, sternik przesunął o kilka stopni płetwę sterową. Wtedy łódź zatrzymała się, jakby zawahała, w którą stronę ma płynąć, ale dziób już odpadał i żagle nabierały równo dmuchającego wiatru.

– Dobrze? – powiedział do mnie Paweł z wyraźną intonacją pytania w głosie.

– Dobrze – odpowiedziałem automatycznie, trochę zaskoczony. Znałem Pawła kilka lat i jeszcze nigdy, absolutnie nigdy i u nikogo nie szukał potwierdzenia doskonałości swoich manewrów. Wczorajszy wypadek musiał zgnębić go niewiarygodnie. Mocno musiało tkwić w nim poczucie winy. Nic nie pomógł fakt, że „Zefir” znów pysznił się żaglami, że oddałem mu ster na moim jachcie. Uwaga Zbyszka dotknęła jeszcze niezabliźnionej rany – pomyślałem, kiedy płynęliśmy do dużej przystani obok kąpieli-ska. Odcinek drogi wodnej pomiędzy pomostami przepłynęliśmy w ciągu kilku minut i doszliśmy do pustego pomostu w miejscu, gdzie dobijałem w dniu, kiedy po raz pierwszy spotkałem inżyniera. Paweł znów idealnie wykonał manewry, ale tym razem nie zdążył spytać, czy dobrze zrobił. Uprzedziłem go pochwałą w chwili, gdy „Zefir” doszedł do drewnianych bali na odległość papierosa i stanął.

– Idź do gospody i zajmij miejsce, stary – rzekłem do Pawła – a ja zobaczę, co się z Romkiem dzieje.

– Co mu się stało?

– Odsypia nocną birbantkę.

Ale Romka nie zastałem w domku. Okno było uchylone, a na stole leżała kartka z jednym słowem – „Wyjechałem”.

XVII

Pierwszą osobą, jaką zauważyłem w lokalu, była Krystyna. Siedziała na wprost wejścia w towarzystwie starszej pani z włosami związanymi w kok. To matka – pomyślałem. – Nie tak wyobrażałem sobie jej matkę. Była to osoba niższa od Krystyny o pulchnej i niezmiernie miłej twarzy. Ubrana była w szarą bluzkę, w dość szeroką spódnicę z cepeliowskiego materiału, na szyi miała naszyjnik z modnych krążków rogu, plecy osłaniał jej szal. Robiła wrażenie człowieka doświadczonego i bardzo mądrego, a nade wszystko dobrego. Dobra babunia – pomyślałem – ale dlaczego Krystyna ją tak demonizowała? Ukłoniłem się. Krystyna skinęła głową. Oczy starszej pani spoczęły na mnie bez charakterystycznej dla zainteresowanych przychyłnej lub nieprzychylnej badawczości. Było to obojętne spojrzenie trochę zmęczonych oczu. Dopiero po chwili, kiedy Krystyna pochyliła się do niej coś szepcząc, a chłopiec pozdrowił mnie głośno, pani spojrzała na mnie z wyraźnym życzliwym zainteresowaniem. Cóż z tego, że tak mile na mnie patrzy – myślałem – jeśli przyjechała ją zabrać i wywieźć do Katowic, gdzie czeka na przypisaną do siebie kobietę mężczyzna, prawy mąż, urzędowo wpisany w dokumencie ślubu, który to dokument dał mu prawo żądania jej powrotu. Ale przecież nie on powrotu się domagał, a ona, matka, ta sympatyczna z wyglądu osoba, którą w tej chwili muszę traktować jako przeciwnika. Nikt z poznanych nad akwenem ludzi nie był moim przeciwnikiem. Nikogo tak nie traktowałem. Nie był nim milicjant, gdyż obaj działaliśmy zgodnie z racjami, jakie sobą reprezentowaliśmy. Nie był nim inżynier, gdyż jego postawa była mi całkowicie obca, absolutnie obojętna, chociaż godna poznania. Teraz inaczej. Nasze intencje wyjściowo były zgodnie przeciwstaw-

ne; oboje chcemy ją zabrać. Może ona nie okaże się przeciwnikiem. Sojusznikiem też nie będzie. Na pewno nie będzie – myślałem.

Do obiadu usiadłem tak, bym mógł ją ciągle widzieć. Rozmawiały ze sobą pogodnie i chyba wesoło. Szczególnie patrzyłem na Krystynę. Zdawała się być jeszcze ładniejsza niż była. Utrwalałem w pamięci każdy jej ruch, każde drgnienie twarzy, każde pochylenie głowy, nawet zwisający nad policzkiem kosmyk włosów był obecny w moich myślach i sprawiał mi radość tym, że był, i przykrość w tym, że był daleko. Bezwiednie odpowiadałem na pytania Pawła i Kazika. Nieznaczącymi monosylabami uczestniczyłem w ich dyskusji, prawie nie wiedząc, o co chodzi. Dzisiaj ją poznam – myślałem o matce – dzisiaj albo jutro musimy rozstrzygnąć. Do ich stolika podeszła sekretarzowa z córeczką. Dostawiły jeszcze jedno krzesło. Teraz Krystyna była zasłonięta przez szerokie plecy pani Stanisławy, ale jak zauważyłem, pochylała się do tyłu lub do przodu, by dyskretnie spoglądać w naszą stronę. Spojrzenia te nie mogły ujść uwadze pozostałych pań. Pani Stanisława przesunęła się z krzesłem w prawo, bliżej matki, która od czasu do czasu, niby rozglądając się po sali, muskała mnie pocziwym spojrzeniem spokojnych oczu. Teraz widziałem w nich życzliwe, a nawet jakby przymilne zainteresowanie, co przyjąłem jako dobrą wróżbę dla dzisiejszej rozmowy. Panie skończyły obiad przed nami, ale wyszliśmy z gospody prawie razem i kiedy dochodziliśmy do kiosku, podbiegł do mnie syn Krystyny, że mama i babcia proszą mnie na chwilę. Podszedłem.

– Słyszałam od Krysi – powiedziała do mnie matka – że pan woził ją i mego wnuczka na żaglówkach, a ponieważ mamy zamiar zrobić sobie domowej kawy, chciałyśmy pana zaprosić.

Głos miała sympatyczny, sposób mówienia jakby trochę gderliwy, z tą dobroduszną gderliwością, jaką się czasem spotyka u pogodnych starszych pań.

– A ja mam trochę dobrej nalewki – wtrąciła pani Stanisława – nie ma tego dużo, ale po kieliszku do kawy starczy.

– Jak będzie nalewka i własnej roboty sernik, bo nie powiedziałam jeszcze, że mam sernik, to zrobimy prawdziwą ucztę.

Nie spodziewałem się takiego powitania i przyjęcia.

– Oczywiście, tylko powiem kolegom, że będę zajęty.

Kiedy dochodziliśmy do szosy, z hukiem przejechał autobus. Od-
ruchowo spojrziałem w kierunku przystanku i na czele małej grupki
osób zobaczyłem idącego inżyniera w towarzystwie kobiety.

– Nasz znajomy wraca z przystanku z panią – powiedziała
Krystyna.

– Wreszcie się doczekał – zawołała z radosnym zdziwieniem pani
Stanisława. – Czekał, aż się doczekał. Dobrze, że wreszcie przyjecha-
ła, bo tak wychodził na przystanek, tak krążył, wyjeżdżał, że aż mi go
było żal. Taki, powiadam pani, sympatyczny i kulturalny człowiek, że
wszyscy mu dobrze życzyliśmy. Prawda, proszę państwa.

– Oczywiście – powiedziała Krystyna.

– Jak ktoś na kogoś mocno czeka, to się zawsze doczeka – wtrą-
ciła matka Krystyny – swój swego zawsze znajdzie. Moja Kryśka
z Wojtkiem, z moim zięciem, też się szukali, aż się znaleźli.

– Wczoraj posiedzieliśmy trochę przy kawie z prokuratorem
i z tym panem inżynierem, naopowiadaliśmy sobie, a moją małą
był wprost zachwycony i obiecał, że przewiezie ją samochodem.
Bardzo grzeczny człowiek.

– A pan coś nic nie mówi, panie redaktorze – powiedziała matka.

– Z prawdziwą przyjemnością słucham rozmowy pań.

– Słuchać to słuchać, ale i powiedzieć coś trzeba. Ja jestem czło-
wiekiem starej daty i jak widzę, że ktoś milczy, to zaraz sobie myślę,
że coś on tam knuje – zwróciła się do mnie pani matka z wesołym
błyskiem w oczach. – Ale niech pan nie bierze tego do siebie. Znałam
kiedyś w młodości jednego oficera marynarki, przystojny był chłó-
pak, jak malowanie: mundur, galony, a musicie państwo wiedzieć,
że w moich czasach mundur to było wielkie coś. Przystojny był taki,
że wszystkie baby za nim patrzyły, ale całkiem nierozmowny. Sło-
wo od niego trzeba byłoby za ciężkie dolary kupować. Widocznie
ci żeglarze wszyscy tacy nierozmowni – uśmiechnęła się do mnie.
– Powiem wam szczerze, że może nawet coś by z nas było, ale mat-
ka nieboszczka powiada do mnie: „Będziecie tylko siedzieć w domu
i milczeć do siebie”. Wysłałam za nieboszczyka ojca Krysi i już czło-
wiek ma wnuka.

– Na wodzie się nie mówi – wtrąciła Krystyna. – Tam się wydaje rozkazy lub słucha rozkazów.

– Ale tu nie woda, moje dziecko. Ziemia, najprawdziwsza ziemia.

– Przepraszam panie bardzo, muszę iść powiedzieć kolegom, że przyjdę trochę później.

– Nareszcie się odezwał. Niech pan idzie, ale niech pan zaraz wraca, bo kawa samym kobietom nie smakuje.

Przyznać muszę, że podczas tej rozmowy milczenie moje było trochę dziwne, ale byłem zaskoczony miłym powitaniem, zaniepokojony przysłą rozmową z tą gadatliwą trochę, ale sympatyczną osobą, której niewątpliwie będę musiał wyrządzić przykrość wspólnym z Krystyną oświadczeniem, że jej powrót do męża nie jest możliwy. Gdyby była jędzą, jak ją sobie wyobrażałem, byłoby wszystko prostsze; łatwiej jest atakować człowieka niesympatycznego. Miałem jednak do czynienia z człowiekiem na swój sposób miłym, który od pierwszej chwili podszedł do mnie bardzo serdecznie. Może Krystyna już z nią o nas rozmawiała – przemknęło mi przez myśl – nie, to nie było możliwe. Matka mówiła o Krystynie i jej mężu jako o stadle małżeńskim.

– Słuchaj, stary – powiedziałem do Pawła czekającego na mnie przy „Zefirze” – muszę, niestety, jeszcze z godzinę spędzić na kempingu. Rozpoczynajcie zajęcie beze mnie.

– Musisz?

– Muszę.

– Jak muszę, to muszę, śpiewali Indianie – odpowiedział Paweł z cierpkim uśmiechem.

Szedłem do pań, ale muszę przyznać, bardzo niechętnie. Może Krystyna matce coś powie – rozważałem naiwnie – nie, nie może z nią teraz rozmawiać, najwyżej w nocy. Noc lub wieczór jest najodpowiedniejszą porą do takich rozmów. Czy nie za dużo od niej wymagasz? Chcesz ją odebrać mężowi i chcesz, żeby sama się o to starała? Dlaczego za dużo? Jeżeli mamy wspólne zamierzenie, nasz wkład w jego realizację powinien być wspólny. To jest oczywiste. Chyba oczywiste.

Nie poszedłem prosto do ich domku. Przeciąłem na ukos wilgotne ugorowisko, by dojść do siebie i przynajmniej zmienić grubą

flanelową koszulę w kratę na bardziej odpowiednie do takiej okazji ubranie. Włożyłem niebieską popelinową koszulę, szare spodnie, lekki sweterek, słowem przyodziałem się jak na kempingowe warunki dość elegancko. Wyjąłem z walizeczki paczkę papierosów „Carmen”, o które w tym czasie było na kempingu dość trudno, a na dodatek włożyłem do kieszeni zapalniczkę z pięknym orientальnym ornamentem wykutym w srebrze. Tak przystrojony i uzbrojony w szykowne przedmioty wyszedłem z domku. Prawdę mówiąc w starej koszuli, która pamiętała wiele żeglarskich wypraw, czułem się znacznie lepiej niż w tym umundurowaniu, ale szedłem przecież na oficjalną kawę, gdzie będzie starsza pani, od której tak wiele zależy. A starsze panie, wiadomo, lubią mężczyzn dobrze ubranych. Poszedłem na kompromis. Kiedy dochodziłem do domku inżyniera, drzwi otworzyły się i wyszedł mój sąsiad.

– Dzień dobry – powiedziałem z uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiedział poważnie z miną podobną do tej, jaka zaskoczyła mnie w poniedziałek rano.

– Mały jest nasz kemping, a jednak można mieszkać obok siebie i nie spotkać się przez cały dzień.

– Pogoda była paskudna.

– Zdaje się, że oczekiwana pani przyjechała. Nareszcie doczekał się pan.

– Oczywiście, że przyjechała. Nie mogło być inaczej. Jeśli ja z kobietą się umawiam, inaczej być nie może.

– Spóźniła się jednak.

– Spóźnienie każdemu się zdarzy, ale przyczyny były zupełnie inne niż pan mówił, zupełnie inne – strzepnął palcami, a na twarzy pojawił się trochę nonszalancki, trochę pogardliwy uśmieszek, którym inżynier zdawał się mówić: naplotłeś bzdur i basta.

– Życzę państwu miłego pobytu – powiedziałem z przesadnie niskim, obraźliwie grzecznym ukłonem, który zrobiłem odruchowo, jakby w odpowiedzi na jego uśmiech.

Jedno i drugie – myślałem, idąc do domku Krystyny – czekał na kobietę i pilnował zbierania grzybów. Nie jest szalbierzem. Jest tylko człowiekiem niezwykle praktycznym. Przyjechała i odzyskał



całą pewnością siebie. Nic mu nie pomogą moje ukłony, moja obraźliwa grzeczność. W swoim mniemaniu wyrósł na olbrzyma, któremu należą się wszelkie hołdy.

Im bliżej byłem domku Krystyny, tym większy ogarniał mnie niepokój. Gdyby sytuacja była inna, gdybym był młodszy, a Krystyna wolna, wobec naszego porozumienia nie byłoby chyba większych komplikacji. Nigdy jeszcze kilkudziesięciometrowy odcinek ścieżki nie wydawał mi się tak długi i uciążliwy do przejścia. Były sekundy, drobne przebłyski zdrowego rozsądku, jakby mówiące, żebym nie szedł, zawrócił, wycofał się i przyznał obiektywną rację utrwalonemu stanowi rzeczy, ale były to przebłyski. Ostatecznie – myślałem – nie można się ciągle wycofywać. Poszedłem.

– Proszę, proszę, niech pan rozgości się u nas – przywitała mnie matka. – Ciasno tutaj, ale zmieścić się można. Zaraz przyjdzie pani Stanisława z nalewką i zrobimy naszą ucztę. Pan pewno dawno domowej kawy nie pił?

– Bardzo dawno. Na ogół kawę pije się teraz w kawiarniach. Tam zresztą koncentruje się całe życie towarzyskie.

– Nie ma jak domowa kawa.

– Zależy od gustu, ja bardzo lubię posiedzieć w kawiarni – powiedziała Krystyna.

– Nie ganię tego, nie ganię, ale uważam, że najlepiej w domu. Pan pewno nie ma domu, dlatego pan nie lubi domowej kawy?

– Jestem samotny.

– Bardzo niedobrze. Czas już byłby założyć rodzinę. Tyle panieli na świecie się marnuje w samotności. Wiesz co, Krysiu, Lidka Skobielska nadawałaby się dla pana: ładna, młoda, kulturalna, w sam raz na żonę dla pana, chociaż pan taki poważny.

– Uważa pani, że jestem poważny.

– Nie uważam. Mężczyzna musi być poważny, ale pan mało mówi i ciągle o czymś myśli.

– To związane z pana zawodem, mamusiu – wtrąciła Krystyna.

– Pan obserwuje i pisze, a nie opowiada.

– Zawód zawodem, a towarzystwo towarzystwem. Kto zresztą by was, młodych, zrozumiał. Potrzeba panu żony, która by pana rozruszała. Szkoda, że pan nie mieszka w Katowicach. Wybralibyśmy panu Lidkę Skobielską i byłby pan w naszej rodzinie.

– Nie wiem, czym zasłużyłem – powiedziałem niby pokornie, ale z niechęcią, gdyż już wtedy, owego czwartkowego popołudnia macierzyńskie wywody pani matki zaczęły robić na mnie niezbyt miłe wrażenie. Ale było to odczucie zbyt subiektywne, bym mógł mu się poddać. Słuchając krótkiej wymiany zdań pomiędzy matką a córką o wspomnianej już pannie Skobielskiej, rozważałem, że mój odruch niechęci wywodził się z tego, iż w ogóle nie lubię gadułów. Niewątpliwie, sądząc z zachowania się matki Krystyny, byłem jej całkowitym przeciwieństwem. Stwierdzenie tego faktu wpływało ujemnie na moje samopoczucie, więc milczałem uparcie, wtrącając od czasu do czasu jakieś zdanie możliwie najkrótsze.

Krystyna zrozumiała, że temat rozmowy całkowicie mi nie odpowiada i próbowała skierować zainteresowanie towarzystwa na przeczytane książki, lecz matkę i panią Stanisławę, która już przyszła, bardziej interesowały bieżące sprawy życia codziennego. Cóż miałem do powiedzenia o strojach, jeśli nawet nie wiedziałem, co to jest bolerko. Owszem, wiedziałem, że jest to część kobiecego

stroju, ale jak to się nosi, jak zakłada, nie miałem pojęcia. To nie-
szczęsne boferko wymieniłem jako przykład, gdyż pani Stanisława
powiedziała:

– Miałam na sobie sukienkę, której nawet już nie lubię, ale
wczoraj ją założyłam i proszę sobie wyobrazić, że inżynier jak tylko
do nas podszedł, powiedział, że dobrze mi jest w tym boferku.

I panie mówiły o tych boferkach, kimonach, kto by zresztą spa-
miał ich skomplikowane nazewnictwo z kontrafałdami włącznie,
a ja siedziałem jak na tureckim kazaniu, bo i Krystyna włączyła się
w tę pinceskowatą dyskusję.

– Mój zięć też się na tym zna – mówiła starsza pani. – To dobrze,
jeśli mężczyzna potrafi kobiecie doradzić, jak powinna się ubrać.

– Mój mąż, chociaż ma wiele odpowiedzialnych zajęć, też mi
podpowiada, co mam założyć. I muszę przyznać, że czasem z gu-
stem mi doradzi.

W każdym innym wypadku może słuchałbym z zainteresowaniem
o tych plisach, riuszkach, wypustkach, sulejkach, szmizjerkach, ale
w tym dniu irytacja rosła z każdą falbanką. Przyszedłem tutaj przy-
strojony, by zrobić na matce jak najlepsze wrażenie, lecz w miarę
upływu minut męczyłem się coraz bardziej i czekałem najdogodniej-
szej chwili, by opuścić ten przedpokój krawcowej. Już dawno nie by-
łem tak mało obiektywny. Z okropnym uczuciem zbędności spoglą-
dałem na Krystynę, która zdawała się nie dostrzegać milczącej prośby
o pomoc. Chyba jeszcze nigdy nie czułem się tak skrępowany, zależ-
ny i bezradny, jak tego popołudnia. Nigdy nie byłem człowiekiem
zbyt rozmownym i raczej unikałem wszelkich gadułów, kwalifikując
ich do ludzi przechodzących przez życie w wielkim tabunie niedys-
kretnych, albowiem mój podział ludzi rozgraniczałem na: dyskretni
i niedyskretni. Podział ten całkowicie odpowiadał memu sposobowi
bycia. Na domiar złego, prawdopodobnie z małego zdenerwowania,
zaczęła boleć mnie głowa. Ból początkowo zasygnalizowany małym
strzyknięciem nad prawym okiem, przeszedł nad lewe oko i rozpano-
szył się porywistymi atakami na czaszkę.

– Przepraszam bardzo – wtrąciłem się do rozmowy – czy panie
nie mają prozków przeciw bólowi głowy.

Krystyna miała. Wziąłem tabletkę nowalginę, a panie zmieniły temat rozmowy, lecz od sukienek przeszły na choroby. Zaczęło się wywoływanie duchów zmarłych, co było lepsze od sukienek. Po chwili ból mi przeszedł, ale dopiero wtedy skorzystałem z pretekstu i wymawiając się złym samopoczuciem, wyszedłem na świeże powietrze. Wilgotny stok, przeciągające nad nim sinawe chmury, powiewy wiatru, to była swoboda, przez którą szedłem wolną stopą. Ale po kilkunastu krokach dopędziła mnie Krystyna.

– Co ci się stało? – spytała.

– Rozboliła mnie głowa – powiedziałem.

– Dlatego tak milczałeś?

– Nie tylko dlatego, wiesz, że nie jestem zbyt gadatliwy.

– Wiem, dla mnie możesz nic nie mówić, ale mama lubi sobie pogadać.

– Zauważyłem. Rozmawiałas z mamą o nas?

– Nie rozmawiałam. Głupio mi zacząć. Nie wiem jak. Przyjdź do nas później. Stworzę taką sytuację, że zostaniesz z nią, a ja później przyjdę i ci pomogę. Jakoś będzie.

– Jakoś będzie – powiedziałem.

– Jakoś musi być.

Nie podobało mi się ostatnie zdanie Krystyny, ale w ostatniej godzinie nic mi się nie podobało, więc trochę zachmurzony poszedłem na przystań obok hangaru, gdzie grupa chłopców i dziewcząt, siedząc na wodnych rowerach, dawała koncert big-beatowej muzyki. Śpiewali „Głęboką studzienkę” w nowym rytmie, z prawdziwie młodzieńczą werwą skandując słowa pieśni, która w tej interpretacji, bez ludowej rzewności i gdzieś ukrytego smutku brzmiała radośnie jak nigdy. Na dalszym planie po jeziorze lawirowały nasze dwa jachty. Składając się do zwrotów, stając na kotwicy, cofając się biegiem wstecznym zdawały się tańczyć po wodzie w takt wyśpiewywanej przez młodzież melodii.

I tutaj, i tam żeglarzy i śpiewaków do balansowania po wodzie i w pieśni skłaniała ta sama przyczyna: prawdziwa młodzieńcza radość życia. Na odległym pomoście naszej bazy kręciło się kilka sylwetek ludzkich i wiedziałem, że są to chłopcy, dla których zabrakło

dzisiaj instruktora. Stwierdzenie złodziejskiego faktu, że zabrałem im godzinę cennego pływania, też nie wpłynęło dodatnio na moje ogólne samopoczucie. Czym prędzej opuściłem rozśpiewaną przystań, by leśną ścieżką i możliwie najkrótszymi przelajami dojść do portu. W szeleście liści zginęła melodia z wodnych rowerów i z nową siłą wróciły refleksje: Krystyna, jej matka, codzienna rozmowa.

Na przystań przyszedłem podwójnie skruszony, obarczony przez samego siebie podwójną winą, za dwa zawinione fakty: odebrałem chłopcom godzinę pływania i obarczyłem odpowiedzialnością trzy kobiety za to, że nie potrafiłem ich zrozumieć.

– Załoga na pokład – powiedziałem już na pierwszych szczeblach pomostu, by możliwie najszybciej nadrobić stracony czas.

Po kilku minutach dołączyłem do pływających jednostek i razem z nimi rozpocząłem manewry.

– Jesteś – zawołał Paweł.

– Jestem.

– To dobrze, to bardzo dobrze.

Lecz ja wiedziałem, że nie jest dobrze, gdyż żaden pośpiech nie jest w stanie nadrobić straconego czasu. Niewprawną rękę trzeba dopasowywać do steru powoli, cierpliwie, nieustannie, w ciągu długich godzin lawirowania, w czasie których szlifuje się uchwyt rumpla skórą własnych dłoni. Wróciliśmy do portu, gdy wiatr ucichł prawie zupełnie. By dojść pod żaglami, kazałem chłopcom wyszukiwać choćby strzępy wiatru, które dawały o sobie znać polami zmarszczonej wody. Myszkowaliśmy więc po jeziorze powoli, lecz nieustannie zbliżając się do przystani. Dopiero około stu metrów od portu wiatr zdechł zupełnie i załoga wzięła się za wiosła.

– Dużo się dzisiaj nauczyliśmy – powiedzieli chłopcy, kiedy przybiliśmy do pomostu.

– Jutro zaczniemy pływanie jak najraniej – odpartem.

– O której? – spytał Paweł.

– Jeśli będzie wiatr, nawet o siódmej – Paweł skrzywił się nieco.

– Ty nie musisz – dodałem – ja muszę nadrobić stracony czas.

Po zajęciach, kiedy zmierzch całkowicie już pokrył ziemię i światła na kempingu dawały znać o ludzkiej obecności w domkach,

zgodnie z umową znów poszedłem do Krystyny, ale już bez tego wewnętrznego napięcia, bez płaskiej chęci przypodobania się matce i chyba tylko po to, by dotrzymać słowa. Przez godzinę rozmawialiśmy o sprawach najzupełniej obojętnych, a gdy zauważyłem, że Krystyna nie ma zamiaru, zgodnie z umową, zostawić nas z matką na chwilę samych, prawie całkowicie spokojny i pogodzony ze stanem rzeczy, pożegnałem się pogodnym „do zobaczenia, do jutra”.

Za dużo chciałeś – myślałem idąc do domku – za dużo od niej wymagałeś, to oczywiste. Zawsze chciałeś od życia maksimum, a kiedy dawało ci ono trochę mniej, w swej buńczucznej zarozumiałości obrażałeś się i wycofywałeś. Na dodatek, żeby siebie usprawiedliwić, dokomponowałeś do zarozumiałstwa teorie o dyskrecji, intymności, obiektywności. Przyznawałeś ludziom prawo do takiego postępowania, jakie jest dla nich wygodne, jakie wypływa z ich chęci, by sobie to prawo przyznawać. Odchodziłeś od zwykłych spraw codziennych, nużyły cię one i nudziły. Uważałeś, że osiągnąłeś dystans, który pozwoli ci lepiej widzieć świat z pozycji przechodnia. Wmawiałeś w siebie, że jest to rodzaj pokory wobec życia, ale nie była to pokora, lecz zarozumiałstwo. Nie byłeś stoikiem, lecz pyszałkiem.

Burłaczenie

Wstępuję w przyrodę
Wśród trzcin kajak ciągnę
Wciągam w siebie zapach
Jeszcze trochę wolny lecz więcej już burłak

I jestem podwójnie dotknięty obrazem
– Zieleń oczy rzeźbi
– Wonie płuca tłoczą
Już mój krajobraz we mnie się zanurzył
W krwioobieg popłynął
I nerwom ułożył własną topografię

Już związał mnie w jasyr
Ręce i pamięć przez weny opętał
I jakby chciał się w datach odpamiętać
Już do ust powrócił
Już na języku liściem się położył
Gotowy własną opowiedzieć mapę

Teraz znów nadeszło wielkie powikłanie
– Nerwu liścia z nerwem
Kości z rusztowaniem
I mięśni zmęczenie dzisiejsze i dawne
Przywodzi zdarzenie ranionego głosu

Jeszcze lat katalog pomieszał się z wodą
Jakby chciał mój przepływ na falach rozpisać
Jeszcze rejestr zawodów do statystyk przystał
Jeszcze seria porażeń
Za mną smuga blizn na wodzie

Teraz znów wymówki mnie nachodzą może
Wymawiam wodę – do ziemi przylega
Wymawiam ogień – płód drewniany toczy
Wymawiam serce – przez Polskę mam przepływ

A jestem dopiero u samego brzegu
I mam nadzieję że jeszcze coś dodam
I mam nadzieję że gdzieś doburłaczę

XVIII

Piękny był ten piątkowy ranek. Nieco silniejszy niż wczoraj wiatr gnał po niebie biało skłębione chmury, ciągnące się po rzeźwym błękitcie jak kolonie nenufarów. Wyszliśmy na wodę w cztery jednostki. Paweł, co prawda, spał jeszcze lub budził się swoim godzinnym rytmem rozbudzania, lecz autobusem o godzinie szóstej trzydzieści przyjechali dwaj sternicy naszego klubu: Andrzej i Bogdan, którzy nie tracąc chwili czasu stanęli do służby. By wykorzystać sprzyjające warunki, rozpoczęliśmy praktycznie ćwiczenia z prawa drogi. Jachty z szelestem burt o wodę nachodziły na siebie, ostrzyły, odpadały, dawały drogę zgodnie z obowiązującymi przepisami lub odchodziły nieco dalej, by wziąć najkorzystniejszy dla siebie kurs i prawo drogi wymuszać słabszym położeniem względem wiatru. Manewrując, igraliśmy ze sobą, zabierając wiatr koledze, który chwilą nieuwagi pozwolił ustawić się w beznadziejnej pozycji. W atmosferze przepięknej pogody żeglarzy, która z każdym przysłonięciem słońca przez chmury przynosiła silniejsze podmuchy, z radosnym chichotem braliśmy szkwały, pilnując, by jachty przechylały się jak najmniej. Nierzadko jednak, kiedy nie można było dostatecznie wybalastować przechyłu i woda darta przez knagi bryzgała do łodzi, patrzyliśmy w ocierającą się o falochron kipiela, która białym szumem cieszyła nam oczy. A gdy „Zefir” wracał do normalnej pozycji kilkustopniowego przechyłu, z ust chłopców wyrывało się pełne radości westchnienie. Mało kiedy natura tak idealnie zestraja się z uczuciem ludzi, jak w ten piątkowy ranek. Mało kiedy tak ją chwalimy.

– Pięknie – wołaliśmy do wyprzedzających nas jednostek nawet wtedy, gdy zabierały nam wiatr lub doskonałym manewrem

pokazywały nam rufę. Goniliśmy ich wtedy czujni, uważni, by nie przegapić najmniejszego błędu przeciwnika i wziąć pełen rewanż za poniesioną przez chwilę porażkę. Zadziwiający jest duch walki, jaki ogarniał nagle całą załogę, która na widok wyprzedzającego jachtu jakby tężała w pełnej gotowości wykonywania każdej komendy. Wspaniałą jest zbiorowy uśmiech na twarzach chłopców, kiedy przeciwnik, po ciągnącej się przez kilkaset metrów obronie, ulegał. Tryumfem jest widok stropionej załogi. Pochwałą jest pełen zakłopotania uśmiech sternika, który pozwolił się wymanewrować. Lecz nie każdy sternik się uśmiecha. Uśmiechał się Andrzej, gdyż uśmiech z tej twarzy na wodzie nie schodził prawie nigdy i był nieodłączną wizytówką tego dokładnego matematyka wody, który jak nikt z nas prowadził jednostki zgodnie z teoretycznymi zasadami. Twarz Pawła czasem przybierała wyraz napięcia i może zdenerwowania, twarz Andrzeja prawie nigdy. Jeszcze inny był pozornie spokojny, lecz żywiołowy Bogdan. Jeszcze inny wybuchowy Kazik, który zdawał się zmagać nie tylko z olinowaniem, nie tylko z żywiołem wody, ale i z żywiołem nerwowego układu, który gwałtowniej od sztormowej fali miotał nim podczas rejsów. Tacy nerwowcy nie mówią basem. Głos ich jest gwałtownie zgrzytliwy, bardziej podobny do tarcia się części kadłuba o siebie niż do gromkich uderzeń sztormowych fal. Z pokładu naszego „Zefira” słyszeliśmy, jak bosman łąał swoją załogę z zaciekłością musztrującego szereg kaprała. Słyszeliśmy też uwagi Andrzeja, chłodne, jakby wyważone na specjalnej szali mowy, skąpe, ale rzadkie uderzenie celnym słowem w opieszalego wykonawcę komendy. Pawła nie było. Ale ten śpiący w tej chwili sternik przemawiał do załogi prawie czule, jakby zwierzał się wykonawcom poleceń z najintymniejszych tajemnic, jakby bał się, że zbyt gwałtowne określenia mogą zakłócić harmonię pomiędzy nim a załogą. Chociaż głos miał donośny, wydobywający się jakby z głębi piersi, zdawało się, że Paweł przemawia szeptem, chociaż szept ten rozchodził się dość daleko. Bogdan zdawał się zastanawiać przy każdym słowie, jakby nie miał pewności, czy uwaga jego lub komenda będzie prawidłowo zrozumiana. Mówili różnie. Mieli różną tonację głosu, ale każdego z nich cechowała prawdzi-

wa pasja wody, dobrej wody, po której tego ranka pływaliśmy do dziesiątej godziny. Zeszliśmy z pokładów trochę zmęczeni. Na pomoście czekał na nas Paweł, który zdążył się być obudzić i z desek przystani zazdrośnie patrzył na nasze manewry.

– Bardzo dobrze, że przyjechaliście – powiedział do Andrzeja i Bogdana. – Dzisiaj jeszcze ćwiczenia, a jutro rano rejs.

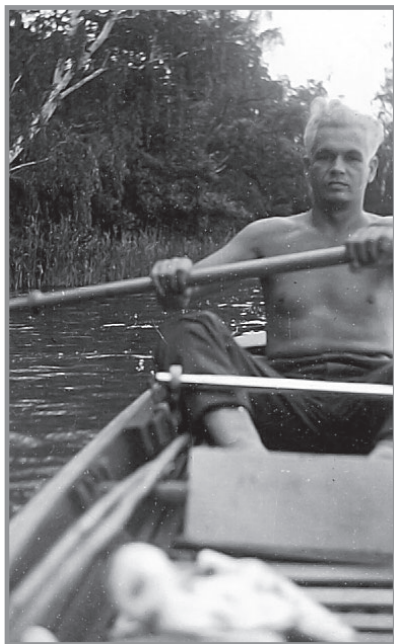
– Brak nam jednej łodzi – wtrącił Bogdan.

– Wypożyczymy z ośrodka. Rozmawiałem wczoraj z kierownikiem i powiedział, że jeśli będzie potrzeba, wypożyczą nam jedną łódź – oznajmił bosman.

– Świetnie – ucieszył się Bogdan.

– Trzeba będzie wywiesić flagi kodu pod salingiem – zwrócił się do mnie Paweł.

Tak, oczywiście, flagi „P” muszą zawisnąć pod salingami, by każdy wiedział, że najdalej za dwadzieścia cztery godziny jednostki wyjdą w rejs. Nieodwołalnie wyjdą. Prawu flagowego słowa stanie się zadość. Taki był nasz plan, taka musi być realizacja. Inaczej być nie może wśród ludzi, którzy znają wartość słowa wypowiedzianego podczas sztormu, kiedy wiatr je wprost wyszarpuje z ust lub z wściekłością wtłacza do krtani, słowa, którego czasem nie można wykrztusić, a jeszcze częściej usłyszeć. Lecz dziś woda nie była źle wzburzona. Po jeziorze, jakby na specjalnych wyścigach z chmurami, fale kołysały wodą zgodnie z kierunkiem wiatru, pyszniąc się białymi grzebieniami, które tu i ówdzie się pokazywały. Patrząc na białe pękowiska chmur na przestrzennym niebie i na rozkołys



*Zdzisław Morawski
jako wioslarz, 1972 r.*

wody ciężko złożonej we wgłębieniu pomiędzy lasami, która chociaż biła w brzegi, jakby się chciała wydobyć z niewoli, zdawać się mogło, że żywioł oddycha pełną mocą, od dna po powierzchnię. Liście przybrzeżnych drzew szumiały wciskane w głąb lasu, tworząc jakby jaśniejszą łuskę w miejscach, gdzie podmuch uderzał silniej. Piękny był ten dziki świat, w którym tylko obojętna wymowa mocy ma znaczenie. Świat wiatru sfalszowanego co najwyżej nierównością terenu. Świat fal bijących w belki pomostu pod naszymi stopami, który miał swój harmonijny rytm, jakby nieznanej muzyki wody. Świat połączonych żywiołów, który rozkładał przed nami pełny swój urok, jakby zapraszając do współdziałania z nim. Tak, oczywiście, białe prostokąty flag z niebieskimi prostokątami w środku zawisną przy masztach i jutro rano otworzymy nową trasę turystycznej żeglugi przez trzy jeziora. Opuścimy kemping na trzy dni, by znów wrócić i zastać tutaj innych ludzi, którzy będą łowić ryby, grać, tańczyć, kochać się tygodniową miłością, przyjeżdżać, odjeżdżać. Takie jest przeznaczenie tego miejsca. Dla tego celu wyrugowano krowy z obory, zbudowano hangar, postawiono domki.

Zjem śniadanie i pójdę do Krystyny – myślałem idąc z kolegami do „Chaty za wsią” – do Krystyny i jej matki. Gdyby ich nie było, poszedłbym z powrotem na wodę. Przeznaczeniem mego urlopu jest woda, są jachty, to jest bezsporne, ale do Krystyny muszę iść, bo powiedzieliśmy sobie dużo, ale jeszcze nie wszystko. Jest jeszcze coś do powiedzenia, jedno ostatnie słowo, które być może Krystyna do matki już powiedziała. Chyba nie powiedziała? Chyba czeka na mnie? Jeśli czeka, muszę iść. Nie można nieustannie mijać się z przeznaczeniem. Nie można ciągle stać z boku, jak przydrożny drogowskaz, na którym zatarły się napisy i nie wiadomo dokąd pokazuje drogę. Trzeba złożyć deklaracje, przyjąć zobowiązanie.

Na razie jednak mijaliśmy akwen i ludzi: prokurator szedł z córeczką na pomost, Franek patrzył na stok przez okno budynku administracyjnego, szesnastoletni może chłopiec szedł, czytając gazetę, przy namiotach kręcili się obozowicze. Każda twarz codzienna, znajoma, mijana jak każdego dnia. Po miesiącu, może po dwóch, zatrą się ci ludzie w pamięci, pozostaną wspomnieniem.

Ich miejsce zajmą inni przechodnie z ulicy miasta, miliony twarzy, których ułomna pamięć nie będzie w stanie na trwałe rejestrować. Może niektóra sylwetka mocniej odcisnie się w pamięci? Może inżynier, który właśnie schodził ze stoku w towarzystwie przybyłej dziś kobiety? Mijając się, posłaliśmy sobie ukłony dosyć sztywne, przeznaczone dla przechodnia. Ale kiedy odeszliśmy kilka kroków, inżynier dopędził nas.

– Przychodzę do pana – powiedział uśmiechając się przymilnie, jak wtedy, kiedy płynęliśmy szukać uroczych zakątków dla blondyny, która teraz stała na placu i stopą rysowała zygzaki na piasku – przychodzę do pana, bo powiedziałem Halinie, że pływalismy żaglówką i chciała zobaczyć nasze źródelka.

– Rozumiem – odpowiedziałem – ale dzisiaj mamy jeszcze trochę zajęć z kursantami, a jutro wyruszamy w rejs.

– Nie znajdzie pan godziny dla nas?

– Musiałbym porozmawiać z kolegami. Porozmawiam i odpowiem panu po śniadaniu.

– Bardzo pana proszę. Mówiłem jej, była zachwycona. Myślę, że jeśli pan zechce, będzie można tę rzecz załatwić.

– Porozmawiam z kolegami. Po śniadaniu przyjdę do pana i powiem.

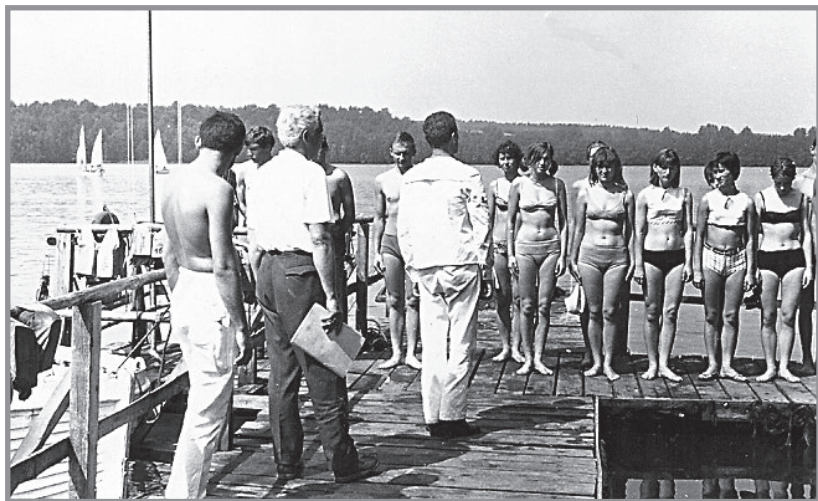
– Będziemy czekać.

Skłamałem. Nie miałem zamiaru rozmawiać z kolegami o turystycznym pływaniu. Ten dzień musiał być wykorzystany na zajęcia i nie miałem prawa zabierać chłopcom tych kilku godzin. Nie miałem prawa proponować żeglarzom przyjemnościowej wycieczki, ale miałem prawo powiedzieć inżynierowi prawdę. Pozostawiłem im jeszcze godzinę nadziei. Ale po śniadaniu musiałem powiedzieć prawdę.

– Niestety – wywodziłem z pozornym żalem – żałuję ogromnie – kłamałem po raz drugi – ale program kursu mam tak wyliczony w czasie, że dzisiaj nie możemy pływać turystycznie.

– Szkoda, ona tak bardzo się cieszyła.

– Proszę powiedzieć pani, że po powrocie z rejsu popłyniemy z całą pewnością; zrobimy całodzienną wycieczkę – obiecywałem.



Obóz żeglarski, 1965 r.

– Kiedy panowie wrócić?

– We wtorek.

– Dopiero we wtorek.

– Taki mamy program. Myślę, że jakoś pan zajmie swoją panią. Można popłynąć na kajaku, a i okoliczne lasy są piękne. Podobno rośnie tutaj dużo grzybów.

– Grzyby są, na grzyby pojedziemy, ale ona chciała pływać na żaglówkach. Tyle jej opowiadałem o źródelkach, przesmykach, o drugim jeziorze.

Nie wyobrażałem sobie, jak ten rzeczowy człowiek mógł jej opowiadać o urokach przyrody, ale moją odmową był wyraźnie zakłopotany. Najwidoczniej z właściwą sobie pewnością powiedział kobiecie, że taki drobiazg jak wycieczka łodzią nie stanowi dla niego żadnego problemu. Po prostu zadysponował mną, jachtem, moim czasem.

– Bardzo mi przykro, że muszę pana zawieść. Proszę powiedzieć pani, że w przyszłym tygodniu na pewno wypłyniemy.

Szedłem do domku Krystyny i myślałem, że ten trochę nadęty, trochę pyszałkowaty człowiek interesu, który był przekonany,

że prawie cały świat można obmierzyć i wykupić, że człowiek ten musiał czuć się bardzo dotknięty odmową. Musiał przecież iść do niej i powiedzieć, że tym razem obietnica jego nie będzie zrealizowana, musiał się tłumaczyć i pokazywać swoją niemoc. Ale musiałem i ja zrobić, jak zrobiłem. Rozmowa ta była zresztą nieznacznym fragmentem piątkowego ranka, gdyż szedłem do Krystyny i z każdym krokiem zbliżałem się do drugiej rozmowy, w której być może będę zajmował pozycję inżyniera. Przystanąłem. Może nie iść? – myślałem. – Może zatrzymać się w pół drogi? Pozostawić rzecz biegowi wydarzeń. Niech się wszystko samo rozstrzyga. Przez chwilę stałem na ścieżce, tam gdzie był kran z wodą. Stojąc, udawałem, że zajmuje mnie uwięziona w rurach woda. Zacząłem odkręcać i zakręcać kran. Iść, czy nie iść? Iść, czy nie iść? – tłukło się po głowie pytanie. Poszedłem. Przypomniałem sobie tak wyraźnie, jak jeszcze nigdy owo spojrzenie Krystyny, kiedy prosiłem ją o dancing. I poszedłem.

– Doskonale, że pan przyszedł – przywitała mnie matka Krystyny. – Widzi pan, jesteśmy takie samotne i bezradne bez pomocy mężczyzny, że po prostu tęskniłyśmy za panem.

– Widać wyczułem, że jestem potrzebny – powiedziałem wesoło.

– Z mężczyznami to jest tak, że jak są, mamy z nimi wiele kłopotu, a jak ich nie ma, są potrzebni. Bo cóż może zrobić kobieta, jak nie chce jej się zamknąć przeładowana walizka? Przecież do tego trzeba męskiej ręki. Jeżeli pan się nie obrazi, to poprosimy pana o domknięcie tej walizki.

– Oczywiście, pomogę paniom – powiedziałem zaskoczony – ale czy to znaczy, że panie już wyjeżdżają? – spytałem Krystynę.

Coś w rodzaju grymasu przesunęło się przez jej twarz, coś na kształt wzruszenia ramieniem potwierdziło przypuszczenie.

– Już czas, panie redaktorze, już czas – mówiła matka. – Pan jest człowiekiem wolnym, a my, kobiety, musimy spieszyć do domu. Miło tutaj, nie można powiedzieć, ładnie; jezioro piękne, okolica, towarzystwo, owszem, wszystko jest piękne, ale do domu trzeba wracać. Widzę, że pan się pięknie uporał z tą walizką. Jednak co mężczyzna to mężczyzna. A wyjeżdżać trzeba.

Podczas mowy matki patrzyłem na Krystynę, a ona spoglądała to na mnie, to na starszą panią, która zdawała się nas nie widzieć. Wiedziałem, że udaje, iż nie dostrzega naszych spojrzeń.

– Słyszałem od Krystyny – rzekłem – że panie mają zamiar jeszcze kilka dni zostać.

– Krysiunia miała może taki zamiar, ale się rozmyśliłyśmy.

– Piękna pogoda, zapowiadają jeszcze lepszą – bąknąłem.

– Dzisiaj jest pięknie, to prawda, ale dłużej zostać nie można. Obowiązki, proszę pana; dom czeka, mąż czeka na Krysiunię. A poza tym wszyscy wyjeżdżają: pani Stanisława wyjeżdża, pan wypływa na ten swój rejs, wszyscy wyjeżdżają i my też.

Krystyna stała cały czas oparta o drzwi domku i w milczeniu, wodząc wzrokiem po nas, zdawała się być odległa i nieobecna. Przy ostatnich słowach matki nagle odwróciła się i wyszła.

– Krysia – zawołała matka – Krysia, gdzie idziesz, przecież jest tak dużo roboty. Widzi pan, jaka z niej pociecha. Niech mi pan jeszcze pomoże zamknąć tę drugą walizkę.

– Proszę pani – powiedziałem przygniatając kolanem walizkę – myślałem, że panie jeszcze zostaną.

– Nie tak mocno, panie redaktorze, nie tak mocno, bo walizkę pan połamię.

– Nie wiem, czy Krystyna z panią rozmawiała – bąknąłem zdecydowany rozmawiać z nią o nas – jeśli nie, to ja chciałem pani powiedzieć...

– Nie wiem, o czym miała rozmawiać – przerwała mi – bo córka z matką o wielu sprawach rozmawia. Ale jak pan koniecznie chce, to niech pan mówi – teraz ludzie dużo mówią, bardzo dużo niepotrzebnych rzeczy gadają.

– Chciałem porozmawiać w poważnej sprawie.

– A wie pan – przybrała ton zwierzeń – do mnie ludzie zawsze przychodzą z poważnymi sprawami. Widocznie wzbudzam zaufanie. Nikomu nie powiedzą, a mnie całą swoją duszę odkrywają, jak na spowiedzi.

– Wzbudza pani zaufanie, jest pani człowiekiem dojrzałym, rozumnym – pochlebiałem starszej pani, nie mogąc wykrztusić wyznania.

– Pochlebca z pana. Ale jeśli mam powiedzieć panu prawdę, to przed wyjazdem na poważne rozmowy mam trochę mało czasu. Jeszcze trzeba wszystko popakować, za mało czasu! Dzisiaj my wyjedziemy, jutro pan wypłynie w swój rejs, a odjeżdżać zawsze jest bardzo przykro.

– Tym gorzej się rozstawać.

– Gorzej, ale trudno. Nic się na to nie poradzi.

Zdawało mi się, że starsza pani wie, o czym chcę z nią rozmawiać. Jej aluzje były w tym wypadku najzupełniej przejrzyste.

– Myślę, że pani wie, o co mi chodzi.

– Nic nie wiem, skąd mam wiedzieć. Ale powiem panu szczerze, jeszcze wszystko mamy w proszku, a pociąg odchodzi o godzinie czwartej.

– Więc im prędzej powiem, tym będzie lepiej: chodzi o mnie i o Krystynę.

– O pana i o Krysunię? A co tu jest poważnego do gadania?

– Widocznie jest, jeśli zaczynamy o tym mówić.

– Nie widzę potrzeby. Był pan podobno miły, woził pan ją i chłopca na żaglówce, pięknie panu za to dziękuję. Dziękuję też panu za to, że pan pozamykał mi walizki. Był pan miły, dobry, będziemy pana dobrze wspominać.

– Sądzę jednak, że warto porozmawiać otwarcie.

– Ja cały czas mówię otwarcie, ja nie mam nic do ukrywania.

– Tym lepiej.

– Nie wiem, czy lepiej, kochany panie, nie wiem, czy lepiej.

– Pani jest doświadczonym człowiekiem i wie pani, że jeśli u dwojga ludzi obudziło uczucie...

– Wiem. Wiem. Ja wszystko wiem. Właśnie dlatego, że jestem doświadczona. Uczucie, drogi panie, budzi się i zasypia, jak w życiu. Ludzie kochają się, przestają się kochać, jak w życiu. A do mojej Krysuni, to muszę panu powiedzieć, że miłą mi pan powiedział nowinę. Powiem jej i ucieszy się, że jeszcze się w niej kochają. Bo ona, panie redaktorze, ostatnio mówi, że się zestarzała. Bardzo się ucieszy, jak jej powiem. Kiedyś w niej się wielu mężczyzn kochało i jeszcze się w niej kochają, ale ona w to nie wierzy.

– W tym wypadku wierzy.

– Może wierzy, może nie wierzy. Skąd ja, stara, mam wiedzieć.

– Wierzy, gdyż i ona darzy mnie uczuciem.

– Może, może. Ona już taka jest. Wyjeżdża, nie chce wracać, a potem płacze do matki, że zrobiła głupstwo. Taka już jest ta moja córka. Znam ją dobrze. Prawie każdego roku wyjeżdża i nie chce wracać, a później żałuje. Z tego tylko Wojtek ma z niej lepszą pociechę. Czuje, że wobec męża zawiniła i skacze przy nim jak fryga. Ona jest dobra. Mówiła mi Krysia, że pan jest mądry, a pan tego nie zrozumiał: dziwię się, dziwię. Pan musi być dobrym człowiekiem, panie redaktorze, bo inny by krążył wkoło kobiety, jak to dzisiaj praktykują, a do matki by nie przyszedł. A pan do matki, szczerze, otwarcie, jak trzeba; podoba mi się pan, bardzo podoba. Powiem panu też szczerze, jak rodzonemu synowi. Ta Lidka Skoibielska to naprawdę dobra dziewczyna.

– Mówimy o Krystynie.

– No właśnie. A gdzież ona polazła? Roboty dużo, czas ucieka, a ona gdzieś chodzi. Niesforna taka była już od małości. Coś robi, później żałuje.

– Więc uważa pani, że nie jest to możliwe?

– Co, synku?

– Nasz związek z Krystyną.

– Wesolutki z pana człowiek i taki jakiś niby kulturalny, a niby nie. Niby poważny, a niby nie. A może pan jest za poważny? Za poważni ludzie są niebezpieczni. Powaga, panie redaktorze, nie jest zbyt dobrym doradcą.

– Uważa pani, że lepiej byłoby traktować córkę niepoważnie?

– Trzeba ją traktować poważnie, ale pan, przepraszam bardzo, nie ma takiego prawa.

– Takiego prawa nikt nie pisze i nikt nie udziela. Pozwoli pani, że porozmawiam z Krystyną.

– Jak pan koniecznie potrzebuje, to niech pan rozmawia, ale myślę, że nie jest to potrzebne. Nic dobrego z takiego gadania nie wychodzi. Ale niech pan jej długo nie zatrzymuje, bo ona musi jeszcze jechać po bilety.

– Krystyna jedzie po bilety?

– A kto ma pojechać? Ja zajęta pakowaniem, dziecko nie może, musi ona. Chyba że pan zechciałby nam zrobić przysługę. Rozmawiałam z pana sąsiadem i za zwrotem kosztów benzyny obiecał pojechać na stację. Gdyby pan zechciał nas wyręczyć, byłoby wspa-
niale, ale pan chyba nie zechce.

– Dziękuję pani za cenne informacje.

– Mówiłam Krysi – roześmiała się – mówiłam, że pan w końcu tak powie. Powiedziałaś jej, że pan w końcu podziękuje mi, ukloni się i pójdzie.

– Więc panie rozmawiały.

– Jak mogłyśmy nie rozmawiać. Przecież mam oczy i wiem, dla kogo ona chciała jeszcze parę dni zostać. Rozmawiałyśmy, popłakałyśmy sobie pół nocy na tym łóżku, jak to dwie samotne kobiety.

– To pani ją namówiła do wyjazdu.

– Pan do mnie był szczery, to i ja szczerze powiem: namówiłam. A pan myślał, że wszystko będzie tak szast-prast. Pan chciał, żeby ona z panem pojechała i zostawiła matkę, męża, dom, żeby pojechała jako kto? Ja w poprzek drogi nikomu nie stoję, ale tak, panie, stawać nie można.

– Jeszcze raz pani dziękuję.

– Nie ma za co, nie ma za co. Życzę panu dobrego zdrowia.

Przez cały czas rozmowy krzątała się po domku, a z twarzy jej nie schodził uśmiech matczynej dobroci i politowania. Nawet wyszła za mną, a gdy obejrzałem się, pomachała do mnie ręką, jakby odprowadzała najbliższego w daleką drogę. Miałem za sobą dużo rozmów z ludźmi, wiele widziałem taktycznych rozwiązań sytuacji, ale takiego człowieka spotkałem po raz pierwszy w życiu. Krystyna nie przesadzała.

Jeśli zacząłem iść tą drogą, muszę iść dalej – myślałem schodząc po stoku na przystań, gdzie spodziewałem się spotkać Krystynę. Muszę jeszcze z nią porozmawiać, przynajmniej powiedzieć to, co powiedziałem matce, by zrozumiała, że nie odstąpiłem od zamiaru. Czy tylko dlatego? Tylko dlatego, bo przecież chyba jasne jest, że Krystyna pojedzie po bilety.

Dziś wiem, że ani matka nie mogła mówić inaczej, ani Krystyna inaczej postąpić, ale w tym dniu szedłem jeszcze do niej jak desperat.

– Byłem u matki – rzekłem, gdy znalazłem Krystynę.

– Wiem.

– Ale nie wiesz, jaki jest rezultat rozmowy.

– Też wiem.

– I co o tym sądzisz?

– Jeśli chcesz, pójdziemy na spacer. Jeżeli koniecznie, chcesz, zostaniemy do jutra. Nie pojedę po bilety i zostaniemy do jutra, ale nie mówmy o tym.

– Rozumiem.

– Nie wiem, czy rozumiesz, ale nie mówmy o tym.

– W tej sytuacji będzie lepiej, jeśli pojedziecie dzisiaj.

– Ona tak samo mówiła.

Czy mogłem wpływać na nią, żeby została? Stara kobieta miała rację mówiąc, że jutro wyjeżdżam w rejs. Obie miały rację. Obiektywną rację, której oślepiiony uczuciem nie dostrzegłem. I nie mam powodu robić z tego dramatu. Ludzie przyjeżdżają na kemping i odjeżdżają. Zatrzymują się tutaj przez chwilę, jak na małym przystanku, i jadą dalej, udając, że nic się nie stało. I nic się nie stało. Matka wróciła do domu, który pilnowała, żona wróciła do męża. Minęliśmy się w życiu, jak mijają się ludzie, wiele milionów ludzi, których zapamiętać nawet nie sposób.

Stojąc na pomoście, patrzyłem na nasz port, gdzie na wszystkich jednostkach łopotały flagi kodu „P”, znak, że jutro nieodwołalnie wyjdziemy w rejs. A dzisiaj trzeba jeszcze skończyć zajęcia i wykończyć naprawdę dobry wiatr przy dobrej żeglarskiej pogodzie.

Gorzów Wielkopolski, 1965-66

Rejs przez ciche źródła

I. Źródło

Są rejsy, w których masz ochotę, by obwisły żagle, wiatry wróciły do gniazd, ptaki pozwijały skrzydła, śpiew by się ciągle rozpoczynał i miłość, by miała tylko początek.

Przy źródle jest zaledwie szelest. Delikatne światła toną w cieniu, jakby w ssącym ile – giną tam kontury, cyfry, daty.

Mój cień u źródła jest wilgotny, soczysty, matowy, ma kształt liścia widzianego od spodu i zapełnionego cieniem.

Kwiat rozwinięty z cienia jest najpiękniejszy, jest to storczyk nocy.

Jesteśmy w cieniu jak w weselnym bukiecie chociaż są to gody mroku, gdyż cień jest niemowlęciem nocy – dojrzewa o zmierzchu, a umiera o świcie – zawsze cicho.

To dla ciebie tutaj przyszedłem. Dla ciebie rozwijam wachlarz słów, mój cieniu zaginiony rano. I mam ciebie w sobie jako spokój i ciszę albowiem szczęście człowieka dojrzałego jest łagodne i mija się z gwałtem.

W ciszy jest wiara, że nic bezkarnie nie powiesz.

W ciszy jest ostrzeżenie przed milczeniem.

Zapatrzone w niebo, zastygły w trawie, jak kamień od wieków nieruszany z ziemi milczę zasłuchany.

Źródło skręcone tym, że skręcać musi.

Kiedy zagasną światła i spłonie słowa ostatni ogarek, na służbie miłości zostanie milczenie, żyjące tym, że milczeć musi.

Milczenie nosi w sobie strach przed fałszem. Na zgiełkliwym świecie obrazów słowo jest banitą, cisza buntem, a milczenie zbrodnią. „Kocham więc i milczę” – powiedziałem kiedyś, lecz nie umilkłem – zacząłem szeptać.

Jakże piękne są treści, które można wyszeptać.

Piękne słowa są dla myśli kwiatami, wielkie rodzą owoce.
Księżyc jest dłużnikiem słońca – oddaje jego światło –
lecz miłość nic nikomu nie jest winna. Kto kocha, dzieli się
miłością, lecz jej nie oddaje.

Dzieli się szeptem. Czy słyszysz mój szept?

W cieniu wzrok się wyostreza i rozszerzają się źrenice, to
światło wygląda z oczu, światło poranka, zabójca dla doj-
rzałego cienia.

Cień ogniska drży płomieniem i zastyga w popiele.
Iskry opadają na ziemię popiołem. Popiołem nocy jest go-
dzina przed świtem.

Jeśli odebrać światu cień, stanie się on płaski i chyba
głęboki, jak jama twarzy na tle księżycy otoczona światłem,
jak widok ze studni.

Jeśli odebrać człowiekowi cień, umrze – człowiek umie-
ra z cieniem.

Jeśli byłbym malarzem i oddech mógłbym czymkolwiek
malować, malowałbym cieniem, a farby brałbym z cichych źró-
deł. Malowałbym najszczęśliwszy uśmiech najłagodniejszej miłości.

Daję ci mój uśmiech, cieniu pochylony nad źródłem.

II. Strumień

Strumień jest ukryty w lesie i rozciągnięty na posłaniu
z dna małej kotliny, skąd łożyskiem rysuje szczególne znaki
– ziemi kręte zmarszczki.

Na wodę przez woń tataraku opada zieleń, rosną liście
światła wykrojone z cienia.

Jest to znajomy i mocno osadzony w historii szuwarów
i gałęzi, sitowia i opisów strumień, jak stare zamczysko,
gdzie najlepiej zawierać pakt zgody.

Oto spotkaliśmy się: on zawsze wkomponowany w las
tubylec i ja, reemigrant z krainy murów.

Oto on, głupie piskłę rzeki, kompromituje ziemię płynąc po niej goło i szorstko.

Oto on, jak kopnięty nabrzmiałą złością wody gach, wylatuje za próg wodospadu, gdzie jest głośny jak szalenię przy zakratowanym oknie.

Oto on, płynie dalej z wdziękiem łagodnych zakoli, jakby zerkał do tyłu pytając, co zawinił i jaki ciężar grzechu jest zmuszony nieść.

Oto on ściąga w cień ważki i pobudza mnie do niebieskiego ich nazywania.

Oto on – już tylko on – zna najwdzięczniejszy i najszerszy z wieczora rehot żab.

Stoję przy nim w cieniu czterdziestu lat życia i patrzę jak na zawrócony od młodości list i pytam siebie, gdzie on błądzi?

Gdzieś musiał zgubić swoją drogę. Chyba na tej drodze, gdzie jest najwięcej drogowskazów.

I myśmy tutaj siebie zgubili, mówię do ciebie dziewczyno, dziewczyno kimkolwiek jesteś.

Widziałem kiedyś człowieka stojącego na skrzyżowaniu dróg z podniesioną stopą, jakby nie wiedział, gdzie ją postawić.

Ten człowiek nie miał twarzy łotra ani policjanta.

Ten człowiek bał się zbłądzić – nie był strumieniem.

A myśmy zbłądzili w swoich dłoniach.

Strumień błądzi od rana, kiedy promienie słońca są ukośnie za długie, by stroić go w światło.

Błądzi w południe, kiedy okolica jest zakneblowana ciszą.

Błądzi wieczorem, kiedy ryby stają, jak świeżo położony na wodzie ruch pędzlem.

Błądzi nocą, kiedy ona zakotwiczyła u brzegów cumy mroku, a gwiazdy zapuściły korzenie w wodę.

Błądzi przy księżycu, kiedy światło wędrujące po liściach buduje nad nim pomost.

Błądzi ciągle, kiedy podmywa zbuntowane przeciw gałęziom korzenie, rosnące koronami do głębi.

Liczne i piękne są błędy strumienia.

Godzę się ze strumieniem, albowiem godzę się z pięknem i uznaję jego prawo do błędzenia – prawo pierwszej miłości.

W myszkowaniu strumienia jest jego prawo, prawo spadcu.

Ma prawie w każdym miejscu inny rytm przygłębień i przykos, wirów i gładzi, zwolnień i przyśpieszeń.

Kropla wody u wodospadu cięższe ołowiem do dna, a po wierzchu niesie zwinięty w rulon liść, jak list do przeznaczenia.

Strumień ma własną busolę, której wskazówką jest ciężar wody.

Jest najwolniejszym z więźniów; zamknięty brzegami, lecz rozlewny od źródła do ujścia.

Przychodząc tutaj zapłaciłem światu wszystkie długi.

Teraz, stojąc na intymnym brzegu, będę czekał na swoich dłużników – nie wątpię, że przyjdą.

Stanęliśmy na ostatnim zakolu.

Zaciągnęliśmy wartę honorową naszych spojrzeń, naszych słów i rąk – przed nami droga do ujścia.

III. Ujście

I przyszedł kres brzemienny w wody pełne ujście. Dwa rybołowy zawisły na cieniu. Las pozostał w tyle.

Zielony szelest trzciny jest rozległy, bezbłędny w łagodnym powiewie, pełen własnej chwały i wewnętrznych szmerów, jak poemat nigdzie nie wpisany, jak człowiek wpisany w czas wiatru, kiedy z wiatrem idzie.

Każdy powiew wiatru, jak oddech człowieka, schlebia sobie i trzcinie i leniwej wodzie.

Skończyła się wielka aktywność, pozostał spokojny lecz nieustępliwy w dążeniu do ujścia ciężar zatopionego w rozlewisku nieba.

Bogaty w zdarzenia przepływu strumień wydostojniał w posagowej gładzi.

Wszelka jego swawolność została w lesie, za ostatnim zakrętem, wszelkie błędzenie zgubił w źródlanej przeszłości, po drodze ogrzanej słońcem, którego blask lśnił jak wielki order występku wody z brzegów.

Napiętnowany chwałą własnych przygód i dokonań, strumień wchodzi w nową chwałę dzieła – uzupełnia rzekę, wciska się w nurt trójkątem jasnej wody, jakby chciał opowiedzieć chlubę swojej czystości, wirem niepokoi nurt od samego dna i stamtąd dźwiga wodę.

Miał do tego miejsca własną markę ochronną słowa ujętego w łożysko, był nieskazitelnie własny.

Na rozległym pastwisku wiatrów zmienił wiarę, stał się wyznawcą rzecznych praw i przybrał nadane mu imię dopływu.

Poza ujściem nic więcej go nie spotka.

Będzie miał odtąd dni i noce wodnej służby w rzecznych korycie: będzie poił nie swoje brzegi, niósł nie swoje fale, wił nie swoje wiry.

W morzu nie zbłądzi łosoś ze strumienia.

Marek Piechocki

Bardzo osobisty tryptyk o poecie Z. M.

Zanim czytałem Jego wiersze to
najpierw pływaliśmy Omega
Uczył nas żeglarskich manier i fachu
Kiedyś

Wojtek Wiśniewski

Za sterem

Ja i Mistrz przy szotach

Wiatr z nami

*

Padał deszcz

Kiedy szedłem do Niego

Z paroma

Zapisanymi kartkami

Odkrywał wtedy

Kazia Furmana

Z którym popijaliśmy

w Teatralnej

A ja dowiedziałem się

Że nie mam używać

przymiotników

I starać się nie pisać o miłości

Tak więc zaniechałem

*

Kłanialiśmy się sobie

Niekiedy zagadywał:

– I co, piszesz?

– Tak, ale mało

– Przyjdź, pokaż.

Ale mijały lata

Popychałem wózek z dziećmi

Albo za kierownicą ciężarówki

Odmierzałem kilometry

Przyszedł czas

I przeczytałem „Dwa poematy”

Wrócili z pamięci koledzy

Zabierani przez ZOM-owców

I moje skrobanie na ścianach

„WRON – won”

Później wydrukowano mój tomik

„Zaistniałem”

Ale nie było już Mistrza

Żeby pochwalił albo zganił

Może dlatego ciągle myślę

Że to „niewiersze”

Co piszę

Albo

...tylko wierszydełka

ZDZISŁAW MORAWSKI

Urodził się 6 IX 1926 r. w Aleksandrowie Kujawskim na przedmieściu Białe Błota. Zmarł 28 X 1992 r. w Gorzowie.

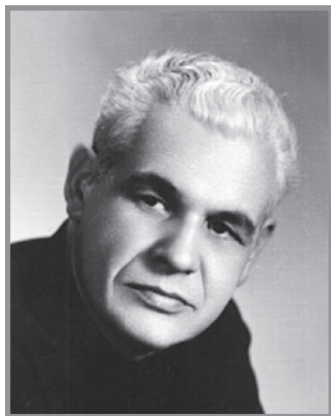
Podczas wojny przymusowo pracował m.in. w Poznaniu, Berlinie i Bielsku. W 1947 r. skierowano go do pracy w aparacie partyjnym w Gorzowie i Świebodzinie. W Warszawie studiował filozofię w Wyższej Szkole Nauk Społecznych.

Po konflikcie z władzą został przeniesiony do pracy w przemyśle spożywczym. Falszywie oskarżony, został aresztowany i wyrzucony z partii. Zwolniony, z konieczności podjął pracę w kamieniołomach w Gębczycach. Tam w wypadku stracił nogę. Wrócił do Gorzowa w 1956 r.

Debiutował trzema wierszami w 1957 r. w tygodniku „Nowe Sygnały”. W 1958 r. zdobył wyróżnienie w konkursie Związku Literatów Polskich. W 1961 r. był jednym z członków założycieli Oddziału ZLP w Zielonej Górze. W latach 1981-1983 pełnił w nim funkcję prezesa. Przez wiele lat był członkiem Komisji Rewizyjnej Zarządu Głównego ZLP.

Uczestniczył w wielu inicjatywach kulturalnych i społecznych: był współorganizatorem i sekretarzem Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze, działał w Gorzowskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym i Gorzowskim Towarzystwie Kultury, był liderem tzw. „Stolika nr 1” i członkiem redakcji dwutygodnika „Nadodrzie”, współpracował z tygodnikiem „Ziemia Gorzowska”. Pod koniec życia był współzałożycielem Niemiecko-Polskiego Biura Literackiego i jego pierwszym prezesem. Przyczynił się do powstania dwujęzycznego pisma literackiego „Prom/Die Fähre”. Pierwszy numer pisma ukazał się już po jego śmierci.

Zenon Łukaszewicz w „Moim alfabcie” tak scharakteryzował Zdzisława Morawskiego: „Był osobowością na tyle barwną i interesującą, że bez niego miasto straciłoby swój koloryt lokalny. Był przy tym znako-



mitym gawędziarzem, urokliwym i błyskotliwym kompanem wszelkich biesiad rozrywkowo-literackich” (s. 121).

Bardzo wczesnie Zdzisław Morawski wypracował własną koncepcję wiersza. Chciał, aby jego poezja nie była tkliwa, nie wyrastała z sentymentu, lecz aby w niej oddać konkretność rzeczy, pokazać ich urodę i znaczenie dla człowieka, Poezja ta winna, w założeniu autora, bardziej trafiać do rozumu niż do serca. Najdobitniej sprecyzował swoją filozofię w dwóch poematach: „Rzecz o dorzeczności” (w tomiku *Płaskorzeźby*, Katowice 1965) i „Obszar nadmaterialny” (w tomiku *„Wektory”*, Katowice 1979). Z fascynacji rzeczami wyrósł jego światopogląd, system moralny, stosunek do życia, koncepcja słowa. Interesowała go nie rzecz typowa, a taka, na której odbija się ślad działalności człowieka. Świat rzeczy Zdzisława Morawskiego jest pełen optymizmu i ruchu, bo z nadziei i przemian rodzi się przyszłość. Jeśli pobrzmiewa tam nuta pesymizmu, to tylko dlatego, by budzić zastanowienie i refleksję.

Choć ten nurt poeta uznawał za swój największy wkład w rozwój poezji, z czasem zszedł on na dalszy plan, a pierwsze miejsce zajęły wiersze późniejsze. Szczególnie ważne są dwa poematy: „Ziemia dla żywych” z 1982 r. i „Kamień częścią ziemi” napisany w sierpniu 1992 r., a więc na trzy miesiące przed śmiercią. W pierwszym poeta przeciwstawia się wprowadzeniu stanu wojennego, czyni to w tonie wręcz elegijnym. W drugim – sprzeciwia się nowemu porządkowi polskiego świata po przemianach 1989 r. Choć zasadniczo akceptuje kierunek przemian, widzi, ile krzywd niesie zmiana ustroju, jak młody kapitalizm niszczy człowieka, więc buntuje się przeciwko takiej formie przeobrażeń ustrojowych. Oba ukazały się w tomiku *„Dwa poematy”* (Gorzów 1995)

Zdzisław Morawski otrzymał wiele nagród i wyróżnień literackich oraz odznaczeń i nagród prestiżowych i honorowych, m.in. Nagrodę Kulturalną Miasta Gorzowa (1968), nagrodę Gorzowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (1975), Nagrodę Wojewody Gorzowskiego (1980), Lubuską Nagrodę Kulturalną (1970), nagrodę tygodnika „Nadodrza” (1985). W 1980 r. otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Poeta spoczywa na gorzowskim cmentarzu przy ul. Żwirowej w Alei Zasłużonych.

Spis treści

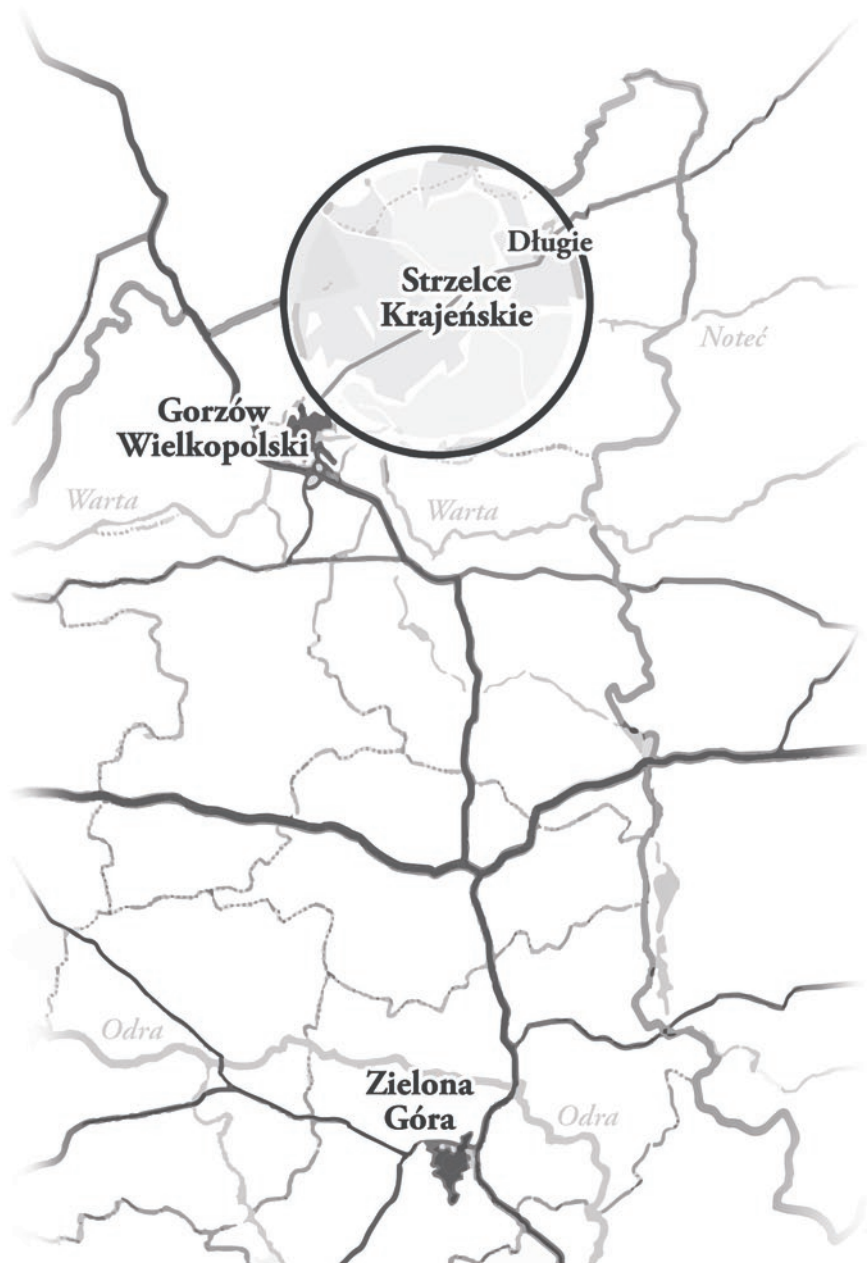
| | |
|---|-----------|
| Wstęp od wydawcy „Na Długim przed półwieczem...” | 5 - 6 |
| Wspomnienie Marii Morawskiej „Zdzisława Morawskiego – poety – przygoda z żeglowaniem” | 7 - 14 |
| Powieść „Każdy miał wakacje” | 17 - 188 |
| Wiersze Zdzisława Morawskiego: | |
| „Chwała rei” | 16 |
| „Rejs” | 36 |
| „Moja zatoka” | 70 |
| „Burlaczenie” | 175 - 176 |
| „Rejs przez ciche źródła” | 189 - 193 |
| Wiersz Marka Piechockiego „Bardzo osobisty tryptyk o poecie Z.M.” | 194 |
| Zdzisław Morawski - biogram | 195 -196 |

Książki o mieście i gminie Strzelce Krajeńskie



Wybrane broszury o mieście i gminie Strzelce Krajeńskie





Przyjechaliśmy tutaj po to, by brać tę naszą przygodę lata. Cały świat kempingowy: domki, w nich ludzie, wieczory spędzane przy ognisku i w „Chacie za wsią”, rozmowy z otoczeniem, były dodatkami z lądowego świata, który opuściliśmy. Cały sens naszego życia miał być przy żaglach, kadłubach, wodzie. Małe uszkodzenie jachtów, prawidłowe ich cumowanie, to były nasze wielkie troski, przy których bladły wszelkie kłopoty świata. Przyjechaliśmy tutaj, by myśleć o tym, czy będzie wiatr i jaki. Gdy byliśmy nad akwenem tylko we dwóch z jedną łodzią, nasze zaangażowanie było dorywcze, lecz teraz, kiedy oczy nasze cieszyły cztery maszty stawiane na jednostkach, wyrastała przed nami flotylla, której musieliśmy przekazać całą troskę. Mieliśmy chłopców, którym powinniśmy przekazać całe doświadczenie, jak i nam kiedyś je przekazywano. Musieliśmy wdzierać się w ich psychikę i wpajać im twarde prawa wody, wobec których musi ugiąć się każda indywidualność. Musieliśmy im wpoić prawosć wobec służby na wodzie, której surowość nie znosi żadnego blefu. Na razie mieli teorię. Niektórzy z nich nie byli jeszcze pod żaglami. Musieliśmy w praktyce zdruzgotać im sielankowe pojęcie o żeglarstwie. Musieliśmy być okrutni, jak okrutny jest żywioł, kiedy uderza w nas z obiektywnie nauczycielską siłą.

Ta prawda, prawda żywiołu daleka jest od zabawy.

Zdzisław Morawski



ISBN 978-83-62048-59-5



9 788362 048595 >